

# EWANGELIA DZIECIŃSTWA

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.  
Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)  
Polska Izba Książki

# EWANGELIA DZIECIŃSTWA

*Przełożyła Aga Zano*

LYDIA MILLET



Tytuł oryginału: *A Children's Bible*

Redakcja: Ida Świerkocka

Projekt okładki: Jasiak Krzysztofiak

Zdjęcia na okładce: © H. Armstrong Roberts / Alamy

DTP: Dariusz Ziach

Korekta: Maciej Korbasiński, Beata Wójcik

Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © 2020 by Lydia Millet

Copyright © for the Polish translation by Aga Zano, 2022

Copyright © for the Polish edition by Echa an imprint of Wydawnictwo Czarna Owca,  
Warszawa 2022

Wydanie I

Druk i oprawa: CPI Moravia Books

Wydrukowano na papierze HOLMEN Book Cream 70 g/m<sup>2</sup>, vol. 2,0

ISBN 978-83-8252-032-3

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

# 1

**K**iedyś żyliśmy w letniej krainie. Na drzewach mieliśmy domki, a na jeziorze kołysały się łódki.

Nawet najmniejszy kajak mógł nas zabrać do oceanu. Trzeba było przewiosłować przez jezioro, przejść na drugą stronę mokradł, potem kawałek strumieniem, aż do ujścia rzeki. Tam woda spotykała się z niebem. Biegaliśmy po plaży, głaskani słonym wiatrem, a łódki zostawialiśmy na piasku.

Znaleźliśmy czaszkę dinozaura. A może żółwia. Znaleźliśmy jaja płaszczki i morskie szkiełka.

Przed zachodem słońca wiosłowaliśmy z powrotem do jeziora, żeby zdążyć na kolację. Niepokojące wołania nurów niosły się po wodzie. Skakaliśmy z pomostu, żeby zmyć piasek z kostek. Krzyczeliśmy. Chowaliśmy się pod wodą i wywijaliśmy kozły pod fioletowiejącym niebem.

Na pagórku niedaleko pomostu daniela przechadzały się po imponującym trawniku. Ich urok był jednak zwodniczy: przenosiły kleszcze, a kleszcze choroby, które potrafiły doprowadzić do obłądu, odebrać wspomnienia, rozdać nogi opuchlizną. Albo sprawić, że twarz obwiśnie jak u basseta.

Kiedy więc pochylały wdzięczne szyje, by poskubać trawę, zdarzało się, że któreś z nas obrzucało je wyzwiskami. Ktoś inny biegł ku nim, wymachując rękami.

Niektórym z nas ich panika sprawiała przyjemność. Uciekały w wysokich podskokach między drzewa, przerażone naszą władzą. Niektórzy gwizdali i krzyczeli triumfalnie na ten widok.

Ja nie. Ja milczałam. Było mi ich szkoda. To nie ich wina, że miały kleszcze.

W oczach daniela ludzie pewnie byli potworami. A w każdym razie niektórzy. Czasami na widok człowieka stawał uszy na sztorc i zamierał w bezruchu, jak posąg. Czekał. Obserwował. Nie żywił złych zamiarów.

„Czym jesteś?” – pytały te uszy. I jeszcze, och. „Czym jestem ja?”

Czasami odpowiedź brzmiała: „Jesteś trupem”.

Wtedy pod zwierzęciem załamywały się nogi.

---

Na wakacje zabraliśmy ze sobą kilkoro zwierząt: trzy psy i wiecznie obrażonego kota syjamskiego z chorobą skóry. Łupieżem. Przebieraliśmy psy w ubranka znalezione w wiklinowej skrzyni, ale kota nie. On drapał.

Jednemu psu zrobiliśmy makijaż na pysku, umalowaliśmy go szminką i niebieskim cieniem do powiek. Był biały, więc kolory dobrze wyszły. Lubiliśmy robić wrażenie. Po zakończeniu dzieła szminka powędrowała z powrotem do torebki Fendi którejś z matek. Patrzyliśmy później, jak niczego nieświadoma nakłada ją sobie na wargi. Satysfakcjonujący widok.

Wystawiliśmy sztukę z udziałem psów i zaprosiliśmy rodziców, bo poza nimi nie mieliśmy nikogo innego do

posadzenia na widowni. Zwierzęta były jednak słabo wytresowane i niechętne do współpracy z reżyserem. W sztuce występowało dwóch żołnierzy i elegancka dama, ubrana w stanik z wypełnieniem, zdobiony falbankami. Żołnierze byli tchórzami. Praktycznie dezertarami. Spłoszył ich sygnał do walki. (Zatrąbiliśmy klaksonem. Robił bii-biip).

Dama się posikała.

– Och, biedactwo, ma wrażliwy pęcherz! – wykrzyknęła czyjaś pulchna matka. – Zaraz, to per ski dy wa n?

Czyją matką była? Nie wiadomo. Oczywiście nikt nie chciał się przyznać. Odwołaliśmy przedstawienie.

– No dawaj, to twoja – powiedział chłopiec imieniem Rafe do dziewczynki imieniem Sukey, kiedy rodzice sobie poszli. Zostawili po sobie kieliszki, wysokie szklanki i butelki po piwie. Niektóre były zupełnie puste. Do ostatniej kropelki.

Tym z rodziców się zatem spieszyło.

– W życiu – odparła Sukey stanowczo i pokręciła głową.

– To która? Ta z wielkim dupskiem? Czy ze szpotawą stopą?

– Ani jedna, ani druga. Spierdalaj.

---

Wielki dom, pałacowe schronienie na zielone miesiące, został zbudowany w dziewiętnastym wieku przez baronów przemysłowych. Nasi rodzice, tak zwane autorytety, snuli się po zwieńczonych szerokimi belkami pokojach, dryfowali na wodach celów mętnych i ogólnie nieciekawych.

Lubili pić: to było ich hobby albo – jak stwierdziło jedno z nas – rodzaj kultu religijnego. Pili wino, piwo, whiskey i dżin. A także tequilę, rum oraz wódkę. W południe mówili na to klin. Dzięki niemu wydawali się bardziej zadowoleni.

Albo przynajmniej zdolni do dalszego funkcjonowania. Wieczorami zbierali się razem, żeby jeść i znowu pić.

Jedynym posiłkiem, na którym musieliśmy się zjawiać, była kolacja, lecz nawet tego nie znosiliśmy. Sadzali nas przy stole i gadali o niczym. Celowali w nas słowami jak laserem. Jego matowoszary promień uderzał w nas i wprowadzał w otępienie. Mówili rzeczy tak nudne, że napełniały nas najpierw frustracją, a po upływie kilku minut – furją.

Czy oni nie wiedzą, że są pilniejsze sprawy? Pytania, które należy zadać?

Gdy któreś z nas mówiło coś poważnego, oni to zbywali. Czymogęodejśćodstołu.

Później rozmowy stawały się głośniejsze. Niektórzy z rodziców, wolni od naszych wpływów, wydawali z siebie nagłe, ostre szczeknięcia. To chyba miał być śmiech. Niósł się po okalającej dom werandzie zapełnionej bambusowymi pochodniami, paprociami, fotelami przeżartymi przez mole i roztaczającymi niebieskie światło lampami owadobójczymi. Słyszeliśmy te szczeknięcia z domków na drzewach, kortów tenisowych i z pasieki, którą za dnia opiekowała się powolna sąsiadka, mamrocząca do siebie pod siatką kapełusza pszczelarskiego. Słyszeliśmy je przez popękane szybki walącej się szklarni i na chłodnych, czarnych wodach jeziora, na których unosiliśmy się w białźnie o północy.

Lubiłam włóczyć się samotnie w blasku księżycy, skakać promieniem latarki po ścianach z białymi okiennicami, rowerach porzuconych w trawie, samochodach przycupniętych w milczeniu na szerokim półkolistym podjeździe. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek z nich byłby rzeczywiście w stanie powiedzieć coś zabawnego.

Z biegiem godzin przychodził taki punkt wieczoru, w którym części rodziców wpadało do głowy, żeby potać się. W ich bryłowatych ciałach zapalała się iskierka życia.



Smutny spektakl. Trzepotali się do rytmu starych kawałków. *Beat on the brat, beat on the brat, beat on the brat with a baseball bat, oh yeah.*

Ci bez iskry zostawali na miejscach i obserwowali tańczących. Apatyczni, o sflaczałych twarzach – z technicznego punktu widzenia martwi.

Ale za to mniej żenujący.

Niektórzy rodzice dobierali się w pary i przemykali do sypialni na piętrze, gdzie kilku chłopców z naszej grupy podglądało ich przez szpary między listewkami w szafach. Patrzyli, jak dopuszczają się mrocznych czynów.

Czasami coś się w nich budziło. Wiedziałam o tym, choć się nie przyznawali.

Częściej jednak czuli odrazę.

Większość z nas po wakacjach zaczynała trzecią albo czwartą klasę liceum, ale kilkoro nie weszło jeszcze nawet w wiek dojrzewania – mieliśmy tu cały przekrój wiekowy. Krótko mówiąc, część z nas była niewinna. Inni sami dopuszczali się mrocznych czynów.

One jednak nie były aż tak odrażające.

---

Brak informacji o tym, którzy rodzice są czyi, był dla nas zabawą, ale traktowaliśmy to poważnie. Czasami rodzic zbliżał się, grożąc ujawnieniem tajemnicy. Już, już – i wydałoby się, kto z kim jest spokrewniony. Wtedy czmychaliśmy jak zające.

Ucieczkę też jednak należało ukrywać, żeby nie zdradził nas pośpiech, więc bliższe prawdy byłoby powiedzenie, że wymykaliśmy się po cichu. Kiedy pojawiała się któreś z moich rodziców, stosowałam sprawdzoną technikę: udawałam, że dostrzegłam kogoś w pokoju obok. Naturalnym krokiem

szłam w stronę zmyślonej postaci, robiąc przy tym zdecydowaną minę. Przejść przez drzwi. Rozpłynąć się w powietrzu.

Na początku czerwca, w pierwszym tygodniu pobytu, rodzice wchodzili na drabinę prowadzącą na przepastny strych, na którym spaliśmy – niektórzy na łóżkach piętro- wych, ale większość na podłodze. Dochodziły nas ich gło- sy, kiedy wołali do najmłodszych: „Już idę dać ci buzi na dobranoc!”.

Chowaliśmy się pod kołdrami, naciągaliśmy koce na gło- wy, czasami odkrzykiwaliśmy coś nieuprzejmego. Rodzice się wycofywali, być może z urazą. Na drzwiach pojawiła się tabliczka: STREFA WOLNA OD RODZICÓW. Rano za- prosiliśmy ich na poważną rozmowę.

– Macie dla siebie cały dom – powiedział Terry spo- kojnie, lecz stanowczo. – Prywatne sypialnie. Prywatne łazienki.

Nosił okulary, był przysadzisty i pretensjonalny w obyciu, ale kiedy tak stanął u szczytu stołu i zaplótł ręce na piersi, wyglądał bardzo władczo.

Rodzice popijali kawę. Tu i tam słychać było siorbanie.

– My mamy jedno pomieszczenie. Dla wszystkich. Jed- no! – ciągnął Terry. – Na litość boską, dajcie nam odrobi- nę prywatności. Uszanujcie ten mikroskopijny kawałek przestrzni. Uznajcie strych za rezerwat. Wyobraźcie sobie, że jesteście białymi kolonizatorami, którzy wymordowali nasz lud. A my Indianami.

– Rdzennymi Amerykanami – poprawiła matka.

– Nietaktowna metafora – dodała inna. – Kulturowo.

---

– Któraś z matek ma szpotawą stopę? – zdziwiła się Jen. – Hm. Nie zauważyłam.

– A co to właściwie jest? – chciał wiedzieć Low.

Tak naprawdę miał na imię Lorenzo, ale to było zbyt długie, a poza tym był najwyższy z nas wszystkich, więc przezwisko Low – niski – nasunęło się samo. Rafe to wymyślił. Low nie miał nic przeciwko.

– Nie stawia jej normalnie, tylko ciągnie – wyjaśnił Rafe. – Nosi but z grubą podeszwą. Kojarzysz? Matka Sukey to na pewno ta gruba.

– Pewnie, pewnie. Myśl tak dalej – odparowała Sukey. – Moja matka jest o wiele lepsza. Mogłaby jej skopać tyłek.

– Ale ona nie może być niczyją matką – zaprotestował Low.

– W sumie to niewykluczone – zaprotestowała Sukey.

– Przyjechało kilkoro bez pary – poparł ją Śliski. Mówiliśmy tak na niego ze względu na ilości śliny, jakie produkował. Lubił pluć.

– I pary bez dzieci – przytaknęła Jen. – Jałowe.

– Skazane na bezpotomną śmierć – dodał Terry, który uważał się trochę za krasomówcę. Tak naprawdę miał na imię Cośtam Cośtam Trzeci. Jakby tego było mało, „Trzeci” było po łacinie – „Tertius”. Stąd zaś prosta droga do Terry’ego, więc nic dziwnego, że tak go nazywaliśmy.

Prowadził dziennik, w którym być może zapisywał wszystkie swoje uczucia. Było to wyszydzane przez resztę naszego towarzystwa.

– Okej, ale widziałem tę grubą, jak maca się w kuchni z ojcem Sukey – upierał się Rafe.

– Nieprawda. Mój ojciec nie żyje.

– Martwy od lat – przytaknęła Jen.

– I nadal w grobie – potwierdził David.

– To ojczym, mniejsza – uciał Rafe.

– Nie są po ślubie.

– Techniczny szczegół.

– Też ich widziałem – oznajmił Low. – Trzymała mu rękę na gaciach. Centralnie na sprzęcie. Stał mu jak zły.

– Fuj. – Śliski splunął.

– Do jasnej cholery, Śliski, prawie mi nacharałeś na palec – powiedział Low. – Minus.

– Twoja wina, że włożyłeś sandały. Straszna trzoda. Dla ciebie minus.

Mieliśmy system punktacji i rozpiskę na ścianie. Przyznawaliśmy sobie plusy i minusy. Plusy dostawało się za popełnienie imponującego wykroczenia, a minusy – gdy ktoś ściągał na siebie upokorzenie. Śliski dostawał punkty, gdy niezauważenie pluł do drinków, a Low tracił za podlizywanie się ojcu. Prawdopodobnie nawet nie własnemu – bardzo dbał o zachowanie swoich koligacji w sekrecie. Widziano go jednak, jak prosi łysiejącego faceta o poradę w kwestii ubioru.

Low był olbrzymem o dziecięcej twarzy i mongolskim pochodzeniu; w dzieciństwie został adoptowany z Kazachstanu. Ubierał się najgorzej z nas wszystkich – był fanem ciuchów z lat siedemdziesiątych i zazwyczaj nosił podkoszulki w hipisowskim stylu i bardzo krótkie szorty z białą lamówką. Czasami frotowe.

---

Nie zdołalibyśmy podtrzymać zabawy w ukrywanie relacji rodzinnych, gdyby nie to, że matki i ojcowie wykazywali niemal zerowe zainteresowanie naszym istnieniem. Uważali, że najlepiej puścić nas samopas.

– Gdzie jest Alicja? – spytała któraś matka.

Alicja była najstarsza z naszej grupy, miała siedemnaście lat. I już zaczęła studia.

– Ledwo ją widziałam od przyjazdu – ciągnęła. – Kiedy to było, dwa tygodnie temu?

Głos matki dobiegał z pokoju śniadaniowego, spoza mojego pola widzenia. Bardzo lubiłam to pomieszczenie: z długim dębowym stołem i trzema przeszklonymi ścianami. Było przez nie widać błyski na tafli jeziora, a promienie słońca przenikały do środka pomiędzy rozkołysanymi gałęziami starej wierzy, ocieniającej dom.

Co rano jednak kręcili się tam rodzice. Nie mogliśmy z niego korzystać.

Próbowałam zidentyfikować głos, ale gdy podkradłam się do wejścia, rozmowa zmieniła kurs: jakaś wojna w wiadomościach, tragiczna aborcja znajomej.

Alycia zdezerterowała i uciekła do najbliższego miasta, uprosiwszy dozorcę, żeby ją podwiózł. Miasteczko składało się ze stacji benzynowej, apteki, która rzadko kiedy bywała otwarta, i jednej speluny. Alycii to jednak nie przeszkadzało, bo był tam też jej chłopak. Starszy o kilka dekad.

Kryliśmy ją, na ile byliśmy w stanie.

– Alycia bierze prysznic – oznajmiła Jen przy kolacji w dniu jej ucieczki.

Obserwowaliśmy rodziców, ale nie potrafiliśmy ich rozgryźć. Pokerowe twarze.

Następnego dnia wymówkę wymyślał David:

– Alycia ma skurcze, leży w łóżku na strychu.

Trzeciego Sukey:

– Alycia nie zejdzie. Jest w paskudnym nastroju.

– Ta dziewczyna powinna więcej jeść – odezwała się któraś z kobiet, nabijając pieczonego ziemniaka na widelec. Czy to jej matka?

– Jest chuda jak patyk – zgodziła się inna.

– Ale chyba nie zwraca, co? – spytał jakiś ojciec. – Wiecie, tak z wymiotowaniem?

Obie kobiety pokręciły głowami. Zagadka nadal nierozwiązana.

– Może Alycia ma dwie matki – stwierdził potem David.  
– Dwie matki, możliwe – zgodziła się Val, chłopczyca, która rzadko się odzywała. Zwykle tylko papugowała innych.

Była tak mała i szczupła, że nie dało się oszacować jej wieku. W przeciwieństwie do reszty naszej grupy pochodziła z jakiejś wsi. Najbardziej lubiła się wspinać. Zwinnie wchodziła wysoko na drzewa, budynki, wszystko jedno, byle pionowe.

– Słowo daję, mała, nie dziecko – skomentował jeden z ojców, patrząc, jak wdrapuje się na wierzbę.

Grupka rodziców piła na ganku.

– Gibon – dodał inny. – Albo makak berberyjski.

– Kapucynka białoczelna – dorzucił trzeci.

– Pigmejka karłowata.

– Rokselana zadartonosa.

– I kto to mówi, stado głuptaków. – Któraś z matek miała już dość tej wylizanki.

---

Rodziców trzymaliśmy krótko: należało ich dyscyplinować. Kradzieże, szyderstwa, skażenie jedzenia i napojów.

Nie dostrzegali tego. A my sądziliśmy, że kary są współmierne do wykroczeń.

Najgorsze z przestępstw trudno jednak było precyzyjnie zdefiniować, a zatem także wymierzyć odpowiednią karę: chodziło o sam fakt, że istnieją. O esencję ich jestestwa.

---

Do niektórych rzeczy żywiliśmy głęboki szacunek. Na przykład do domu – potężnej starej fortecy, naszego zamku,

naszego donżonu. Do jego wyposażenia już jednak nie. Postanowiliśmy zniszczyć sporą jego część.

Pod koniec każdego tygodnia osoba z największą liczbą punktów mogła wybrać następny cel. Jaki przedmiot miał stać się ofiarą? Kandydat numer jeden: porcelanowa figurka uśmiechniętego różanoliciego chłopca w pludrach, z koszykiem jabłek w ręku.

Kandydat numer dwa: różowo-zielona makatka z haftem w dmuchawce i słowami wyszytymi pełnym zawijasów pismem: „Weź łagodny oddech. Dmuchnij. Rozsiewaj marzenia i pozwól im rosnąć”.

Wybór trzeci: pulchna sztuczna kaczka o napuszonej pierśi i niepokojących, pustych oczach, ubrana w dziwaczny namalowany smoking.

– Tłusta pedalska kaczka – oznajmił Śliski. – W muszce. Frank Sinatra z głupim dziobem. Spedalony pletwiak. Zachichotał jak wariat.

Rafe, który był dumny ze swojej orientacji, kazał mu zarzucić ryj i wyzwiał od homofobów i debili.

W tym tygodniu zwyciężył Terry – i wybrał chłopca z jabłkami. Poszedł do szopy po młotek blacharski i przywalił porcelanowej figurce w łeb.

Na dom jednak nigdy nie podnieśliśmy ręki. Rafe lubił wzniecać ogień, ale ograniczał piromańskie zapędy do terenu szklarni: zrobił tam ognisko z kijów do hokeja i młotków do krokieta. Palił też różne rzeczy na polanie w lesie – raz złożył w ofierze krasnala ogrodowego. Z topiącego się plastiku wydobywał się gęsty dym i obrzydliwy smród. Ktoś z rodziców zauważył ciemną smugę, unoszącą się spośród koron sosen, ale postanowił zostać na ganku; wytrawne martini nie wypije się samo.

Po jakimś czasie dym się rozpląnął.

Szanowaliśmy jezioro i strumień, a najbardziej ocean. Chmury też, i ziemię, poukrywane w niej nory i wysokie trawy, z których potrafił się nagle wyłonić obłok os, armia jadowniczych mrówek albo – zupełnie niespodziewanie: borówki.

Szanowaliśmy domki na drzewie, zbudowane starannie i połączone w przemyślaną strukturę w koronach drzew. Miały porządne dachy, a drabiny i porozpinane wysoko mosty tworzyły z nich podniebną wioskę.

Pokolenia wczasowiczów powycinały w deskach prymitywne rysunki, imiona i inicjały. Widok tych starych liter potrafił szybko zwarzyć mi humor. Może wydrapało je potomstwo baronów – latorośle magnatów przemysłu leśnego, stalowego, kolejowego, dawno już zmienione w opasłe trójbrode matrony z nowojorskiej Upper East Side.

Czasami siedziałam na wysokiej platformie wśród innych dzieci machających nogami, popijających colę z puszek albo piwo z butelek. Od niechcenia rzucało się kamyczkami w wiewiórki. (Najmłodszy chłopcy położyli temu kres, oskarżając nas o okrucieństwo wobec zwierząt). Zaplataliśmy sobie włosy, pisaliśmy na dzinsach, malowaliśmy jedno drugiemu paznokcie. Próbowaliśmy wachać klej z tak zwanej świetlicy, z której nie korzystaliśmy. Bez skutku – nigdy po nim nie klepało.

Gapiałam się na te inicjały i czułam samotność. Nawet w tłumie. Przyszłość przelatywała mi przed oczami w ponurych błyskach. Zegar tykał. Nie podobało mi się to.

Owszem, wiedzieliśmy, że nie będziemy wiecznie młodzi, ale ciężko było w to uwierzyć. Cokolwiek by o nas mówić, ręce i nogi mieliśmy silne i smukłe. Teraz to wiem. Nasze brzuchy były napięte i niepomarszczone, podobnie jak czoła. Kiedy biegliśmy, jeśli akurat wzięła nas na to ochota, nasze ruchy były jak gładki jedwab. Mieliśmy w sobie wigor stworzeń dopiero co narodzonych.



Stosunkowo dopiero co.

Ale nie, nie mieliśmy tacy pozostać na zawsze. Na poziomie intelektualnym to rozumieliśmy. Ale pomyśleć, że te złachane postacie, snujące się tu i tam po wielkim domu, to zapowiedź naszej własnej przyszłości – o, nie.

Czy oni też mieli kiedyś cele? Albo chociaż odrobinę szacunku do siebie?

Przynosili nam wstyd. Ich istnienie stanowiło opowieść ku przestrodze.

---

Rodzice przyjaźnili się na studiach, ale od tamtej pory nie spotykali się w grupie. Aż wreszcie wybrali sobie to lato na skandalicznie długi zjazd po latach. Jedno z nich powiedziało na to: „Nasz ostatni wyskok”. To zabrzmiało jak kiepska kwestia z jakiejś głupiej sztuki. Ktoś inny rzucił, wcale nie żartem: „Teraz spotkamy się dopiero na czyimś pogrzebie”.

Żadne się nie uśmiechnęło.

Powrzucaliśmy anonimowe karteczki z opisami ich zawodów do kapelusza – składanego cylindra z szafy na zabawki, gdzie trzymano wiele starych artefaktów. (To tam znaleźliśmy klakson, pistolety na kulki i wyświechtany zestaw do gry w Monopol). Pisaliśmy drukowanymi literami, żeby nie dało się łatwo rozpoznać charakteru pisma, a potem wyciągaliśmy je z kapelusza i czytaliśmy na głos.

Kilkoro było wykładowcami uniwersyteckimi na trzymiesięcznych letnich wakacjach. Inni jeździli tam i z powrotem między letniskiem a biurem. Jedno było terapeutą, jedno lekarzem od wagin. (Słyszając to, Śliski głośno zarechotał, na co Sukey kopnęła go w kolano. „Masz coś do wagin? Powiedz: wagina. Wa-gi-na”). Ktoś był architektem,

a ktoś reżyserem. (Na karteczce widniała informacja: ROBI GEJOWE FILMY. „Minus za homofobie” – oznajmił Rafe. „Kiedy się dowiem, która niewyoutowana ciota to napisała, to najpierw minus, a potem łomot. Lepiej, żebyś to nie był ty, Śliski”).

To było jasne jak słońce: nasi rodzice byli z wykształconego, artystowskiego świata, ale nie narzekali na brak pieniędzy – w przeciwnym razie nie byłoby ich stać na taki wyjazd. Wynajem wielkiego domu nie był tani, zwłaszcza na całe lato. Domyślaliśmy się, że kilkoro pewnie załapało się na wyjazd w charakterze ubogich krewnych albo że przynajmniej płacą za pobyt proporcjonalnie mniej od reszty. David, typowy nerd, dotkliwie tęskniący za swoim wypasionym komputerem, wygadał się, że mieszka z rodzicami w wynajętym domu. Dostał za to minusa. Nie ze względu na nieposiadanie nieruchomości – nie znosiliśmy takiego snobizmu – ale za mięczakowate zwierzenia nad podebraną z domu butelką jägermeistera.

Pić ich alkohol? Oczywiście, jak najbardziej. Zachowywać się po nim tak jak oni? Minus.

Bo to właśnie pod wpływem rodzice stawali się niezdarni, zrzucali skorupy. A bez nich zmieniali się w ślimaki. Pozostawiali za sobą ścieżki śluzu.

Moi rodzice: matka academiczka, ojciec artysta. Ona wykładała teorię feminizmu, a on rzeźbił gigantyczne biuściaste kobiety, którym na ustach, piersiach i genitaliach malował jaskrawymi kolorami obrazy, często przedstawiające sceny z miejsc targanych wojną lub dotkniętych klęską głodu. Na wargach sromowych mogły się na przykład pojawić obrazy z Mogadiszu.

Odnosił całkiem spore sukcesy.

Młodsze rodzeństwo utrudniało nam grę w powiązania rodzinne, bo bez przerwy groziła nam z jego strony dekonspiracja. Z takim ryzykiem musiałam się liczyć ja, a także David i Jen.

Jedenastoletni brat Jen był łagodnym, głuchym chłopcem o imieniu Shel i chciał zostać weterynarzem, gdy dorośnie. Po zaledwie tygodniu wakacji Shel nabawił się zatrucia pokarmowego i trzeba było go oddać pod opiekę rodziców, więc siłą rzeczy musieli zostać zidentyfikowani. Matka miała aparat ortodontyczny i obwisłe ramiona, a ojciec włosy związane w przetłuszczony kucyk. Dłubał w nosie podczas rozmowy. Gadał i dłubał, dłubał i gadał.

Sądziliśmy, że z publicznego grzebania w nosie wyrasta się w podstawówce, ale widocznie się pomyliliśmy. Nie mieściło nam się to w głowie.

Było nam szkoda Jen.

David też był spalony. Jego siostry, Kay i Amy – bliźniaczki z in vitro – były strasznymi bachorami i nie interesowała ich nasza gra. Zdradziły go już na drugi dzień, kiedy zaczęły się kleić do matki – doszło do tego, że włożyły jej na kolana i wtulały się w szyję. Szeptaly jakieś słodkie słówka.

Mój własny młodszy brat, Jack, był księciem wśród chłopców. Kiedy poparzył się bluszczem, przyszedł tylko do mnie i odmówił poproszenia o pomoc rodzica. Byłam z niego dumna. Jack rozumiał, czym jest lojalność.

Kąpałam go i siedziałam przy jego łóżku, przykładając mu zimny kompres do nóg. Smarowałam mu skórę różową maścią i czytałam ulubione książki. Prawie nie narzekał, czasami tylko mówił:

– Rzeczywiście piecze, Evie.

Jack był moim ulubieńcem, bez dwóch zdań. Od zawsze.

Mimo to nie mogłam zapominać, że to mały chłopiec – obawiałam się, że się zapomni i wygada. Należało zachować czujność.

W którymś momencie podjęliśmy wspólną decyzję: należało powiedzieć rodzicom o grze. Coraz trudniej było to ciągnąć wyłącznie metodą taktycznych uników.

Oczywiście zamierzaliśmy im to przedstawić jako coś pozytywnego. Nie musieliśmy wyjawiać prawdziwej przyczyny, dla której wymyśliliśmy tę grę. Nie trzeba było mówić głośno, że wszelkie powiązania z nimi są dla nas kompromitujące i naruszające naszą nietykalność osobistą. Nie było powodu wspominać, że jakiegokolwiek wzmianki o pokrewieństwie doprowadzają nas do mdłości.

Po prostu musimy się czymś zająć, tak im powiemy. Czy już zapomnieli, że na całe lato pozbawili nas ukochanych zabawek i komunikatorów? Że skonfiskowali nam telefony, tablety, wszystkie urządzenia i sposoby na cyfrowy kontakt ze światem?

– Zamknęli nas w analogowym więzieniu – stwierdził David.

---

Kierownictwo było najzyczliwiej nastawione w magicznej godzinie przed kolacją, już po wprawieniu się w stan lekkiego, przyjemnego rauszu. Wcześniej rodzice bywali drażliwi i mogliby odmówić. Później – nawaleni tak, że następnego dnia nic by nie pamiętali.

To zaś była ich pora na picie i rozmowy.

Wtedy podjęliśmy temat.

– Wymyśliliśmy taką grę – zaczęła Sukey.

– Swego rodzaju eksperyment społeczny – dodał Terry.

Niektórzy rodzice słuchali naszych wyjaśnień z łaskawym uśmiechem, a inni byli niechętni, z trudem powstrzymywali irytację. W końcu jednak się zgodzili. Niczego nie

obiecują, powiedzieli, ale postarają się nie pomieszać nam szyków.

– Postanowiliśmy też spędzić kilka nocy pod namiotem na plaży – wtrącił Rafe.

– Żeby poćwiczyć samowystarczalność – wyjaśnił Terry.

– No, no, to już zupełnie inna para kaloszy – stwierdził jakiś ojciec.

Był jednym z profesorów. Specjalizował się w temacie palenia czarownic.

– Wszyscy? – upewniła się matka.

Najmłodsze dzieci przytaknęły: z wyjątkiem bliźniaczek z in vitro, które pokręciły głowami.

– No i dobrze – wymamrotał David.

– Ale nie mamy namiotów! – zaprotestowała inna matka.

Ta była nisko w hierarchii. Nosiła długie, zwiewne sukienki w kwiaty albo wzór paisley. Pewnego razu, kiedy tańczyła po pijaku, wpadła na roślinę doniczkową. Aż poszła jej krew z nosa.

Wyczuwałam, że inni rodzice traktują ją protekcjonalnie. Gdyby uciekali przed drapieżnikiem, to ją stado poświęciłoby jako pierwszą. Rzuciliby ją na pożarcie lwicy, by ta rozszarpała ją potężnymi kłami. A potem sępy obojętnie rozdziobałyby resztki.

Smutny koniec. Zapewne.

Tej matki nikt nie chciał. Żałowaliśmy głupca, który zostanie w nią później uwikłany.

– Zajmiemy się tym – powiedział Terry.

– Niby jak? – chciała wiedzieć trzecia matka. – Przez Amazon Prime?

– Zajmiemy się tym – powtórzył. – W szopie jest brezent. Damy sobie radę.

Jen była pod takim wrażeniem zdolności dyplomatycznych Terry'ego, że zgodziła się iść z nim wieczorem do szklarni w wiadomym celu (zrobiliśmy tam sobie gniazdo z koców w kącie). Jen była znana ze swojej siły, ale i z niskich standardów w kwestii podrywu.

Nie chcąc zostać w tyle, pozostałe dwie dziewczyny i ja przystaliśmy na pomysł gry w butelkę z Davidem i Lowem. Wersja ekstremalna, potencjalnie z oralem. Śliski miał czternaście lat, więc był niedojrzały i zbyt obleśny, a Rafe nie miał skłonności biseksualnych.

– Szkoda – stwierdziła Sukey. – Jest strasznie ładny.

Wtedy Dee oznajmiła, że ona jednak nie gra, więc zostaliśmy tylko Sukey i ja. Dee bała się grać w butelkę, ponieważ była – jak sugerowała Sukey – cichą myszką i prawdopodobnie nawet oralną dziewicą.

Bojaźliwa i nieśmiała Dee była też pasywno-agresywna, neurotyczna, a do tego miała bakteriofobię, borderline i paranoję.

Zdaniem Sukey.

– Weź się w garść, myszo – ofuknęła ją. – To twoja szansa, żeby się doedukować.

– Niby jak doedukować?

– Otóż – wyjaśniła Sukey – Dee ma przywilej rozmawiać z mistrzynią robienia jednodominutowej zwalanki ręką. Mogłaby się czegoś nauczyć.

Słyszając to, chłopcy usiedli prościej. Ich uwaga skupiła się na nas z laserową precyzją.

Dee odparła jednak, że nie, ona nie jest t a k a.

A po tych rewelacjach będzie potrzebować prysznic.

Val też odmówiła udziału. Poszła powspinać się trochę w ciemnościach.

W tym samym czasie rodzice grali w *Texas Hold'em* i podejrzewali się nawzajem o liczenie kart – któryś z ojców został kiedyś za to wyrzucony z kasyna w Las Vegas.

Młodsze dzieci już dawno spały.

Owszem, gra w butelkę była słabym wyborem, ale mieliśmy bardzo ograniczone możliwości. Nasze telefony leżały zamknięte w sejfie w bibliotece. Szyfru nie udało nam się złamać.

Czułam się nieswojo, ale ponieważ Dee spękała, musiałam być twarda. Miałam jednak szczęście. Skończyło się tylko na przelizaniu z Lowem.

Tak czy inaczej, nie było przyjemnie. Jego język smakował jak stary banan.

---

Wyruszyliśmy następnego popołudnia. Pakowanie i załadowanie łódek zajęło nam kilka godzin.

– Kamizelki! – zaskrzeczała z trawnika matka Jen. Ścisnęła butelkę wina za szyjkę, w drugiej dłoni trzymała kieliszek, miała na sobie białe bikini w czerwone kropki. Majtki odsłaniały jej rowek, góra też była zabawna: sutki prześwitwały przez jasny materiał jak para ciemnych ślepi.

– Niech ją ktoś zatka – stęknęła Jen.

– Proszę włożyć kapoki!

– Tak, tak. Jezusie Nazareński – skrzywiła się Sukey.

Ogólnie nie bawiliśmy się w kapoki. Nosiły je tylko maluchy. Teraz jednak byliśmy na widelcu, więc przyniosłam z hangaru całą stertę jaskrawopomarańczowych kamizelek, tu i tam poznaczonych plamami pleśni. Drapały i krępały nam ruchy. Zamierzaliśmy je ściągnąć, kiedy tylko znikniemy z pola widzenia. Bez dyskusji.

Gdy odpychaliśmy się od miejsca cumowania, kilko-rodziców machało nam z ganku, a reszta zebrała się

w stadko na pomoście. Pospiesznie wiosłowaliśmy, obawiając się, że w ostatniej chwili zdradzą nas swoimi matłokowatymi gadkami. I rzeczywiście, już po chwili jakieś ciele krzyknęło: „Masz ze sobą inhalator?” (Było wśród nas dwoje astmatyków).

– Cicho! Cicho bądźcie! – błagaliśmy, zatykając uszy rękami. Żadne z nas nie chciało patrzeć, jak ktoś idzie na dno w taki sposób.

– A macie EpiPeny? – zawołała matka o niskiej pozycji.

Czytałam wtedy książkę o średniowiecznym społeczeństwie, którą znalazłam w bibliotece wielkiego domu. Podo- bał mi się zapach jej starych, zakurzonych kartek. W książce występowali chłopci: pańszczyźniani, jak przypuszczałam. Za sprawą tego historycznego filtra i jej powłóczystych sukienek zaczęłam postrzegać tę matkę jako chłopkę.

Ignorowaliśmy ich i wiosłowaliśmy z całych sił. Redukcja szkód.

– Rany boskie, banda imbecyli – zachnął się Low.

Przyjrzałam mu się uważniej, może nawet przechyliłam głowę na bok. Znów poczułam ten bananowy posmak.

– Moi byli totalnie wyluzowani – przechwalał się Terry.

– A moi mieli wyjebane – odezwał się Śliski.

Oddalaliśmy się od brzegu, ale rodzice nadal usiłovali się z nami porozumieć. Kilkoro wykonywało przesadnie zamaszyste gesty, niezdarnie wymachując rękami. Ojciec Jen próbował jej coś przekazać w języku migowym, ale ona odwróciła wzrok od jego podrygujących palców. Matka-chłopka zanurkowała z pomostu – w pogoni za nami? Żeby popływać? Nic nas to nie obchodziło.

Dotarliśmy do strumienia i schowaliśmy wiosła. Prąd pchał nas w stronę oceanu. Koryto było wąskie, więc nasze łódki często obijały się o brzegi i grzęzły na płycznach, tak że trzeba było je wyciągać z błota.



Niosła nas woda: daliśmy się jej ponieść.

Zwracaliśmy twarze ku słońcu, zamykaliśmy oczy, pozwalaliśmy ciepłym promieniom padać na powieki. Poczuliśmy, jak ciężar spada nam z barków, nurzaliśmy się w rozkosznej wolności.

Ważki zawisały nad powierzchnią wody jak olśniewające małe helikoptery, błyskające zielenią i błękitem.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent życia spędzają pod wodą – oznajmił życzliwie Jack. Był fanem insektów. A właściwie to przyrody w ogóle. – Jako poczwarki. No wiesz, kiedy są larwami. Poczwarki ważek mają ogromne szczęki. To bezlitośni drapieżcy.

– Czy to jest interesujące? – spytała Jen, przekrzywiając głowę.

Nie mówiła tego złośliwie, po prostu się zastanawiała. Jeszcze nie wyrobiła sobie zdania na ten temat.

– Pewnego dnia wynurzają się z wody, robią się piękne i uczą się latać – ciągnął Jack.

– A potem padają trupem – wtrącił Rafe.

– Odwrotnie niż ludzie – skomentował David. – My stajemy się brzydzy, zanim umrzemy. Całe dekady przed śmiercią.

Owszem. To było powszechnie wiadome.

Ta niesprawiedliwość unosiła się nad nami wśród ważek.

– Otrzymaliśmy wiele – orzekł Terry ze swojego miejsca na dziobie.

Spróbował wstać, ale Rafe powiedział, że łódka się przewróci. No to usiadł i zaczął mówić głębokim, nadętym głosem kaznodziei.

Środkowym palcem poprawił sobie okulary na nosie.

– Tak, otrzymaliśmy wiele darów – perorował. – My, potomkowie wielkich małp. Przeciwwstawne kciuki. Złożony język. I co najmniej pozory inteligencji.

Nie ma jednak nic za darmo.

Kiedy nocami obserwował rodziców z ukrycia w zaciszu ich sypialni, nie mógł uwierzyć, jakie spustoszenie zasiał w nich czas. Mieli rozdęte brzuchy i obwisłe piersi. Do tego podwójne tyłki, u góry tłuste, potem obwisłe, a na dole znowu wielgachne. Wypukłe żyły. Tłuszcz na plecach, piętrzący się jak stosy pączków. Czerwone nosy, podziurawione kraterami porów, z czarną szczecinią wylazającą kępami z nozdrzy.

Najpierw jesteście karani wiekiem średnim, a potem długoletnim rozkładem, podsumował ponurym tonem. Nasz gatunek... Krzywa demograficzna naszego gatunku, poprawił się, rwie naprzód na długo po tym, jak się przeterminuje. Zmienia się w odpad, plagę, zarazę, strup. Zanikną kończynę. Taki los nas czeka.

Ale teraz nie powinniśmy się tym przejmować, dodał, nagle usiłując zakończyć przemówienie inspirującym morałem. Należy znaleźć w sobie odwagę! Siłę! Niczym Ikar wznieść się na lśniących, opierzonych skrzydłach i lecieć wysoko, wysoko ku słońcu.

Pomedytowaliśmy nad tym przez chwilę.

Brzmiało niezłe, ale było pozbawione treści.

– Ale ty wiesz, że te skrzydła stopiły mu się przez jego własną głupotę, nie? – odezwał się David. – Jego ojciec był genialnym inżynierem. Powiedział mu, żeby nie leciał ani za nisko, ani za wysoko. Na górze za gorąco, na dole zbyt wilgotno. Ikar dostał skrzydła pierwsza klasa. I totalnie zignorował wytyczne starego. Koleś był po prostu debilem.

Gdy dotarliśmy do delty, o mierzejach poznaczonych splotami mknącej wody i naniesionymi prądem łąkami piasku, z zaskoczeniem odkryliśmy, że należące do nas brzegi zostały skolonizowane przez nieproszonych gości.

Do tej pory zawsze czekały tu na nas puste wydmy, zamieszkałe jedynie przez ptaki i rozkołysane kępy traw. Mogliśmy w spokoju odkrywać plażę pełną krabów pustelników, wyrzuconych na brzeg kawałków drewna i wodorostów.

Teraz jednak zastaliśmy tu innych. Robili grilla. Od brzegu niósł się zapach opiekanego mięsa. Dostrzegliśmy plażowe parasole w czerwono-białe pasy.

Skąd się wzięli? Tutaj dało się dotrzeć wyłącznie łodzią... O, proszę, oto i ona. Majestatyczny kremowozłoty jacht kołysał się wyniosłe w pobliżu.

Na plaży nastolatki grały w siatkówkę.

Czuliśmy oburzenie, ale nie mieliśmy żadnej strategii. Ani nawet przewagi moralnej. To było miejsce publiczne.

Sytuacja z każdą chwilą jątrzyła coraz bardziej.

Zdecydowaliśmy, że należy uzbroić się w cierpliwość. Słońce niedługo zajdzie i zostaniemy sami. Na razie zaś

rozbiliśmy prowizoryczny obóz po drugiej stronie wodnych warkoczy – pawilon bez ścian, z wyświechtanymi plandekami z szopy zamiast dachu.

Przywiązaliśmy brezentowe płachty do krzewów na skraju wydm, podparliśmy wędkami i kijkami narciarskimi. Byle podmuch wystarczyłby, żeby obalić tę konstrukcję. Przywieźliśmy ze sobą śpiwory, a za poduszki miały nam służyć poskładane ubrania. Ale pocieszałyśmy się, że nim nastanie świt, kolonizatorzy pójdą spać w luksusowych kochach, a my odzyskamy swoje imperium piasku i słonej wody.

Przezuwając zawilgłe kanapki, przyglądaliśmy się, jak grillowicze składają pasiaste parasole. Spod jachtu wyruszyła lśniąca motorówka i z cichym pomrukiem podpłynęła na płyciznę.

Ale, ale! Co to takiego?

Jakieś żeglarzopodobne postacie wyskoczyły na brzeg z pakunkami w ramionach. Ani się obejrzelśmy, a na brzegu stały już smukłe namioty – wysokiej klasy, perłowokremowe pod kolor jachtu, z logo firmy alpinistycznej na bocznych ścianach. Cztery, równiutko jeden obok drugiego. Małe miasteczko nad znakiem wysokości przypiływu.

Przypatrywaliśmy się imponującym namiotom.

Dzieciaki z jachtu uściskały rodziców na dobranoc, a my aż wzdrygnęliśmy się na ten widok. Łódka odpłynęła z cichym parsaniem. Obozowicze przygotowali niewielkie ognisko i rozsiedli się wokół niego na identycznych krzesłkach kempingowych. Nawet kijki do opiekania pianek mieli wyprodukowane fabrycznie – nadziewali słodycze na metalowe szpikulce.

Proszę bardzo. My też rozpalimy ognisko. Ogromne. Przy naszym ognisku ich będzie wyglądać żałośnie.

Przywieźliśmy ze sobą trochę drewna ze sterty na opał i stare jak świat egzemplarze „New York Observera” na

rozpałkę. Dzięki Rafe'owi mieliśmy też kanister benzyny. (A pianki są dla przedszkolaków, prawda? No i nie pomyśleliśmy, żeby jakieś zabrać). Śliski wygrał ostatni konkurs, więc wziął ze sobą przedmiot do zniszczenia. Zbudowaliśmy wspaniały stos. Na szczycie umieściłam wybrany przez Śliskiego artefakt: starą drewnianą świnkę w dziecięcym czepku. Miała bardzo długie rzęsy.

Płomienie już po chwili skakały wysoko. Czarny dym i kwaśne opary, zawierające benzynę i być może farbę ołowiową, popłynęły z wiatrem w stronę dzieciaków z jachtu.

Dobrze im tak, orzekł Rafe. Zarechotaliśmy jak czarownice w złotym blasku ognia.

Po jakimś czasie ruszyły ku nam chwiejne światła czółówek. Jachtowi mężnie brnęli przez wodę na drugą stronę delty, bos i opaleni, w szortach o idealnej długości. Niektórzy z nas dumnie wstali. Inni przyjęli potulniejsze pozy.

– Ej, wy! – odezwał się wysoki na przedzie. Blond kosmyki opadły mu na czoło. Był ubrany w koszulkę polo. Wyglądał jak chodząca reklama Abercrombie & Fitch. – Ej, ziomki! Zajebiste ognisko! Mam trochę zielonego. Chce ktoś zajarać?

Uśmiechał się szeroko.

– No proste – odparł Śliski.

I tak oto upadło imperium.

---

W tamtym momencie swojego życia osobistego próbowałam się pogodzić z końcem świata. Albo przynajmniej z końcem tego, który znam. Jak wielu z nas.

Naukowcy mówili, że kończy się właśnie teraz, a filozofowie, że ten koniec trwa od zawsze.

Historycy powtarzali, że przechodziliśmy już przez wieki ciemne. Wtedy wszystko rozeszło się po kątach, bo ci, którzy mieli dość cierpliwości, doczekali oświecenia, a później szerokiego wyboru urzędzeń Apple.

Politycy zapewniali, że wszystko będzie dobrze. Że wprowadzane są zmiany. Ludzka pomysłowość nagotowała nam tego bigosu, i ludzka pomysłowość nas przed nim ocali. Może trochę więcej kierowców przerzuci się na elektryczne auta.

Po tym się zorientowaliśmy, że sprawa jest poważna. Bo było oczywiste, że kłamią.

Rzecz jasna, wiedzieliśmy, kto ponosi odpowiedzialność: sprawa była przegrana jeszcze przed naszymi narodzinami.

Nie miałam pomysłu, jak to powiedzieć Jackowi. Był wrażliwym, łagodnym chłopcem. Miał w sobie pełno nadziei i strachu. Często dręczyły go koszmary, a ja go uspokajałam, kiedy się z nich wyrwał – w snach dręczyły go wizje rannych królików i przyjaciół mówiących przykre rzeczy. Po przebudzeniu popiskiwał: „Królik! Królik!” albo: „Donny! Sam!”.

Nie spodziewałam się, że dobrze przyjmie wiadomość o końcu świata. Stałam jednak przed dylematem Świętego Mikołaja. Pewnego dnia mój brat i tak dowie się prawdy. A jeśli nie usłyszysz jej ode mnie, to w niczym nie będę lepsza od polityczki.

Rodzice zawzięcie stosowali taktykę zaprzeczenia. Niekoniecznie próbowali negować głos nauki – mieli liberalne poglądy. Chodziło raczej o wypieranie rzeczywistości. Kilko wysyłało nas na obozy przetrwania, gdzie szczęściarze uczyli się wiązać węzły i naprawiać silniki. A nawet uzdatniać do picia wodę stojącą bez użycia chemicznych filtrów.

Większość jednak przyjęła łatwą do przewidzenia postawę: wszystko po staremu.

Moi ukrywali prawdę przed Jackiem. Już nabierał podejrzeń, bo w drugiej klasie nauczycielce wypsnęło się coś o niedźwiedziach polarnych i topnieniu lodu morskiego. Szóste masowe wymieranie. Jack martwił się też o pingwiny. Miał na ich punkcie obsesję – znał wszystkie odmiany tych ptaków, potrafił wyrecytować je w porządku alfabetycznym i każdą narysować.

Wiedziałam, że musimy przeprowadzić poważną rozmowę w cztery oczy. Tylko kiedy?

Ciągle to odkładałam. Mały miał dopiero dziewięć lat. Nie potrafił jeszcze nawet odczytać godziny na zegarze ze wskazówkami.

Aż nagle przyszli wysportowani, smukli jachciarze z medyczną marihuaną. Wszyscy uczyli się w tej samej szkole z internatem. Pochodzili z południowej Kalifornii, Bel Air, Palos Verdes, Palisades.

Szybko się zorientowaliśmy, że tam sytuacja wygląda inaczej.

– A wasi starzy... – zagadnął zjarany samiec alfa. Przynieśli sobie te swoje markowe krzeselka; żadne nie usiadłoby na ręczniku. – Mają już działki?

– Działki? – powtórzyła Sukey i się zaciągnęła. Przytrzymała dym w płucach. Siedziała odrobinę za blisko niego, jakby chciała ogrzać się w ciepłe jego aury modela z reklamy Abercrombie. – W sensie, że takie do hodowania trawy?

– Zabawna jesteś – stwierdził alfa i trącił ją umięśnionym ramieniem. Tak figlarnie.

Miał na imię James. Nie przedstawiał się Jim.

– Szalenie – odparła Sukey i podała jointa Śliskiemu.

– Chodzi o taki dom, żeby w nim przetrwać czasy chaosu, kojarzysz? Nasz jest w Waszyngtonie – wtrącił inny chłopak. Pod szyją miał falbaniastą bandanę.

Tragiczny pomysł. Wyglądał jak ich modowy odpowiednik Lowa.

– W stanie Waszyngton, nie w dystrykcie. Wiadomo – doprecyzował.

– Nasz jest w Oregonie – powiedział James. – Mamy całą farmę fotowoltaiczną. Zajebricie wielka, wygląda bez kitu jak elektrownia Ivanpah. Jedenaście generatorów pomocniczych.

Śliski nie miał pojęcia, o czym mowa, ale taka przeszkoda nigdy wcześniej go nie zatrzymała.

– Nie no, jedenaście to rzeczywiście trochę przegięcie.

James przechylił głowę, roztaczając aurę cierpliwej mądrości.

– Przy instalacji sieci elektrycznej na takiej działce nadmiarowość jest kluczowa – wyjaśnił. – Chodzi o to, żeby nie polegać na jednym elemencie, którego awaria rozwali całą układ. Tak się projektuje zintegrowane systemy.

– Bez urazy – odezwałam się – ale nie wiecie, o czym rozmawiacie.

– Mów za siebie – zaprotestowała Sukey.

– Tak? Dobrze, oświeć mnie w takim razie.

– Ej, Jack! – zawołała, zamiast odpowiedzieć. – Chcesz coś słodkiego? Chodź, przynieśli nam pianki!

Klasyczny unik. Musiałam przyznać, że jest w tym dobra.

– Muszę do łazienki – odparł Jack nieco marudnym tonem.

– Młody, rób do oceanu – poradził James. – Jest ogromny. Lecące na łeb na szyję pH może go przerasta, ale z twoimi sikami raczej sobie poradzi.

Zawstydzony Jack pokręcił głową.

Czytał kiedyś książkę o strasznych zwierzętach. Była tam mowa o wandeliach, maleńkich rybach, które potrafią wpłynąć po strumieniu moczu do penisa i się w nim zagnieżdżyć. Są słodkowodne, mieszkają w dorzeczu Amazonki, a być może wyłącznie w krainie podań i legend, ale



Jack natrafił na tę informację, kiedy miał osiem lat. Podejrzewałam, że być może teraz sobie o tym przypomniał.

– Ja go zaprowadzę – oznajmiłam, gotowa pełnić obowiązki starszej siostry.

– Chodzi o dwójkę – wyznał Jack nagłym szeptem, kiedy ruszyliśmy ku wydmom.

– Poczekaj, wezmę papier toaletowy.

Wróciłam do pawilonu i przy słabym świetle czołówki zaczęłam grzebać w bagażach. Ze swojego miejsca usłyszałam fragment rozmowy przy ognisku.

– Ponoć Missy T. ma schron w Niemczech – powiedział jeden jachciarz do drugiego. – Taki wielki bunkier w jakiejś górze. Sowieci go zbudowali podczas zimnej wojny, co nie?

– Jej rodzice kupili go od Vivos. Ma własną stację kolejową.

– I jest specjalnie zbrojony na wypadek wybuchu jądrowego w pobliżu.

– Zagrożenie nuklearne. Stare dobre czasy.

– Teraz człowiek o tym słyszy i myśli: „żeby tylko”, co nie?

– Przy katastrofie klimatycznej atomówki wyglądają uroczo. Jakby ktoś bał się armaty.

– Procy.

– Łuku Hyksosów.

– Kanańskiego chepesza.

Nie byłam na bieżąco z Kanaanitami. Uznałam, że może potem ich wygooglam.

– Zamontowali sobie sejf na DNA. A wy taki macie?

– A, nie. Ale mamy bank spermy. Niehybrydowej.

– Missy. Stary, w życiu już nie zobaczymy jej tyłka. Do tego czasu samoloty przestaną latać. Nawet falcon dziewięćset jej tatusia.

– Pa, pa, kontrolo ruchu lotniczego. Pa, pa, Missy.

- Szkoda. Missy znakomicie robi laskę.  
– Oj, tak. Bez kitu.  
Nie mogłam ich dopuścić do Jacka.
- 

Jachciarze rozmawiali o przygotowaniach rodziców do końca świata wyłącznie w nocy, rozluźnieni paleniem szczepu oracle, który – jeśli wierzyć Jamesowi – chodził po osiemset dolarów za dwadzieścia pięć gramów.

Za dnia grali w siatkówkę. Godzinami. Chyba nigdy ich to nie męczyło, a w dodatku wykazywali się naturalnym talentem. Bez trudu wyobrażałam sobie dziewczyny na letnich igrzyskach olimpijskich, jak kuszą obiektywy lśniąca skórą. Czasami robili sobie przerwy, żeby się obściskować na wydmach albo poopalać – sądziłam, że ta praktyka skończyła się na dobre razem z dwudziestym wiekiem, ale jachciarze nie bali się raka skóry. Mówili, że jeśli uda im się pożyć dość długo, by dorobić się czerniaka, to otworzą szampana.

Było ich sześcioro – dwie dziewczyny i czterech chłopaków. Mieliśmy nad nimi przewagę liczebną, ale oni górowali nad nami czystą siłą fizyczną. Cała nasza grupa nie była w stanie ich pokonać. Ani nawet zadrasnąć.

Żartowaliśmy sobie z tego. Tylko w ten sposób mogliśmy zachować twarz.

Regularnie meldowali się rodzicom, łąsili się do nich. Raz słyszałam, jak ten z bandaną zachwyca się obrzydliwym fioletowo-pomarańczowym sarongiem swojej matki.

James wyjaśniał, że rodzice są ich ubezpieczeniem na życie. I że dlatego należy dbać o stosunki dyplomatyczne.

– Ale przecież by was nie porzucili, nawet gdybyście zachowywali się jak dupki – powiedziała Jen drugiej nocy.

Rodzice jachciarzy zjawiali się późnym rankiem, siadali i zaczęli pić, pozostając w stanie lekkiego paraliżu – nie różniącym się wiele od tego, w jakim bywali nasi – aż do zachodu słońca, kiedy odchodzili z powrotem na jacht, żeby na jego pokładzie wypić ostatni kieliszek przed snem. Trzyosobowy personel podawał im lunch i obiadokolację na plaży, a do tego robił drinki przy mobilnym barze.

Podczas spaceru po plaży zauważyłam, że jacht ma wypisaną złotymi literami nazwę: „Cobra”. Nie był wynajmowany, tak jak wielki dom, tylko stanowił własność ojca Jamesa, zajmującego się „VC”, jak to określił nasz nowy kolega.

– To znaczy *venture capital*, czyli kapitał wysokiego ryzyka – wyjaśnił irytująco Terry, jakbyśmy nie wiedzieli.

No, ja może nie wiedziałam dokładnie, ale coś mi tam dzwoniło.

Matka Jamesa była nieobecna. Prawdopodobnie żyła, ale kiedy się o nią pytało, oczy zachodziły mu mgłą. Ojciec miał już trzecią pokazową żonę, cztery lata starszą od syna. Dziewczyna z jachtu, Tess, wyjaśniła, że to modelka.

Położyłam Jacka obok Shela, na końcu pawilonu. Włączył czołówkę, żeby poczytać przed snem swoją ulubioną książkę *Żabek i ropuch*. Drugą serią, którą uwielbiał, była *George i Martha*. Opowiadała o przygodach dwójki sympatycznych, żyjących w platonicznej relacji hipopotamów.

Potrafił czytać o wiele trudniejsze książki – takie bez żadnych ilustracji – i też je lubił. Miał jednak słabość do starych złotych przebojów.

– Nadal bylibyście ich dziećmi – upierała się Jen. – Co niby mieliby zrobić, zostawić was za ścianą, żebyście się utopili, kiedy przyjdzie powódź?

– Chodzi o kapitał interpersonalny – odparł James. – Nie chcemy go zmarnować. Trzeba się zachowywać na

piątkę z plusem. Doskonale się prowadzić. Nieskazitelnie. Zawsze na czerwony pasek.

Sukey siedziała po jednej jego stronie, Jen po drugiej. Ja zajęłam miejsce naprzeciwko całej trójki, pozostając neutralna niczym Szwajcaria. Osobiście nie czułam chęci prześpiania się z Jamesem. Był atrakcyjny, niczego sobie, ale przypominał mi margarynę. Albo jeszcze sztywne adidasy, takie prosto ze sklepu. Rolkę grubych białych ręczników papierowych.

– No i jak to godzicie? – chciała wiedzieć Sukey. – No wiesz, z narkotykami. I seksem. Tak na początek. Jaracie zielsko. Sypiacie ze sobą. Takie rzeczy zasługują w południowej Kalifornii na świadectwo z paskiem?

– Cóż. To są strategie przetrwania – stwierdził James.

Na wszystko miał odpowiedź.

– Dyskrecja jest najlepszą częścią męstwa – dodała Tess. – Czy mogę prosić bongosa?

– *Henryk IV*, część pierwsza – oznajmił James, podając jej przyrząd. – Akt piąty, scena czwarta. Falstaff.

– Popularny błąd – poprawił ich koleś z bandaną. – Wybacz, Tess. „Najlepszą połową męstwa jest dyskrecja; właśnie tą połową uratowałem całe moje życie”. Wersy trzy tysiące osiemdziesiąt pięć–osiemdziesiąt sześć.

– Falstaff udaje martwego na polu bitwy – przytaknął mu James. – A potem broni swojego tchórzostwa.

Jachciarze mieli własną grę. Nazywała się „Szekspir na wrywki”.

– Minus, minus, minus – mamrotał kwaśno Rafe.

---

Trzeciego dnia w porze lunchu straciliśmy jedzenie. Ktoś zostawił największą lodówkę turystyczną otwartą i mewy

rozsiadły się na jej krawędziach, mocnymi dziobami porazywały opakowania z chlebem. Kawałki sera i owoców walały się po piasku, a wkrótce i one zostały porwane – mewy w niczym nie przypominały danieli. Nie rozpierzchły się, kiedy na nie krzyczeliśmy, a nawet jeśli odlatywały, to tylko na pokaz. Od razu wracały.

Wlaziły nam do grilla, dziobały, połykały.

Poddaliśmy się.

Z rozgoryczeniem myślałam o paczce ciastek, które trzymałam na później.

– Musimy uzupełnić zapasy – orzekł Terry, kiedy skończyliśmy wytykać winnych palcami. – Dwie osoby popłyną z powrotem.

– Moglibyśmy po prostu wrócić – zasugerował Rafe. – Tęsknię za sedesem ze spłuczką.

– Mowy nie ma – ucięła Jen. – Jeszcze nie skończyłam z Jamesem.

Terry posłał jej zranione spojrzenie. Ona go zignorowała.

– Pociągnijmy słomki – zaproponował David.

Postanowiliśmy użyć żdźbeł turzycy. Nie wrywaliśmy ich z wydm – Jack nie pozwolił nam niszczyć roślin – tylko ścięliśmy równiutko po kawałku składanym nożykiem. Najkrótsze wyciągnęli Terry i Rafe. Zapakowali puste lodówki do łódki i chwycili za wiosła. Terry był wyraźnie nadąsany.

Kiedy łódź zniknęła za zakrętem strumienia, kilkoro z nas poszło do jachciarzy, którzy objadali się bułkami z pieczonym homarem. Dee znalazła przy stoliku kucharza płyn do dezynfekcji rąk i smarowała się nim jak emulsją do opalania – pewnie zużyła już swój własny. Sukey, Jen i ja wzięliśmy kilka puszek z colą z lodówki bogatych dzieciaków, a potem usiadaliśmy koło Tess w cieniu jej parasola, a Low wisiał nad nami i prawdopodobnie się gapił. Na kocu plażowym nie było już dla niego miejsca.

– To nasza ostatnia noc tutaj – oznajmiła Tess, maczając krewetkową przystawkę w sosie pomidorowym. – Rano wyruszamy do Newport.

– Już? – zdziwiła się Sukey.

– Serio? – zawtórowała jej Jen.

Obie wydawały się rozczarowane.

– Mieliśmy jechać już wczoraj – odparła Tess, przeżuując kęs. – Ale James ich przekonał, żebyśmy jeszcze zostali. Nie wiedzieć czemu.

Dziewczyny popatrzyły po sobie. Sukey pociągnęła łyk z puszki, wyciągnęła przed siebie długą nogę, obciągnęła palce, pokręciła stopą w jedną stronę, w drugą. Jen wyłowiła krewetkę z naczynka Tess i włożyła do ust.

Ja przyglądałam się odstającym czarnym oczkom krewetek.

– Uważaj – mruknął Low, kiedy odchodziliśmy we dwójkę. – Zaraz zaczną się bić o prawo puknięcia się z tym aryjskim pajacem.

Kiedy doszło co do czego, okazało się, że jak na jego gust jachciarze za bardzo epatują prestiżem wyższej białej klasy średniej. Lubił mawiać o sobie, że jest kwiatem kazachskiej młodzieży: uczył się historii, żeby się przechwalać podbojami Mongołów. Kiedyś wysłał próbkę śliny do jakiejś firmy testującej DNA i wyszło mu, że jest bratanikiem Czyngis-chana.

– Prapraprabratankiem, czy jakoś tak. No, ale tak ogólnie się zgadza – dodał.

Poszłam z Jackiem na plażę, żeby mógł poszukać pobrzeżek (pospolitych, żółtych i europejskich, wyjaśnił). Trochę obawiał się fal, więc nie brodził w wodzie tak jak ja. Zamiast tego godzinami przesiadywał nad basenem pływowym, szukał w nim rybek i innych żyjatek. Starannie odkładał każdy poruszony kamień na miejsce, uważając, żeby nie skrzywdzić po drodze jakiegoś kraba.

Ja siadałam na brzegu i patrzyłam na niebo i falochrony. To było moje ulubione plażowe zajęcie. Próbowałam się rozplątać w ogromie wody i powietrza. Przepychałam uwagę coraz wyżej, przez warstwy atmosfery, aż prawie widziałam z góry całą planetę. Tak jak astronauta podczas wyprawy na Księżyc.

Jeśli można stać się niczym, to można też być wszystkim. Kiedy moje molekuly się rozproszą, pozostanę tu na zawsze. Wolna.

Stanę się częścią istnienia poza czasem. Niebo i ocean też byłyby mną.

Molekuly nigdy nie umierają, myślałam.

Przecież uczyli nas tego na chemii, prawda? Mówili, że molekula ostatniego oddechu umierającego Juliusza Cezara może, statystycznie rzecz biorąc, znajdować się w każdej porcji powietrza, jaką wdychamy. To samo dotyczy Lincolna. Albo naszych dziadków.

Molekuly wymieniają się i mieszają bez końca. Cząsteczki dawniej należące do innych teraz przechodzą przez nas.

– Evie! – zawołał Jack. – Patrz! Znalazłem jeżowca!

To było w moich molekułach najsmutniejsze: że nie będą go pamiętać.

---

Kiedy wróciliśmy, personel pokładowy zdążył już wymienić lunch na obiadokolację. Niebo przecinały bladoporóżowe smugi, a dwoje rodziców z jachtu pływało w oceanie – rzadki widok. Zauważyłam, że nasza zielona łódka wyłania się z płataniny trzciny i zarośli przy ujściu strumienia i wpływa do delty.

Teraz siedziały w niej nie dwie, a trzy osoby.

– A to kto? – Jack zmrużył oczy, próbując lepiej przyjrzeć się nowej postaci. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć.

Większość naszej grupy siedziała z jachciarzami, bo można było od nich odebrać jedzenie i picie. Tylko Low i Val zostali w naszym pawilonie. Ruszyliśmy w ich stronę, mokre buty zwisały nam ze zgiętych palców. Między nimi coś majaczyło – coś skomplikowanego, ciemnego.

Zbudowali ogromny zamek z piasku, stożkową, ostro zakończoną wieżę na planie okręgu, z rzędami tarasowych pięter, pnących się spiralnie ku górze. Val i Low stali po przeciwnych stronach konstrukcji, mieli piasek we włosach i pod paznokciami, w dłoniach ściskali rondle i łopatki do gotowania.

– Miałem wizję – powiedział Low.

– Wizję – powtórzyła Val.

– Wizję potężnej wieży.

– Widzę – odparłam.

– Super – skomentował Jack, zadzierając głowę.

– Ej. – Low odwrócił się w stronę łódki. – Zaraz. Czy to Alicja?

Ledwo pamiętaliśmy, jak wygląda.

Pomachaliśmy do nich i zaczęliśmy, aż łódka podpłynęła bliżej. Rafe zajął się wiosłami, a Terry wyskoczył i wciągnął dziób na piaszczysty brzeg. Alicja, w długiej jedwabnej sukience i srebrnych szpilkach, wyszła ostrożnie na ląd.

Bryza znad oceanu przycisnęła delikatny materiał do jej ciała. Kości biodrowe wystawały po obu stronach wklęsłego brzucha.

Widziałam kiedyś zdjęcie świętych krów nad Gangesem. Takich zagłodzonych.

– Co to za strój? – spytałam.

– Nie miałam czasu się przebrać. Trzeba było szybko wiać. – Zrzuciła szpilki ze stóp, ściągnęła sukienkę przez głowę. Stała na piasku w koronkowym staniku i sznurkowych stringach.





Kilku ojców z jachtu odwróciło głowy w naszą stronę.

– Evie! – odezwał się Jack teatralnym szeptem. – Ona jest gołą!

– Słuchaj, mały – odparowała Alicja. – Jak ty się nazywałeś?

– Jack – odparł mój brat.

– A, tak, tak. Słuchaj, Jack, jak chcesz zobaczyć gołą babę, to mogę ci pokazać. Na razie jeszcze nie miałeś okazji. Widzisz ten kawałek materiału? To się nazywa bielizna.

– Ale ja widzę twoją pipkę.

– Jack, ależ ci się dzisiaj poszczęściło.

Odrzuciła się na pięcie, z pluskiem pokonała kilka kroków w płytkiej wodzie i zanurkowała. Zwinna jak delfin.

Ojcom na jachcie oczy wyłaziły z orbit. Alicja przepłynęła kraulem wzdłuż falochronu.

– Dlaczego mi się poszczęściło?

Poczochrałam mu włosy.

– No, to słuchajcie. Siedziała z tym swoim starszym facetem w barze w miasteczku – zaczął Rafe, wynosząc najmniejszą lodówkę turystyczną na brzeg. – Robiła mu lap dance. I wtedy wchodzi jej ojciec. Dostał szału, odgrażał się, że każe typa aresztować. Chciał złożyć doniesienie o przestępstwie. Że koleś ją zgwałcił. Oczywiście tylko w sensie prawnym, bo jest nieletnia.

– Zgwałcił – przytaknęła Val. – Ale tylko w sensie prawnym.

– Koleś ponoć myślał, że ma dwadzieścia cztery lata. Ale słuchajcie tego: okazało się, że jej stary był tam na randce z Tindera. A Alicja o tym wiedziała, bo widziała, jak jedna laska z nim pisała, zanim przyszedł. No i mówi ojcu: mama nie byłaby zachwycona, co? Więc może oboje trzymajmy język za zębami. Zasadniczo to był szantaż.

– Szantaż – zawtórowała Val. – Zasadniczo.



Nie podobał mi się stosunek Alicji do Jacka, ale musiałam przyznać, że dziewczyna się nie szczypie.

---

Z jachtu przyszła wiadomość: w ostatni wieczór pobytu w naszej zatoce na pokładzie „Cobry” odbędzie się przyjęcie. Byliśmy zaproszeni.

Obstawałam, że zawdzięczamy to pojawieniu się Alicji.

Wszystkie dziewczyny poza Val zamierzały się zjawić. Chłopcy z początku kręcili nosami – z wyjątkiem Rafe’a, który lubił wszystko, co drogie.

Poprosiliśmy ich na słówko.

– Bratacie się z wrogiem – oznajmił Low.

Zgadzałam się z nim, choć ostatnio zawsze gdy doświadczałam poczucia więzi z Lowem, towarzyszyła mi mglista, lecz uparcie powracająca odraza na wspomnienie bananowego posmaku. A także irytacja granicząca z żalem, bo gdyby odświeżyć mu oddech i wymienić garderobę na mniej koszmarną, Low mógłby uchodzić za atrakcyjnego.

Pomyślałam, jak cienka jest granica między byciem a niebyciem atrakcyjnym i że – jeśli rzeczywiście istnieje – to robi ogromną różnicę.

Low miał jednak rację: na jachcie było gęsto od rodziców, równie koszmarnych co nasi, jeśli nie gorszych.

– Czego się tak boisz? – pytała Sukey. – Nie masz jaj? A może po prostu kręgosłupa?

Jacht, modelka, noc palenia oracle. Odrzucenie tego byłoby gorsze niż bratanie się z wrogiem. To forma samookaleczenia.

Jack nie przepadał za imprezami, chyba że oferowały dmuchany zamek i tort. Chciał jeszcze trochę nacieszyć

się *Żabkiem i ropuchem*, ale potem zamierzał zabrać się do innej lektury.

– Dostałem ją od takiej jednej matki – wyjaśnił. – To taka jakby praca domowa. Powiedziała, że muszę to przeczytać.

Jen chciała iść na jacht, co oznaczało, że Shel też będzie potrzebował opieki. Czyli ja musiałam zostać w obozie.

Byłam rozczarowana.

Żeglarze złożyli drogie kremowe namioty, zwinęli je w zgrabne paczuski i załadowali na motorówkę razem z bogatymi dzieciakami.

– Na razie – zwrócił się do mnie James przed wejściem na pokład. Podaliśmy sobie ręce. – Obawiam się, że już się nie spotkamy. Stąd do wieczności.

– Okej – odparłam.

– Podasz mi swojego Snapa?

– Mam zakaz używania Snapchata.

– To Instagrama.

Kiedy słońce zaczęło się zapadać za horyzont, motorówka przyjechała, żeby zabrać naszą paczkę na jacht. Patrzyłam za nimi z brzegu. Alycia stała na dziobie jak galion, bosa, w cienkiej, lejącej się sukience. Czarne włosy powiewały za nią, gdy łódka przyspieszyła.

Nawet nie włożyła kapoka. Reszta na rozkaz sternika siedziała w niezgrabnych pozach i dusiła się w pomarańczowych kamizelkach. Wyglądało jednak na to, że jej nie powiedział ani słówka. Może go onieśmiewała.

Jachciarze zostawili nam swoją paczkę pianek. W pastelowych kolorach, a przy tym w pełnym rozmiarze, nie miniaturowe, rzadkie połączenie. Jack był zachwycony. Piekl nad ogniskiem po sześć naraz, a palce tak mu się lepiły, że musiałam umyć mu ręce w chlupiących morskich falach, kiedy skończył jeść. Usiedliśmy między ogniskiem a wysoką

wieżą z wizji Lowa – ja, Jack, Shel, Val i Low. Piliśmy z Lowem ciepłe piwo z puszki.

Po wodzie szło echo rytmicznej muzyki dance, a potem niebo rozświetliły fajerwerki. Nad jachtem rozkwitały czerwone, niebieskie i białe kwiaty iskier. Jak w Dzień Niepodległości.

Nagle uświadomiłam sobie, że to dzisiaj. Czwarty lipca.

Puszczaliśmy własną muzykę z bumboksa, ale mieliśmy tylko płytę z piosenkami folkowymi Lowa. Tak jak można było się spodziewać po jego hipisowskich ciuchach i sandałach, lubił zespoły z lat sześćdziesiątych. *And still somehow, it's cloud illusions I recall. I really don't know clouds... at all.*

Baterie się wyczerpały.

Kiedy skończyła się muzyka, ktoś zaproponował, żebyśmy poopowiadali sobie straszne historie. Zaczęliśmy od tej o jednorękim mordercy, czającym się na parę nastolatków, którzy migdalili się w zaparkowanym pikapie. Usłyszeli drapanie, ale je zignorowali. Kiedy wysiedli z auta, zobaczyli zwisającą z klamki protezę w kształcie haka.

Jack zapiszczał.

Następna była sprytna opowiadka o białych ślepiach w nogach łóżka małej dziewczynki. Suspens, suspens, rozwiązanie: to były jej własne palce u stóp, oświetlone blaskiem księżyca.

Przez ten czas Low przysuwał się do mnie. Jedną nogą dotknął mojej. Odsunęłam się lekko, udając, że to bezrefleksyjny, naturalny ruch.

Postanowiłam też coś powiedzieć. Może nadeszła już pora. Niekoniecznie dla Shela – nie mógł czytać z ruchu warg po ciemku – ale dla mojego brata owszem.

– Słuchaj, Jack. Teraz muszę ci opowiedzieć nową historię. Tym razem prawdziwą. O przyszłości.

Jack popatrzył na mnie sennym wzrokiem.

- Evie. Chodzi o niedźwiedzie polarne? I pingwiny?  
– Tak. O niedźwiedzie i pingwiny. I o nas.
- 

Później Jack otarł oczy i obciągnął szczuplutkie ramiona.  
Mój brat był dzielnym chłopcem.

---

Następnego ranka spałam do późna, bo przez całą noc budziłam się przy każdym ruchu Jacka, dręczona obawami, że teraz przeze mnie ma koszmary. Kiedy wstałam, „Cobra” już dawno zdążyła podnieść kotwicę i odpłynąć. Jak okiem sięgnąć rozciągała się przede mną tylko pustka oceanu.

Dookoła spali imprezowicze, zwinięci w śpiworach w ciche kłębki. Z wyjątkiem Rafe’a, który rozwalił się na piasku przy resztkach ogniska, ubrany w coś, co przypominało togę.

A Jack pokazał mi książkę, którą czytał. Powtórzył, że dostał ją od matki.

– Od której? – dopytywałam.

Chciałam to wiedzieć, bo książka miała tytuł *Biblia dla dzieci: opowieści ze Starego i Nowego Testamentu*.

– Ta... Ta, co nosi sukienki w kwiatki – odparł niepewnie.

Matka-chłopka. Wpadająca na rośliny.

– Ta pani dała ci Biblię?

Dla naszych rodziców wychowanie w wierze nie stanowiło priorytetu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta na letnie wakacje, Jack przerwał na chwilę grę w Minecrafta na tablecie i spojrzął przez okno. Wskazał palcem na dach kościoła baptystów i zapytał matkę, co oznacza ten wydłużony plus na jego czubku.

– To tylko zbiór bajek z obrazkami. Są w nich ludzie i zwierzęta, ale nie tak mili jak George i Martha.

– No cóż, z nimi ciężko konkurować – zgodziłam się.

Jack wyjaśnił, że w pierwszej historii występuje mówiący wąż i pani, która bardzo lubi owoce. I ma na imię tak samo jak ja!

– Ale nie podobało mi się, że wąż jest tym złym. To bardzo niemiłe. Wiedziałaś, że węże potrafią wyczuwać zapachy językiem?

– A o czym mówi ta historia?

– Że jak można mieszkać w ładnym ogrodzie, to nie powinno się go nigdy opuszczać.

---

Koło południa, gdy reszta zaczęła się wiercić i wstawać, David ziewnął przeciągle, zbyt długo. Mogłam praktycznie obejrzeć jego migdałki.

– Ej – odezwał się. – Gdzie jest Alicya?

– Ee... Została na jachcie – odparła Dee. – Popłynęła z nimi na Rhode Island.

– Co? Och. O, nie – jęknął David.

– Jej tata serio się wpieni – stwierdził Terry. – A właśnie, Rafe go odhaczył. Szach-mat. Przyjechali do domu taką vintage beta, kojarzycie którą? Ona wyskoczyła ze środka, a on za nią. To ten z nalaną szczęką, zakrywa ją kozią bródką.

– Nadal nie wiemy, kto jest jej matką – zauważył Low.

– Wkrótce się przekonamy – zapewnił Terry.

– Poznamy po tym, że zaraz się będą rozwodzić – prychnął Rafe.

Ściągnął togę: pod spodem miał kąpielówki, które, jak zauważyłam, należały wcześniej do Jamesa – i zabrał się do

strzeptywania piasku z materiału. Okazało się, że to prześcieradło.

– Na byle czym nie sypiają – skomentował, oglądając materiał.

– Ja wczoraj odhaczyłam troje rodziców – oznajmiła Jen, ziewając. – Ktoś chce się dowiedzieć?

– Troje? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– A ja jeszcze lepiej. Odhaczyłam Jamesa – pochwaliła się Sukey.

– Serio? – Rafe przerwał strzeptywanie prześcieradła, pokręcił głową. – Ja też.

Przez chwilę gapili się na siebie.

Śliski głośno się roześmiał.

Prześcieradło pochodziło z koi Jamesa, dodał Rafe (jakby to miał być jakiś dowód).

Sukey na to, że zrobili to z Jamesem w kokpicie. Czy tak to się nazywa na statku?

Następnie Dee ogłosiła, że wylądowała z Jamesem w jachtowym pokoju gier, na stole do bilarda. Głównie się całowali. On chciał więcej, ale mu nie pozwoliła.

Cała trójka zweryfikowała wzajemne zeznania, powołując się na znamię na ciele Jamesa, a następnie przeszła do szczegółowej dyskusji na temat jego napakowanej sylwetki.

– Ej, puszczalscy! Dzieci was słyszą – skarciłam ich. – Spuśćcie trochę z tonu.

Jack siedział w forcie z rozpiętych koców i czytał *Piękny dzień George'a i Marthy*.

Jen zmieniała temat, ewidentnie niezadowolona, że nie załąpała się na członkostwo w seksklubie Jamesa. Zwłaszcza że – jeśli wierzyć Dee, do czego nie byłam bezwarunkowo przekonana, bo zdarzało jej się mijać z prawdą – nawet sztywna oralna dziewica ją wysiudała.

Terry zrobił zarozumiałą minę.

– A więc gra jest praktycznie skończona – stwierdziła Jen. – A dlaczego? Bo mamy w naszym gronie lizodupów.

Ktoś z nas zapragnął zrobić wrażenie na jakiejś modelce, więc zaczął się przechwalać, że ma ojca reżysera. Podał nazwisko prosto z mostu. A następnie doprawił listą jego filmów. Wszystko, byle wywołać efekt.

Śliski. Mogliśmy się tego spodziewać.

– Wstyd – powiedział Rafe. – Wstyd, podwójny wstyd.

Śliski pochylił głowę i splunął. Kopnął żarzące się resztki ogniska.

Ktoś inny próbował wkupić się w łaski Jamesa rozmową o bunkrach kryzysowych oraz informacją o matce architektce. Wtedy Jen skojarzyła to z podsłuchaną wcześniej dyskusją rodziców o przeprowadzanej renowacji penthouse'u na Piątej Alei dla saudyjskiego księcia. Chodziło o matkę Dee.

Wreszcie przyszło najgorsze, bo najbardziej zaskakujące. Terry'ego przyłapano na dosadnych, kierowanych do Tess, uwagach o umiejscowieniu punktu G. Skąd tyle wie na ten temat?, spytała ponoć Tess, jeśli wierzyć Jen. Na co Terry: bo ma w rodzinie ginekolożkę.

Wszyscy wiedzieliśmy, która matka jest lekarką. Przy kolacji złożonej z niezbyt dobrych tofu dogów usiłowała przeprowadzić nam zajęcia grupowe z zagrożeń, jakie niesie zarażenie wirusem brodawczaka ludzkiego.

Terry jęknął i sięgnął po piwo.

– Weź, to wszystko przez oracle!

– Próbujesz zwać winę na zioło? – prychnęła Sukey. – Żałosne.

Zeszło ze mnie powietrze.

– Nie wygrasz, dopóki nie pozostaniesz jako jedyna na placu boju – zwrócił uwagę Low. – Wiele z nas ma jeszcze szansę.



– Ile nas zostało, czworo? – odparła Jen. – Jeśli Evie i Jacka liczyć jako jedno?

– No, ja wciąż jestem w grze – wtrąciła Sukey.

– I ja – dodał Rafe.

– Ja też – zawtórował mu Low.

Mimo to uszło z nas powietrze. Gra straciła na wartości.

– Ale słuchajcie – odezwał się Low. – Teraz na poważnie. Kiedy pojechaliliśmy do domu po jedzenie, rodzice mówili, że nadchodzi zmiana pogody.

– Na jaką? – spytała poruszona Dee. Łatwo ją wytrącić z równowagi.

– A jak myślisz? Burza. Powiedzieli, że jeśli dziś rano nie wrócimy, to sami po nas przyjadą.

Przez jakiś czas kłóciliśmy się o to, czy należy im ulec i czy nie zmyślili nadchodzącego załamania aury, żeby ściągnąć nas z powrotem: owszem, trwała pora huraganów, ale burze miały nie być takie groźne aż do sierpnia, może września.

Stawialiśmy jednak opór bez przekonania. W oddali nad wodą majaczył już niski mur ciemnych obłoków. Wiał chłodny wiatr, a powierzchnia oceanu przybrała matowy szary odcień.

Niechętnie się spakowaliśmy, zdarliśmy łuszczące się płachty brezentu i pozbialiśmy kijki narciarskie, a następnie zapakowaliśmy wszystko do jednostek pływających.

Jen usiadła przy mnie w łódce, wciąż nadąsana przez sprawę z Jamesem. David był zamyślony, niespokojnie podrygiwał jedną nogą, a pogrążony w melancholii Jack rysował w notesie pingwiny złotoczube.

Nikt się nie zaoferował do pomocy, więc odepchnęłam łódkę od brzegu i zaczęłam wiosłować.

Zerknęłam za siebie, ale nie dostrzegłam żadnych śladów naszej bytności na brzegu, jeśli nie liczyć kilku dziur

w piachu, odcisków stóp, kawałków zwęglonego drewna i kupki popiołu. Może parę patyków leżało nie tam, gdzie powinno. I jeszcze ta wysoka piaskowa wieża, stopniowo podmywana falami przyływu. Znaliliśmy zasady: nic po sobie nie zostawiać.

Rzecz jasna, jakieś ślady zawsze musiały zostać. Cała sztuka polegała na tym, żeby je dobrze ukryć.

Na pewno zostawiliśmy po sobie trochę molekuł, pomyślałam, ciągnąc i pchając. Ale nic, co zdradzałoby naszą tożsamość. Tylko drobinki skóry, włosów i paznokci, niosące się hen, wzdłuż i wszerz, przez ocean.

### 3

**B**yliśmy zmęczeni i brudni od wiosłowania pod prąd. Każdy chciał już wziąć prysznic, a wczorajsi imprezowicze marzyli o jakimś remedium na kaca. Ja tęskniłam za chwilą samotności.

Kiedy letnia willa zamajaczyła po drugiej stronie jeziora, poczułam się, jakbym wracała do domu. Potrafiłam sobie wyobrazić, że mieszkałam całe życie tutaj, a nie w ponurym budynku na Greenpoincie.

Oczyrna duszy oglądałam wyobrażoną przeszłość: pływanie w jeziorze każdego lata, wylegiwanie się na plecach w wysokiej trawie i szukanie gwiazdozbiorów. Bieganie ile sił w nogach, z rozpostartymi szeroko rękami po ubitej drodze pod sklepieniem splecionych gałęzi drzew, rosnących po jej obu stronach. Włóczęgi po skłębionych leśnych ostępach.

---

Rodzice byli już jednak ogarnięci paniką.

Kilka samochodów stało jeszcze na podjeździe, ale większość została zabrana w głąb lądu na wyprawę po

zapasy. Kilku ojców wyszło na dwór, żeby poprzybijać płyty ze sklejki do okien. Zatrzymali nas we foyer i poprosili Rafe'a i Terry'ego o pomoc.

– Seksistowskie knury – prychnęła Sukey pod nosem. Ruszyła za nimi na zewnątrz, żądając młotka.

Jack i Shel zniknęli w lesie.

Matki stały pochylone nad wannami w łazienkach i napełniały wiadra wodą. W kuchni sortowały i liczyły baterie, rozkładały na blatach latarki i czołówki. Lodówki turystyczne, które mieliśmy ze sobą na plaży, zostały zarekwirowane.

Ktoś grzebał przy radiu, we wszystkich gniazdkach ładowały się telefony.

Coś trzeszczało w powietrzu.

Pomogłam im pozgarniać kostki lodu z zamrażalników do woreczków strunowych. Palce mi zdrętwiały. Telewizor pokazywał wijące się kłęby nadchodzących prądów. Pogodynki mówiły o stopniach, prędkościach wiatru, kierunkach, wskaźnikach, pasmach. Już słyszeliśmy te terminy wcześniej. Wprowadzono obowiązkową ewakuację, choć byli też tacy, którzy uparli się, żeby „przeczekać sytuację”. Część z nich miała umrzeć z czystej głupoty.

Niektórzy mieli stracić życie przez miłość do swoich domów. Inni – przez własną starość i kruchość. I tacy, na których czekała śmierć podczas prób ratowania innych.

Kilkoro z nas korzystało ze świeżo poluzowanych zasad: niosąc wiadro z lodem dla którejś z matek, minęłam otwarte drzwi sypialni i zobaczyłam, jak Low wyleguje się na rodzicielskim łóżku. Celował pilotem w telewizor i skakał po kanałach dla czystej przyjemności olewactwa.

– Truteń! – powiedziałam, wskazując na niego palcem.

Koło mnie zjawił się ktoś jeszcze. Niski ojciec. Z brzuszkiem.

Wsparł po kobiecemu ręce na biodrach i zajrzał do środka.

Jego twarz wyrażała święte oburzenie. Low natychmiast zorientował się w sytuacji. Mina mu zrzedła.

– Lorenzo, proszę mi natychmiast wstać z tego łóżka.

Low posłusznie się podniósł. Ociężała. Z rezygnacją.

– Jesteś totalnie spalony – powiedziałam.

Zostawiłam go sam na sam z upokorzeniem. Zauważyłam Jen sprawdzającą sobie makijaż w lustrze i powiedziałam jej o ojcu Lowa.

– Jeden poległ, zostało jeszcze troje – skomentowała.

W salonie dostrzegłam matkę, klęczącą przed barkiem jak przed ołtarzem.

– Przydałby się jeszcze burbon, sherry, wódka i wermut – powiedziała do komórki. Pomachałam do niej, bo nie widziałyśmy się od dobrych kilku dni. Zauważyła mnie, ale kompletnie zignorowała. – Co najmniej cztery bulleity – ciągnęła. – Czekaj, mają takie półtoralitrowe?

---

W końcu zaczęłam się martwić o Jacka, więc wyszłam go poszukać. Minęłam truchtem korty tenisowe i ruszyłam w stronę lasu z domkami na drzewach.

Nie zastałam tam brata, ale dostrzegłam bliźniaczki wyrwijące sobie lalkę. Chyba nie usłyszały, jak się zbliżam, bo zanim zdążyłam się odezwać – zamierzałam zapytać, czy widziały Jacka – ta o imieniu Kay nagle puściła zabawkę. Siostra poleciała w tył i upadła płasko na plecy.

Wtedy Kay sięgnęła po kamień, nachyliła się i łupnęła nim siostrę w głowę. Mocno.

– Kurwa, co ty robisz! – wrzasnęłam.

Podbiegłam do Amy – Kay w tym czasie złapała lalkę i uciekła z grymasem na twarzy – i uklęknęłam w trawie.

– Amy! Amy!

Krew na czole. Widoczne wgłębienie. Mała pobladła. Nie ruszała się.

– Kurwa, kurwa, matko – mamrotałam.

Nie byłam przygotowana na coś takiego. Na obozie przetrwania w górach Poconos prowadzący skupiali się na wyścigach na trzech nogach i grach terenowych, w których należało zdobyć flagę przeciwnej drużyny.

Dziewczynka była jednak tak mała i lekka, że zignorowałam głos w mojej głowie mówiący: „Czy ją w ogóle powinno się ruszać?”. No trudno. Podniosłam wiotkie dziecko i chwiejnym krokiem pobiegłam do domu.

---

Matka Davida wpadła w histerię, ktoś zadzwonił na dziewięćset jedenaście. Jedyna lekarka wśród rodziców – matka Terry’ego, jak już wiedzieliśmy – była daleko od domu, zajęta napełnianiem wózka sklepowego.

Według kogoś z rodziców Amy mogła mieć wstrząs mózgu. Straciła przytomność. Wprawdzie nikt mi nie podziękował, ale i tak czułam się trochę jak bohaterka.

Do czasu przyjazdu karetki, z której wysiadł zespół ratowników medycznych, przygotowania do burzy wstrzymano. Nad leżącą na kanapie Amy siedziała jej matka, nad nią z kolei wisiała moja, nieco dalej zebrał się wianuszek ojców.

– Czy ona jest w stanie wegetatywnym? – pytała rozdygotana matka Davida. – Czy ma uszkodzony mózg?

Moja matka klepała ją po ramieniu robotycznym gestem, dłonią płaską i sztywną jak u manekina.

– Statystycznie – orzekła – to mało prawdopodobne.

Ciepła i opiekuńcza z natury.

Ratownicy weszli do domu i zrobili swoje – nie udało mi się stanąć dość blisko, żeby popatrzeć, ale wkrótce stało

się jasne, że Amy przeżyje i nawet obędzie się bez śpiączki. Zaczęła podrygiwać i kopać wyciągniętymi na kanapowej poduszce nogami w czerwonych pasiastych skarpetkach i różowych bucikach z paseczkiem oraz wizerunkiem Hello Kitty. Chwilę później rozległ się oskarżycielski jęk.

– Mamo! Kay jest okropna! Uderzyła mnie! I zabrała mi Lacy!

Nadal nie wiedziałam, gdzie jest Jack. Może jego też Kay walnęła kamieniem i uciekła z jego najcenniejszym skarbem (mierzącym ponad pół metra pluszowym pingwinem o imieniu Pinguino). Może ta młodociana psychopatka robiła zapasy tak jak nasi rodzice: zbierała cudze zabawki.

Kilka minut później włączyłam światło w spiżarni, rozglądając się za czymś do jedzenia, i zobaczyłam Davida, którego z jakiegoś powodu zabrakło u boku rannej siostry. Siedział w kącie na podłodze. Obok niego stała butelka.

– Jeszcze ci mało chlania po wczoraj?

– Na jachcie piłem colę. Byłem trzeźwy. Uznałem, że muszę przeprowadzić działanie dywersyjne.

– Co takiego?

– Nie wiedziałem, że Alycia tam zostanie. Nic nie powiedziała. Była zbyt zajęta flirtowaniem z jakimś obleśnym ojcem. Co nie? Sypiała z wrogiem. I nie miałem pojęcia, że nadchodzi burza. Zielonego.

– O co ci chodzi? I co to za działanie dywersyjne?

– Ci rodzice z jachtu to najgorszy rodzaj ludzi. To oni zjedli naszą planetę.

– David. Co ty tam zrobiłeś?

– Najpierw rozważałem przebicie zbiornika paliwa. No ale wiesz. Benzyna w oceanie, ryby by od tego poginęły. Nie chciałem zniżyć się do ich poziomu. Więc tylko po-grzebałem trochę w kodzie ich nawigacji i wpuściłem ma-  
leńkiego wirusa.

Przez chwilę gapiłam się na niego. Nie miałam pojęcia, że jest takim hardkorem.

– Zrozumiałabyś, gdybyś zobaczyła tych rodziców. I usłyszała. Normalnie zgniłe mięso.

– Ale... Ten wirus. Chcesz mi powiedzieć, że...

– Jacht nie dotrze do Newport. – David sięgnął po butelkę, pociągnął łyk.

Pił szampana. Alkohol pienił mu się wokół ust, ściekał po szyi, moczył koszulkę.

– Słuchaj. Odpłynęli bez problemu. Ich załoga na pewno da radę to naprawić – pocieszałam. – Pewnie już dawno jest po sprawie.

David pokręcił głową.

– Wątpię.

Był tak przybity, że usiadłam obok i trącałam go ramieniem.

– Oni tam mają obsesję na punkcie systemów awaryjnych. Co nie? I są obrzydliwie bogaci. Spadną na cztery łapy, mogę się założyć.

Na zewnątrz rozlegały się coraz głośniejsze uderzenia młotków, a potem głos matki proszącej o pomoc w znalezieniu psiej karmy.

Przygotowania do burzy zostały wznowione, więc zostałam Davida z jego wyrzutami sumienia. Musiałam znaleźć Jacka.

---

Na dolnej pryczy znalazłam wystawkę z Pinguino i kolekcji książek, ale mojego brata nigdzie nie było.

Jen i Terry lizali się w szklarni. Odessali się od siebie, dopiero kiedy wetknęłam głowę do środka.

– Serio? – skomentowałam.

– Ej, kazali nam przynieść zbiory – powiedziała Jen.



– Po prostu nie mogliśmy się oprzeć – dodał Terry, nie kryjąc samozadowolenia. – To nasze miejsce. Mamy stąd wspomnienia.

– Nasze? Błagam, zamknij się, to brzmi obrzydliwie. – Jen aż się skrzywiła.

Wrócili do zrywania pomidorków koktajlowych z krzaczka. Szklarnia składała się z czterech ścian z popękanego szkła i kilku spróchniałych zastrzałów, ale w płątaninie chwastów rośło jeszcze kilka warzyw.

W szopie na narzędzia – pusto.

W hangarze na łodzie – pusto.

W domkach na drzewach znalazłam tylko powycinane inicjały.

Po jakimś czasie jednak zaszłam do błotnistej zatoczki nad jeziorem, ukrytej wśród trzciny i zarośli, i tam znalazłam chłopców.

Mieli przy sobie pudełko po butach i dwie siatki na motyle z szafy na zabawki. Gdy się zbliżałam, akurat siedzieli w kucki przy pojemniku i nakładali na niego pokrywkę.

– Jack, wszędzie cię szukałam.

– Przepraszam, Evie.

– Co tu robicie?

– Zbieramy.

Jack lubił kolekcjonować różne skrawki natury – mech, kwiaty, kamienie – i budować z nich miniaturowe dioramy na tackach albo w blachach do pieczenia. Wśród roślin robił oczka wodne i wpuszczał do nich małe rybki albo kijanki, które zgarniał do filiżanek i słoików, a potem umieszczał w sztucznych ministawach. Wkrótce jednak zacyznał się o nie martwić i zabierał z powrotem do jeziora.

Jedna z jego kolekcji była tak śliczna, że marzyłam, by się skurczyć i w niej zamieszkać. Maciupeńkie drzewka z uciętych gałązek, krzewy z porostów, mostek z kawałka

zawiniętej kory. Zrobił też jaskinię z kamyków i cały łańcuch oczek wodnych w muszlach po małżach. W cieniściej altanie z listków i patyczków wisiał srebrzysty kokon; Jack miał nadzieję, że wykluje się z niego motyl.

Tak się jednak nie stało.

– Okej. Ale chyba powinniście wracać do domu.

Shel pokręcił głową i zamigał kilka słów: nauczył Jacka podstaw języka migowego.

Potrafił mówić, ale prawie nigdy tego nie robił.

– Musimy znaleźć jeszcze trochę. Evie, to ważne.

– Burza też jest ważna.

– Ale to właśnie na burzę – upierał się. Nieugięty.

– Słuchaj. Dam wam jeszcze godzinę. Zgoda?

Jack popatrzył na Shela, a ten pokiwał głową.

– I się nie rozdzielajcie.

– Będziemy pilnować się nawzajem. Słowo honoru.

---

Konwój powrócił ze świeżym zapasem płyt ze sklejki. Ojcowie zaczęli się już irytować. Mieliśmy mniej narzędzi niż rąk do pracy, więc młotkami trzeba było się posługiwać na zmianę.

Kiedy Jack wreszcie zjawił się w domu, podszedł do mnie i pokazał krwawiący palec.

– Co się stało? – spytałam, ale moją uwagę odciągnęła przemykająca koło nas Kay. Ciągnęła lalkę siostry za nogę; zabawce nieźle się oberwało. Straciła drugą nogę, a włosy miała obcięte na krótko, tak że została jej tylko szczecina blond kępek.

– Potem ci opowiem – powiedział Jack.

Wróciłam do zabijania okien deskami, ale w tej samej chwili ktoś położył mi dłoń na ramieniu.

Ojciec Alicii, ten od koziej bródki i randki z Tindera.

– Ee... Edie, tak?

– Eve.

Cała ta rodzina miała jakiś problem z zapamiętywaniem imion.

– Eva. Nie wiesz czasem, gdzie jest moja córka?

Cholera. Dlaczego ja?

Postanowiłam, że powiem mu o jachcie. Ale czy powinienam dodawać też informację o możliwej awarii systemu nawigacyjnego?

Nie chciałam ściągać konsekwencji na Davida.

A jednak.

Przez chwilę stałam z młotkiem w ręce. Wydawał mi się coraz cięższy.

– Postanowiła, że nie wróci z nami.

Ojcu lekko opadła szczęka.

– Co proszę? Dalej tam jest? Sama? Na plaży?

Stojąca obok mnie Sukey też przerwała wbijanie gwoździ.

– Popłynęła do Newport – oznajmiła z właściwą sobie bezceremonialnością. – Na jachcie o nazwie „Cobra” z inwestorem kapitału wysokiego ryzyka.

– Ha, ha! Dobra, a teraz na poważnie.

– Ja mówię poważnie.

– Bez wygłupów!

– Nie wygłupiam się – odparła Sukey i wróciła do pracy.

Ojciec odszedł, wyraźnie oszołomiony.

Matka ginekolożka zeszła po schodach prowadzących z pokoju śniadaniowego.

– Zapowiadają czwartą kategorię. Wiatr do dwustu trzydziestu na godzinę!

– I po co takie historie? – skomentował niski ojciec (Lowa, odnotowałam nie bez satysfakcji). Trzymał w dłoni butelkę piwa. Palcem nie ruszył przy zabezpieczeniu okien, tylko stał i krytykował. – Sami się przekonacie.

Inna matka wytknęła głowę przez drzwi.  
– Gdzie jest Alicja?  
No nie, znowu to samo.  
– Na jachcie, płynącym w stronę Rhode Island.  
– Mają na nim świetne jedzenie – wtrąciła See. – Szefer kuchni pracował kiedyś w Chez Panisse.  
Postanowiłam nie patrzeć w tamtej chwili na matkę.  
Wszyscy wiedzieli, że Alicja nie je.

---

Deszcz zaczął coraz mocniej, a my nadal nie mieliśmy zabezpieczonych wszystkich okien. Ojcowie się poddali: zaczęli odkasływać, kręcić głowami, odchodzić do mieszania drinków.

Po gwizdku na kolaję wpadliśmy głodni do jadalni. Deszcz łomotał jednostajnie o dach, ale pomieszczenie było ogromne, więc tłumiło huk kropel. Z wysokiej krokwi zwiślał imponujący żyrandol – dawniej należący do Teddy’ego Roosevelta. Albo w każdym razie tak twierdził segregator, zawierający historię domu. „Ten ziomek na wózku”, pokiwał głową ze znanstwem Śliski, kiedy to przeczytaliśmy.

Znajdował się tam też stół, długi jak dla króla. Mimo to nie mieściliśmy się przy nim wszyscy. Dom nie powstał z myślą o tak licznych gościach – rodzice musieli dostać specjalne pozwolenie, by umieścić nas na strychu – więc pod jedną ze ścian porozstawiano stoliki do gry w karty i ulokowano tam tych z nas, dla których nie starczyło miejsca przy głównym stole. Zazwyczaj ścigaliśmy się do nich przy kolacji, bo dystans od rodziców przydawał im atrakcyjności.

Dziś jednak nie czekało na nas nic do jedzenia. Królewski stół świecił pustkami; zastaliśmy na nim tylko dwie puste torebki z karbowanymi czipsami.

Pomruk niezadowolenia.

- Lista obecności! – krzyknęła matka Jen.
- Obiad – zażądała stanowczo Sukey.
- Będzie spaghetti. W takim razie nakryjcie stół.

David porozkładał noże, ja widelce.

- Mówiłeś jeszcze komuś, że grzebałeś w komputerze na jachcie? – spytałam szeptem nad szufladą ze sztućcami.

On tylko pokręcił głową.

- A muszę? – odparł przybity.
- Daj mi się nad tym zastanowić.

Wtedy jednak do jadalni weszli rodzice Alicii. Byli wzburzeni.

- Straż przybrzeżna odebrała wezwanie pomocy! – oznajmiła jej matka. – Z tego jachtu, na którym odpłynęła!
- Wyślą do nich oddział ratunkowy? – chciał wiedzieć ojciec Jen. – Jakież służby?
- Nie wiadomo. Nie wiadomo! – wrzeszczała matka.
- Nie wiadomo – uściślił ojciec.

---

Kiedy nawijałam makaron na widelec, zorientowałam się, że rodzice przestali pić na co najmniej dwie godziny. Głos prezentera pogody kazał im się przygotować, więc tak zrobili.

Nie radzili sobie z długoterminowymi ostrzeżeniami. A nawet ze średnioterminowymi. Wciąż jednak działały im odruchy.

- Evie, wiesz co, możliwe, że mamy kłopot – odezwał się Jack, kiedy kończyłam.

Zjawił się za mną bez ostrzeżenia.

Zeszłam za nim po schodach do piwnicy. Na dole czekał Shel. Stał przed zamkniętymi drzwiami, które – jeśli mnie pamięć nie myliła – prowadziły do kotłowni.

– Słuchaj.

Przyłożyłam ucho do drzwi. W pierwszej chwili nic nie słyszałam, ale potem zorientowałam się, że z wnętrza dobiega syk – nie, nie syk. Brzęczenie.

– Widzisz, wyleciały z ula! Nie wiedzieliśmy, że to zrobią.

– Czy to znaczy, że...

– Chcieliśmy zabrać wszystkie pszczoły, ale nie mieliśmy tyle czasu. Ten był największy.

Odsunęłam się od drzwi.

– Jack. Przytaszczyliście tu ul?

– Jedna kropla deszczu wystarczy, żeby zabić pszczołę – odparł.

Wyobraziłam sobie, jak razem z Shelem dźwigają ul przez podwórko, i prawie podniosłam na niego głos.

Kiedy wróciliśmy na górę, w salonie zastaliśmy tylko rodziców. Wzmagał się wiatr. Łomotał już jedną poluzowaną deską na oknie i szarpał gałęziami wielkiej wierzby, które drapały o przeszklone ściany pokoju śniadaniowego.

Na dworze zapadł nieprzenikniony mrok, jeśli nie liczyć pomarańczowych kropek lamp oświetlających ścieżki prowadzące do domu.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Jack.

Okazało się, że oglądają telewizję w bibliotece. Na ekranie wyświetlał się prosty obraz: wirująca jednostajnie spirala nadchodzącej burzy.

– Możemy pooglądać coś innego? – spytał Śliski.

– Ej, mamy w domu ul – powiedziałam.

---

W środku nocy burza natarła z pełną siłą.

Przewracałam się z boku na bok na karimacie i słuchałam drżenia ścian chlastanych podmuchami wiatru. Byłam

więc w pełni rozbudzona, kiedy w okno na strychu uderzyła gałąź, a następnie parła dalej, aż spadła, zrywając przy tym kawałek dachu.

Odcięło nam prąd: pstrykanie włącznikami światła nic nie dawało. Deszcz zaczął przez poszarpaną dziurę.

Wszyscy wpadli w popłoch. Na oślepie dotarłam do Jacka, który siedział na swoim łóżku i ścisnął Pinguino. Następnie całą gromadą zbiegliśmy na dół. Rodzice biegali we wszystkie strony, a wśród kakofonii głosów rozblęsnęły latarki i płomienie świec.

– To ta wielka wierzba! – zawołał ktoś.

W pokoju śniadaniowym na stół lała się woda, płyty tynku odrywały się od sufitu, a deszcz wpadał strumieniami przez wybite okno, sięgające od podłogi do sufitu, a teraz przecięte wykrzywionym pniem ogromnego drzewa. W świetle lampy ogrodowej zobaczyłam, co się wydarzyło: kołtun czarnych korzeni wystawał z ziemi, wyrwany przez wiatr.

– Halo! Gdzie sklejka? – krzyknął któryś z ojców.

– Niech mi ktoś przyniesie wiertarkę bezprzewodową! – domagał się inny.

– Co to jest? – zapytał Low, wskazując przez wybite okno na rozległy trawnik.

– Światło, dajcie światło – poprosiła matka i kilka promieni latarek omiotło podwórko.

– Błyszczycy się – stwierdził Jack.

– To woda – powiedział ojciec.

– Jezioro jest na podwórku.

Wszędzie dookoła było pełno wody.

– Co mówili na kanale pogodowym? Ile centymetrów spadło? – dopytywał ktoś z dorosłych.

Zbyt wielu ludzi krzyczało jednocześnie. Plamy światła z latarek tańczyły gorączkowo po podwórku, a połacie deszczówki rozciągały się we wszystkie strony. Powierzchnię

wody cięły i dziobały kolejne krople deszczu, rozmywające się w gęstwinie smug.

W salonie zwołano kolejne zebranie, ale łomotanie deszczu i wiertarki ojców zagłuszały wszystko, co mówili rodzice. Ciemny żyrandol wisiał nad nami złowrogo jak mętna szklana meduza w mrocznej głębinie sufitu. Na stole furkotały płomyki świeczek. Przestępowaliśmy z nogi na nogę. Od kogoś czuć było starym potem.

Ponieważ nie słyszeliśmy rodziców, to zaczęliśmy szeptać między sobą. Worki z piaskiem. Da się je kupić? Czy trzeba zrobić samemu?

Już tęskniłam za elektrycznością. Bez światła i prądu, w domu popękkanym w kilku miejscach na ścianach i suficie, zaczęła mnie ogarniać dziwna bierność. Jak moglibyśmy się przed tym ochronić? Co w ogóle można zrobić w takiej sytuacji?

Kiedy wyczerpały się pomysły, strumień ciał znów wylał się z pomieszczenia i poniósł nas ze sobą.

– To jaki jest plan? – spytałam matkę, która znalazła się najbliżej. – Nic nie słyszałam.

– Dwieście worków na śmieci – odparła. – I jak najwięcej srebrnej taśmy.

---

Były jakieś prace do wykonania, było mokro i zimno, było czarne sklepienie nieba. Nie pamiętam kolejności wydarzeń. Wiem, że brodziliśmy w mętnej cieczy na podwórku, pomagając kilku ojcom zabezpieczyć dom przed wodą. Nie widzieliśmy, co robią, ale ich wysiłki nie sprawiały wrażenia zaawansowanych technologicznie.

Trzymając parasolkę nad głową jakiegoś ojca, opuściłam głowę, kierując promień czołówki na własne nogi; obie



tkwiły w wodzie. Dolne krawędzie piwnicznych okien zostały już połamane przez jej kilkanaście centymetrów.

Dom zmienił się w wyspę.

Gdy wiatr na chwilę ucichł, usłyszałam nad sobą jakieś odgłosy i wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, kto to. Z dachu zwisała para chudych nóg w bojówkach.

– Hej! – zawołałam. Nogi zniknęły i zamiast nich pojawiły się ramiona i głowa. Val. W jednej ręce trzymała biały worek na śmieci, wzdymający się na wietrze.

– Co ty tam robisz?

– Przykrywam! Dziurę w dachu! – odkrzyknęła.

Wysłali dziecko na dach podczas burzy z piorunami.

Zbiliśmy się w ciasne stadko na materacach i karimatach w suchym kącie strychu. Worki, którymi Val pozaklejała dziurę, już po kilku godzinach porwały się i zapadły; po przebudzeniu odkryłam, że woda pochłonęła jeszcze większą część pomieszczenia. Po deskach sunęła warstwa wilgoci. Chłodne powietrze szeleściło i wydymało folię.

Jacka nie było przy mnie, za to zobaczyłam obok siebie Śliskiego. Chrapał. Low leżał w rogu, zwinięty w pozycji embrionalnej. Śpiwory czuć było stęchlizną, poduszki pożąłkły, a w szarym świetle poranka okazało się, że wszyscy mamy umorusane twarze. Poszliśmy spać w brudnych ubraniach.

– Ochotnicy! Ochotniczki! – rozległ się kobiecy głos.

Matka-chłopka oparła się o drzwi. Cienkie szpakowate kępki włosów sterczały jej na wszystkie strony. Wyglądała, jakby ktoś próbował stworzyć równe rzędkę warkoczyków, a zamiast tego wyszedł mu wysłużony kudłaty dywanik.

– Potrzebujemy łodzi! Są tu jacyś dobrzy pływacy? Łodzie wypłynęły nam z hangaru! Pozrywały się!

Śliski, Val i ja wsunęliśmy na stopy mokre buty i zbiegliśmy na dół po schodach. Na frontowym podwórku, położonym nieco wyżej niż to na tyłach, zastaliśmy rodziców, rozpaczliwie usiłujących pomieścić wszystkie auta na trawiastym pagórku z boku podjazdu.

Brodząc w wodzie po kolana, przeszliśmy przez tylne podwórko. Stopy grzęzły mi w trawniku, zmienionym w błoto. Cieszyłam się, gdy dotarliśmy do prawdziwego jeziora, gdzie woda była przynajmniej na tyle głęboka, że dało się w niej pływać.

A zatem popłynęliśmy.

Woda nie była niebieska, tylko brązowa. Liście i patyki tworzyły płachty śmieci, dryfujące leniwie po powierzchni. Po drodze zauważyłam żółtą piłkę plażową, czerwony gumowy kłapek, dziecięcy plastikowy talerzyk podzielony na osobne ćwiartki. Niebiesko-pomarańczowy dmuchany basenik w rybki. Splątana fioletową skakankę, obręcz do koszykówki.

Pomyślałam: „Woda wdziera się tam, gdzie jej nie wolno. Suchość była stanem przejściowym. Podobnie jak bezpieczeństwo”.

Płynęłam przez mętną brązową toń obok Śliskiego i Val, wzdrygając się za każdym razem, kiedy trącałam nogą jakiś twardy przedmiot.

Łodzie utkwiiły pod pomostem po drugiej stronie jeziora, w pobliżu rozwalonej chaty rybackiej. Val wyciągnęła z kieszeni linkę wspinaczkową – zawsze gotowa na każdą sytuację – i związała dwa kajaki razem. Śliski i ja wsiedliśmy do łódek z wiosłami.

---

Kilku ojców rozpałiło ogień w kominku w bibliotece. Ciepło nie docierało daleko – zimne powietrze ciągnęło przez

dom z dachu i pokoju śniadaniowego – więc siedzieliśmy jak najbliżej paleniska, trzymając w dłoniach kubki z gorącymi napojami. Matki, które zwykle zajmowały się gotowaniem, najwyraźniej zastrajkowały. Dwie z nich przyłapałam na wciąganiu koksu w łazience.

Matka Alicji siedziała w fotelu w kącie biblioteki i się nie poruszała – już od dawna. Wyruszyła w daleką wędrowkę.

Po ścieżce swojego umysłu, wyjaśnił Rafe.

Najpierw robiła na drutach w absolutnym skupieniu, potem wszystko spruła. Była przykryta kocem. Kiedy podeszłam, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje – uprzejmość, na jaką rzadko zdobywałam się wobec rodzica – zobaczyłam, że zagłębienie w kocu na wysokości jej kolan jest pełne pociętych kawałków włóczki.

Zachowywała się tak, jakby w ogóle mnie nie widziała, a do tego nadal ścisnęła w dłoni nożyczki. Uznałam, że lepiej sobie pójść.

– Dysocjacja – powiedziała któraś matka do ojca. Pewnie terapeutka. – Odcina się od rzeczywistości. Taki sam mechanizm jak wtedy, kiedy pojechaliśmy we czwórkę do Cabo. Pamiętasz?

– A, tak. Chodzi ci o tamtą akcję z transprostytką? I osłem w sombrero?

– Jezus Maria, Bill. Nie mówi się już „prostytką”.

Cały dzień wydawał się bezkształtny. Wariatka na fotelu ciąła włóczkę, kilku upalonych ojców siedziało przy kominku i gadało o utopii. („W porównaniu z oracle ich ziolo jest do niczego”, stwierdził Terry z pogardą. Ale i tak wypchał nim sobie cały woreczek strunowy). W mroku czas przelewał się sam przez siebie. Dzień w noc, noc w dzień. Bez prądu dom chlastany podmuchami wiatru stał głuchy i ciemny.

Wreszcie wpadłam na pewien pomysł.

– Powinniśmy odzyskać telefony – powiedziałam Terry'emu.

W końcu wszystkie lokalne prawa zostały zawieszono. Rodzice, którzy akurat nie byli zajęci ciachaniem szalików i zaciąganiem się czystą indicą, teraz gapili się we własne smartfony.

Odczekaliśmy więc, aż upaleni ojcowie położą się na plecach. Skrzyżowali nogi i zaczęli wymieniać się uwagami na temat robotniczego raję. To by nas ocaliło, stwierdził jeden z nich. Jeśli cokolwiek by mogło, dodał inny. Kapitalizm był gwoździem do trumny, ocenił trzeci.

Zamienili trawę na papierosy i próbowali wydmuchiwać kółka z dymu, ale wychodziły im tylko kłęby bez dziurek. Obejrzałam się przez ramię, by mieć pewność, że nadal nas ignorują, a następnie podeszłam na palcach do obrazu, skrywającego sejf.

Malowidło było niczego sobie. Na pierwszym planie sosny z czapami śniegu na gałęziach, brązowy niedźwiedź na tylnych łapach. Przednie łapy wyciągał przed siebie, jakby zebrał, a za jego plecami rozciągało się wyraziście błękitne jezioro, za którym majaczyły górskie szczyty. Postawa zwierzęcia wyrażała skromność, głowę miało przekrzywioną na bok. Z zaciekawieniem.

Dawniej zakładałam, że to niedźwiedź z przeszłości. Rustykalny dziewiętnastowieczny miś. Baronowie przemysłowi mogliby go zastrzelić i przerobić na dywanik. Teraz jednak zobaczyłam w nim niedźwiedzia przyszłości, z czasów, kiedy ludzie zniknęli na dobre ze wzgórz i pól, a ich dawne ścieżki porośla trawa. Niedźwiedzie i wilki znów stały się władcami tych ziem.

Terry pomógł mi zdjąć obraz z haczyka. Drzwiczki sejfu były uchylone, a wewnątrz schowka leżały wszystkie nasze telefony i tablety, ułożone w stertę jak skarb piratów.

Za nimi zaś kłębiły się pędy ładowarek i kabli od przenośnych baterii.

Coś piękniejszego od pereł i diamentów.

Uśmiechałam się tak spontanicznie, że przez dobrą chwilę w ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero po jakiejś minucie pomyślałam: Uśmiecham się.

– Tak! – zapałał Terry. – Tak! Wolność w ręce ludu!

W tym momencie nie obchodziło nas już, czy upaleni ojcowie nas zauważą.

Wywaliliśmy z plecionego koszyka stare czasopisma i porzucaliśmy do niego telefony, a następnie przeszliśmy triumfalnie przez dom, z rękami rozrzuconymi na boki. Wykrzykiwaliśmy imiona przyjaciół i rozdawaliśmy łupy. Zasypaliśmy towarzyszy elektroniką. Byliśmy bohaterami, ideałami cnót. Wyzwolicielami i świętymi.

Owszem, nadal mieliśmy problem z brakiem prądu w domu, ale postanowiliśmy podzielić się między sobą zapasowymi bateriami.

– Teraz możemy wszystko! – ekscytowała się Jen.

Śliski wyrzucił z siebie strumień radosnych wulgaryzmów. Val z satysfakcją pokiwała głową.

Low miał łzy w oczach.

---

Martwiłam się o Jacka, widząc stojącą wodę wokół domu. Mój braciszek był kiepskim pływakiem. Kazałam zatem obu chłopcom włożyć na kombinezony pszczelarskie zapleśniałe kapoki.

Przyglądałam się z werandy, jak brodzą przez dawny trawnik. Ciągnęli za sznurek jeden z ocalonych kajaków, zawalony jakimiś pudełkami. Tajemnica. Gdy dotarli na skraj lasu, przywiązali kajak do pnia i z wysiłkiem przenieśli

pudełka do domków na drzewach. Odprowadzałam wzrokiem ich drobniejące w oddali plecy i ramiona, maleńkie kolumny bieli i pomarańcza.

– Czy każdy ma już swój telefon? – chciał wiedzieć Terry. Wszyscy byliśmy zajęci urządzeniami, przewijaliśmy, pisaliśmy wiadomości albo podpinaliśmy wyczerpane smartfony do przenośnych baterii. – Powerbanki? Został mi jeden. Z etui Hello Kitty. Kojarzy ktoś? Z różowym brokatem?

– To Amy – odparł David.

– Bliźniaczki mają już własne telefony? Przecież one mają z osiem lat? – oburzyła się Sukey.

– Jedenaście – poprawił ją chłopak. – Są drobne, a do tego udają bachory.

– Małe łajzy – fuknęła Sukey.

– A ta Kay jest bez kitu psychiczna – poparła ją Jen.

– Żebyś wiedziała – odparł David.

---

Szarawe światło dnia znów słabło i nic nie wskazywało na to, aby burza miała ustąpić, a poziom wody wciąż się podnosił. Postanowiliśmy więc spać na parterze – porozkładać karimaty i śpiwory, gdzie tylko będzie na to miejsce.

Jen, David i ja wyszliśmy na dwór, żeby zgarnąć chłopców. Ich kajak nadal kołysał się na wodzie, przywiązany do drzewa na skraju lasku. Przebrnęliśmy przez wodę do kolan, aż wdrapaliśmy się na wyżej położony skrawek ładu. Buty mieliśmy ciężkie od błota.

– Jack! Shel! – wołaliśmy między drzewa. – Jesteście tam?

– Evie, musimy tu zostać! – odkrzyknął mój młodszy brat spomiędzy gałęzi.

– Na drzewie?! Podczas burzy?

– Idę tam na górę – oznajmiła Jen. – Jest zbyt ciemno. Stąd nie dam rady nic zamigać Shelowi.

Drzewo Jacka było połączone z resztą mostkami z lin i desek. Domek, w którym się zadekował, był największy, ale na platformie stało tyle pudełek, że i tak ledwo zdołaliśmy tam stanąć. Jen zaczęła pospiesznie migać do Shela – niecierpliwiła się, dygotała w mokrych szortach.

– Jack, co to za pudła? – chciałam wiedzieć.

– Kojarzysz taki fragment z książki, którą dostałem od tej pani? Wiesz, jak ludzie muszą opuścić piękny ogród, a potem nadchodzi wielka powódź?

– Czy on czyta Biblię? – zdziwiła się Jen.

– Później porozmawiamy o twojej książce – ucięłam. – Teraz musimy wracać do domu. Zrozum, tutaj nie jest bezpiecznie.

– Ewie – protestował Jack. – Musimy ocalić zwierzęta. Tak jak Noe.

Dopiero wtedy przyjrzałam się pudłom. Zauważyłam dwie ptasie klatki, w których coś trzepotało. W jednym, drugim, trzecim, czwartym kartonie dało się dostrzec powycinane dziurki. Spomiędzy oczek drucianej kratki plastikowego transportera wystawał brązowy pyszczek.

– Pozbieraliśmy je – wyjaśnił Jack.

– Dzikie zwierzęta?

– To królik mnie ugryzł. Może pomylił mój palec z marchewką.

– Chłopcy, musicie natychmiast wracać do domu – zarządziła Jen.

– Ale nie możemy – upierał się mój brat. Shel złapał siostrę za ramię i zaczął coś migać rozgorączkowanymi ruchami.

– Dlaczego nie możecie, Jack? Nie zimno wam tu? Nie jesteście głodni?

– Mamy trochę jedzenia. Przenieśliśmy tu wszystkich. A poza tym moja sowa nie przyjdzie do domu, nie ma szans. Zraniła się.

– Twoja sowa?

Jack wskazał palcem na gałęzie. Nic nie widziałam.

– To płomykówka. Ma złamane skrzydło.

– Jack, zdajesz sobie sprawę, że sowy i króliki średnio się dogadują, co nie? – wtrącił David. – W prawdziwym życiu nie kumplują się tak jak w książkach z obrazkami. Leśne stworzonka rzadko kiedy przebiegają się w sukienki, żeby tańczyć kadryla na piknikach.

– Ale nie rozumiesz, my ją musimy karmić. Ona nie może latać – protestował Jack.

– Starzy raczej zauważą, jeśli chłopcy nie wrócą na noc do domu – odezwała się Jen. – A wtedy mi się oberwie.

– Nigdzie nie idziemy – uwziął się Jack, zadzierając podbródek.

Shel solidarnie pokiwał głową. Jen ruszyła w jego stronę – może chcąc złapać go za ramię – a wtedy on jednym szybkim ruchem zrobił coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

Wyciągnął z kieszeni bluzy grubą metalową bransoletę i zatrzasnął sobie na nadgarstku, srebrna obręcz błysnęła w zapadającym zmroku. Po chwili rozległ się drugi trzask.

Młody przykuł się do drzewa.



## 4

to od czego zaczęło się nasze wygnanie: od Shela, Jacka i pary kajdanek. Jack wyjaśnił, że znaleźli je w szafie z zabawkami, ale kajdanki były prawdziwe. Jen i ja musiałyśmy zostać z braćmi, a Davida zatrzymało przy nas poczucie winy na myśl o katastrofie statku i chęć ucieczki od matki, tracącej powoli kontakt z rzeczywistością.

Wydarzył się jednak cud: nasze komórki złapały zasięg. Jen przeczytała Davidowi i mnie informacje o powodzi z ekranu swojego smartfona, owiniętego w przezroczysty foliowy woreczek. Woda była pełna ropy i ścieków. Pływały w niej zwłoki ludzi, psów, ptaków i rogacizny. Pestycydy, nawozy sztuczne, preparaty do udroźniania rur, płyn do chłodziń.

Otaczała nas toksyczna zupa.

Wysłałam matce naszą lokalizację na wypadek mało prawdopodobnego scenariusza, w którym martwiłaby się o Jacka.

W odpowiedzi dostałam emoji, przedstawiające tulipana.

– Nie przeżywaj – powiedziała Jen. – Teraz jest ich czas na picie i rozmowy.



Przyjęliśmy od chłopców krakersy i włączyliśmy aplikacje pogodowe. Deszcz. Ikonki przedstawiające chmury z piorunami. Grad. Spirale: tego symbolu wcześniej nie widziałam.

– To huragan – podsunął pomocnie David.

Ostrzeżenia przed powodziami na terenach nadbrzeżnych, zapowiedzi gwałtownych burz – wszystko to wyglądało jak mieszanina posiekanych katastroficznych słów, zapisanych schludną czerwoną czcionką. Kto mógł wiedzieć, co to oznacza? I co nadchodzi?

Później zasnął, zbici w ciasne gniazdo na platformie – mniejszej od Arki, lecz przynajmniej porządnie zadaszonej – dzieląc się kocami i poduszkami, które przynieśli tu nasi młodszy bracia. Śmierdziały kocimi sikami.



Rano Jack zaprezentował mi swoją menażerię. Długonose zwierzę, które dostrzegłam wczoraj w transporterze, okazało się oposem, zajęтым obgryzaniem metalowych prętów ostrymi, żółtymi zębami. Całkiem nieźle mu szło – zdążył je już poważnie nadwężyć. W klatkach siedziały dwa gołębie, drozd i mały brązowy ptaszek w prowizorycznym siatkowym kojczyku. Obok nich stało mętne terrarium, w którym Jack twierdził, że trzyma raki, ropuchy i salamandrę. Dalej – plastikowe pudełka po jedzeniu z podziurawionymi pokrywkami, pełne mulistej wody i drobniutkich rybek, a także garnek z wielką, grubą rybą. W szufladzie przykrytej folią spożywczą biegały bure myszy polne.

– A co z pszczołami? – chciał wiedzieć David. – Zostały w zalanej piwnicy?

– Oczywiście, że nie! – oburzył się Jack. – Wróciły do ula, więc wynieśliśmy go na zewnątrz.

– Ej!



Spojrzelismy w dół. Okazało się, że głos należał do Sukey, stojącej pod drzewem. Razem z resztą. Parasole, plastikowe poncha z kapturem, kurtki przeciwdeszczowe. Twarze zwrócone ku górze. Rafe, Terry, Dee, Low, Śliski.

- Przeprowadzamy się tu! – zawołała Sukey.
- Nie chcecie tego robić – powiedziałam. – Mokro i zimno!
- Nie szkodzi! – odkrzyknęła. – Tam jest jakaś masakra!

---

Nowo przybyli porozpinali nam nad głowami plandekę z plaży, by powiększyć dach. Znaleźli też zapas obryzganą farbą płacht folii do ochrony podłogi i wdrapali się nad domek, by przymocować jaskrawoniebieski plastik do drewnianych słupków. Rozciągnęli go między platformami, nad labiryntem siatek i drabinek.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Jeśli oni nie chcieli wracać do domu, to proszę bardzo, ale ja tak. Tęskniłam za kominkiem, szafkami pełnymi ciastek i miniaturowych pączków z cukrem pudrem. I za instalacją hydrauliczną.

Pytałam Dee, potem Terry'ego i Rafe'a, co się dzieje, ale żadne nie chciało ze mną rozmawiać. Odpowiedź wyciągnęłam dopiero z Sukey – po tym, jak rozwinęła sobie śpiwór i obciążęła go kamieniami. Okazało się, że w nocy starsze pokolenie nafaszerowało się ecstazy.

Nikt nie wiedział, czy taki był plan, czy może doszło do jakichś ukradkowych działań, ale rodzice wkrótce wspięli się na nowe wyżyny obrzydliwości.

Owszem, dawniej zdarzało się, że Śliski i Terry chowali się w szafach i podglądali ich przez szpary w żaluzjowych drzwiach – nawet Low zrobił to kilka razy. Z rozpaczliwej nudy wkrótce po tym, jak zabrali nam telefony. A także z chęci zemsty. I z pogardy.

Teraz jednak tego żałowali. Może wtedy mieli też mocniejsze żołądki.

– Poza tym dawniej uprawiali po prostu normalny seks, taki jak wszyscy starzy ludzie – dodał Śliski.

– A ty skąd wiesz? – spytał Rafe.

– No, robili to w parach. A teraz... Tam jest wszystko.

– Chodzą po domu na golasa – potwierdził Low.

– Widziałem dwóch ojców i matkę Dee w trój... – zaczął Śliski.

– Przestań! – wrzasnęła Dee. – Cicho! Cicho, cicho, cicho!

– Zamknij się, Śliski – uciął Rafe. – Bez nazwisk. To okrutna i niestandardowa kara.

– Są wszędzie, wiją się, jęczą – ciągnęła Sukey. – Największy rozpierdol, jaki w życiu widziałam.

– Rozpierdol – przytaknęła Val, kiwając głową. – Największy.

To kiwanie dziwnie wyglądało, bo Val zwisała głową w dół ze sznurowej drabinki, o którą zahaczyła się kolanami.

– Zupełnie odpuścili sobie łatanie dziur – dodała Sukey. – Woda leje się do środka, a oni tylko się uśmiechają i przygryzają dolną wargę. I głaszczą się nawzajem po przyrodzeniach.

---

Jakiś czas później znalazłam się na skraju lasu. Terry i David wyciągnęli najkrótsze słomki i popłynęli kajakiem po zapasy jedzenia, a kilkoro z nas czekało na brzegu, żeby pomóc im wyładować bagaże. Przyglądałam się, jak wiosłują w naszą stronę.

Wiatr szamotał gałęziami drzew to w jedną, to w drugą stronę.

– Patrzcie, wyglądają jak spanikowane dziewczyny – skomentował Śliski. Otworzył szeroko usta i zaczął wymachiwać rękami nad głową. – Jak banda histeryczek.

– Ja pierdolę, jaki z ciebie seksista – prychnęła Sukey. – Kiedy mówisz takie rzeczy, mam ochotę zrobić ci orchidektomię.

– Co zrobić? – zdziwił się Śliski.

Na szczęście wycie wiatru zagłuszyło większość wywodu Sukey. Doszły mnie tylko strzępy jej wypowiedzi: „...wycina się jądro i najądrze...”.

Ostry wiatr chlastał mnie po twarzy liśćmi i piachem, aż musiałam zasłaniać się rękami. Niebo rozciąły błyski, wokół nas dudniły grzmoty.

– Szybciej! – krzyczał za nami Jack. – Szybciej!

Terry i David wiosłowali z całych sił, ale załadowali na kajak za dużo bagaży i poruszali się w ospałym tempie. Woda chlupotała po bokach, wlewała się do środka.

Kolejny błysk. Tym razem prościutko w piorunochron na szczycie domu. Z drutu sypnęła się fontanna iskier.

Terry wrzasnął i podskoczył w kajaku, aż wypadł. Łódka się przewróciła.

Pudełka z krakersami natychmiast zaczęły nasiąkać wodą, puszki opadły na dno. Paczki popcornu serowego podryfowały na wszystkie strony w ciemności.

I tak musieliśmy znów wejść do toksycznej zupy.

---

Kiedy wszyscy się położyli, ja nie mogłam zasnąć. Nie ważyły już pioruny, ale dalej lał deszcz.

Wymacałam na platformie swoją czołówkę, przeszłam nad Jen i Sukey, a potem po dwóch sznurkowych drabinach do Arki.

Jack mocno spał. Drobną twarzyczkę rozświetlał mu słaby blask lampy, zwisającej z pojedynczej, niskiej belki pod dachem. Zwierzęta wierciły się i drapały w klatkach. Ćwierkały. Popiskiwały. Uznałam, że większość jego menażerii musiały stanowić gatunki nocne.

Przykucnęłam i poświeciłam na pyszczek oposa. Zwrócił się w moją stronę i zaczął węszyć, podrygując koniuszkiem nosa. Inne zwierzę, którego nie potrafiłam zidentyfikować, odwróciło się od światła – może lis? Czy Shel złapał lisa?

Czułam nieprzyjemny osad w ustach: nie mieliśmy pasty do zębów.

Coś zaszeleściło mi przy uchu. Jakiś trzepot. Dotyk na policzku. Ostry pazur prawie wbił mi się w ramię.

– Co?! – sapnęłam.

Stworzenie zlazło mi gorączkowo po ramieniu i wydało z siebie okropny skrzek. Prawie je uderzyłam. O mało co nie spadło.

Przed oczami mignął mi skrawek białej gazy, potem zakrzywiony czarny szpon. Gdybym miała na sobie koszulkę z krótkim rękawem, rozharatałby mi skórę jak nic. Biała szlara. Pióra. Dziób, przypominający haczykowaty nos.

Płomykówka zamachała zdrowym skrzydłem i kilka razy otworzyła dziób, nie wydając przy tym jednak żadnego dźwięku.

– Czego chcesz, mam ci dać zdechłą mysz?

Może Jack zapomniał dać jej jeść, ale ja nie wiedziałam, jak się karmi sowy. A takim dziobem bez trudu mogłaby mnie pozbawić palca.

Żałowałam, że nie mogę jej pomóc, ale nie miałam przy sobie nic, czym mogłabym się z nią podzielić.

Wpatrywała się we mnie wielkimi ciemnymi oczyma. Odwzajemniłam jej spojrzenie. Miałam wrażenie, że widzę w tych okrągłych ślepiach wszystkie sowy świata.

Wszystkie sowy, których nie mogliśmy nakarmić.

– Sowo – odezwała się. – Przykro mi.

Nadal nie odrywała ode mnie czarnych oczu. Wreszcie mrugnęła. Była głodna, na pewno.

Przez te kilka sekund, zanim zlaźła mi z ramienia, by niezdarnie wylądować na drewnianej belce, chciałam wierzyć, że mi wybaczyła.

---

To była ta noc, podczas której coś wyrwało mnie ze snu o świnkach morskich i miałam wrażenie, że cały las jęczy. Wiatr był tak porywisty, że zerwał nasze mokre ubrania z drewnianej poręczy. Zobaczyłam, jak koszulka wznosi się i nadziewa na pobliską gałąź, na której trzepocze i powiewa. Podmuchy powietrza zmiotły paczki bułek w ciemność, szczytki do włosów i japonki odlatywały i znikały.

To była ta noc, kiedy Rafe'owi tak przemokło posłanie, że po przebudzeniu chlupało mu w nogach śpiwora. A dwaj idioci, którzy nie włożyli telefonów do woreczków strunowych, odkryli nad ranem, że ich komórki zmieniły się w martwe kawałki metalu. Nie będę nikogo wytykać palcem – powiem tylko, że to był Low i Śliski.

To była ta noc, kiedy upadły drzewa.

Przeraziła nas siła burzy. Ścisnęliśmy się obok siebie najbliżej, jak się dało, trzymaliśmy krawędzi platform i szczebli drabinek. W rozedrganym świetle latarek zobaczyliśmy trzy drzewa padające jedno za drugim, jak domino, po drugiej stronie podwórka, za zatrutym jeziorem – najpierw to wiotkie, tak cienkie, że zdziwiliśmy się, jak w ogóle zdołało popchnąć kolejne. Po nim upadło drugie i trzecie. Już po chwili została z nich tylko niewyraźna płatanina gałęzi gdzieś w dole.

Nad prawdziwym jeziorem drzewa też się przewracały. Rano mieliśmy zobaczyć, jak leżą na powierzchni wody i powoli toną. Konary zwisały im bezwładnie, powyginane na środku, z końcami ciągnącymi się po ziemi.

Nasze własne drzewa – starsze, na wyższym terenie – stały niewzruszone, trzymane przez drewnianą wioskę wśród ich koron.

---

Gdy deszcz ustał, musieliśmy czekać jeszcze trzy dni, aż woda ustąpi.

Pierwszego dnia na jeziorze wylądował hydroplan – pierwszy, jaki kiedykolwiek zobaczyłam na żywo. Obserwowaliśmy z daleka, jak wysiadają z niego mężczyźni w niebieskich mundurach i stają na pływakach. Następnie ze środka wyłoniła się Alycia. Cała i zdrowa.

Była owinięta kocem, na nogach miała wielkie gumowe kalosze. Rodzice wypłynęli po nią łódką, bo pomost nadal znajdował się pod wodą. Podtopiony hangar na łodzie się rozpadał, deski odrywały się od ścian i wylaziły nad powierzchnię jak uniesiony skraj spódnicy.

Alycia weszła do łódki. Mężczyźni w niebieskich mundurach zaczęli coś wyjaśniać ojcu, a matka stała obok i się nad nią trzęsała. Dziewczyna podniosła wzrok nad jej głowę i pomachała nam leniwie.

– Wszyscy przeżyli – odezwał się David. – Każdy jeden złamas z tego jachtu – dodał, ale się uśmiechał.

Tak mu ulżyło, że aż promieniał.

– Zatonął jeden kuter rybacki – dodała Jen, nasza prywatna reporterka.

– I wycieczkowiec – wtrącił Low. – Nie ma informacji o ofiarach. Jeszcze.



Alycia stała na dziobie łódki, płynącej z powrotem przez jezioro. Nigdy nie siadała w łodziach, zawsze stała. Ojciec wiosłował, a matka wpatrywała się w nią wzrokiem pełnym czułości.

Później cała trójka wyjechała z wielkiego domu trakto-rem. Potężne opony rozgniatyły rozbeltane błoto, a w świe-żo wyciśniętych śladach zbierała się natychmiast czerwono-brązowa woda, spływająca z obu stron jak ruchome ściany. I tak, w ślimaczym tempie, wytoczyli się z podtopionego podjazdu. A potem zniknęli nam z oczu.

Alycia nie chciała jechać z nimi, zdradził nam David – plotka głosiła, że ją przekupili. Ci rodzice zaoferowali córce twardą walutę, żeby pozwoliła im zabrać się do domu.

---

Drugiego dnia okazało się, że bliźniaczki zniknęły. Rodzice nie zauważyli nieobecności dziewczynek wcześniej – zakła-dali, że są z nami. Matka tak sobie pogryzła na ecstazy dolną wargę, że spuchła jej aż do połowy podbródka.

Jack i Shel wybrali się na poszukiwania i znaleźli Kay, śpiącą w szopie rybackiej w otoczeniu szkieletów małych zwierząt i opakowań po śmieciowym jedzeniu. Dziwna sprawa, stwierdził Jack: szkielety były świeże.

Na ile zdążyliśmy się zorientować, Kay była niejadkiem, zwykle grymasiła i zgadzała się jeść tylko biały chleb z wędliną. Ale nie dało się też nie zauważyć, że twarz miała usma-rowną czymś, co bardzo przypominało zaschniętą krew. I strasznie śmierdziała.

Obraliśmy taktykę niezadawania pytań. Odprowadziliśmy Kay do rodziców.

Po jej siostrze ślad zaginął.

Trzeciego dnia przed domem zastaliśmy setki umierających ryb. Trzepotały się na olbrzymim spłachciu błotnistej mielizny, z której tu i tam wystawały wysepki krzaków. Jack i Shel biegali rozpaczliwie tam i z powrotem przez błoto do prawdziwego jeziora, taszcząc do niego wiadra ryb. To był wyścig z czasem, więc część z nas zdecydowała się im pomóc.

Rybam, które poumierwały w oczekiwaniu na ratunek, chłopcy wykopali masowy grób. Włożyli do środka ich martwe ciała i przeprowadzili ceremonię pogrzebową, w trakcie której czytali fragmenty z Biblii Jacka.

– Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam – recytował smutno Jack. – Niech się nie trwoży serce wasze ani się lęka.

Shel przygotował wypowiedź na kartce z bloku. Zapiisał swój wers wielkimi literami. Podniósł go i przytrzymał sobie na wysokości piersi, żebyśmy mogli przeczytać.

**CZYŻ NIE SPRZEDAJĄ PIĘCIU WRÓBLI ZA DWA ASY? A PRZECIEŻ ŻADEN Z NICH NIE JEST ZAPOMNIANY W OCZACH BOŻYCH.**

W kępie trzciny przy zatoczce nad jeziorem znaleźliśmy dmuchaną tratwę. Taki marny pontonik, na jakim pływa się po basenie, żółty i ubłocony. Leżał na nim drobny męczczyzna.

Miał wymizerowaną twarz i był ubrany tylko w szorty bojówki, a cherlawą klatkę piersiową i cienkie nogi miał odstonięte.

Wydawało się, że śpi.

– Umarł? – zainteresował się Śliski.

– E, nie. Pierś mu się porusza – odparła Sukey.

Stojący obok mnie Jack w zamyśleniu przechylił głowę na bok i postukał w torbę przewieszoną przez ramię – trzymał

w niej swoją Biblię z obrazkami. Książka mu się spodobała; nosił ją ze sobą wszędzie i kartkował tak często, że strony zdążyły się już nieco wyświechtać. To samo zrobił z pierwszym egzemplarzem *Żabka i ropucha*. Zaczytał go na śmierć.

– W mojej książce też znaleźli kogoś w trzcinach. Ale tam to było dziecko. Zanieśli je do księżniczki Egiptu.

– Tutaj nie mamy księżniczki Egiptu – zgasiła go Sukey. – Ani w ogóle żadnych księżniczek niczego.

– Alycia byłaby najbliższą odpowiedniczką – zgodził się Rafe. – Ale spierdoliła.

– Co mamy z nim zrobić?

Low wychylił się i dźgnął go w ramię. Drobny mężczyzna się poruszył, otworzył oczy i przyjrzał nam uważnie, zaskoczony widokiem otaczającej go nagle grupy.

– Ee, dzień dobry? – odezwał się. Wydawał się nieco oszołomiony.

– Jestem Val – odezwała się nasza koleżanka z zaskakującą życzliwością. – Hej.

Natychmiast polubiła tego gościa.

– Uważaj – wyszeptała Dee. – To może być pedofil. Albo inny zboczeniec!

– Nie jestem zboczeńcem – zaproponował drobny mężczyzna. Uniósł dłoń wewnątrz w naszą stronę. – Nikogo nie molestuję.

– Dee – odezwała się Sukey. – Jest szansa, żebyś raz dla odmiany zachowywała się normalnie?

– Nazywam się Burl – powiedział facet. – Chyba prawie się utopiłem. Rany, umieram z głodu.

– Może batonik energetyczny? – zaproponowała Val, która zawsze nosiła ich kilka przy sobie, żeby mieć siłę podczas wspinaczki. Wyciągnęła jeden z kieszeni bojówek i podała nieznajomemu. On pochłonął go łapczywie.

– Mieszka pan gdzie tutaj? – zainteresował się Terry.

Burl przytaknął i zamachał wolną ręką.  
– W lesie? – upewniła się Val.  
Znów skinienie.  
– Czyli jest pan bezdomny? – chciała wiedzieć Dee.  
– W lesie – powtórzył nieznajomy z pełnymi ustami. –  
Byłem na kajaku. Przekręciło mnie. A potem burza... – Po-  
kręcił głową, przełknął i wepchnął sobie resztę batonika  
do ust.  
– Dobra, mniejsza – oceniła Sukey.  
– Spoko, zostawcie go mnie – powiedziała Val.  
Reszta naszej grupy wróciła do telefonów i poszukiwań.  
Tak utrzymywaliśmy się przy życiu: przemykaliśmy się do  
domu po wodę, jedzenie i dostęp do ładowarek.  
Następnym razem, kiedy zobaczyłam Burla, wspinał się  
po drzewie z Val. I całkiem nieźle mu szło. Ten drobny facet  
wiedział, co robi.

---

W końcu ja też musiałam wybrać się do domu, żeby sko-  
rzystać z toalety. Po drodze należało przemknąć się obok  
grupy rodziców. Po przedpokoju kręciły się patrole.

– Eve! – krzyknął ktoś za mną.

Moja matka.

– Jack dobrze się bawi?

Bawi?

Okazało się, że chciała tylko, żebym zrobiła jej drinka.

– Bourbonu na dwa palce. Czystego – poinstruowała. –  
Ta butelka z pomarańczową etykietą.

Zabrałam jej pustą szklankę – wyłącznie po to, by unik-  
nąć dalszej dyskusji – i odstawiłam ją na blat obok umy-  
walki, po czym wzięłam niespieszny prysznic. Prawdziwy  
cud: ze słuchawki wciąż leciała ciepła woda.

Kiedy wychodziłam z łazienki, matka znów mnie przyłapała. Najpewniej była właśnie w drodze do barku.

– Eve, gdzie postawiłaś mojego drinka?

– Nie powinnaś myśleć raczej o swoim dziewięcioletnim synu zamiast o kolejnej porcji whiskey? Serio.

– Nie wygłupiaj się – prychnęła. – Wiem, że z tobą nic mu nie grozi. Jesteś nad wiek dojrzała.

– Daj spokój.

– Już pani w przedszkolu zauważyła, że jesteś szalenie rozwinięta. Umysłowo i emocjonalnie. Chcieli cię posłać do trzeciej klasy! A ty miałaś dopiero sześć lat!

– Podlizujesz mi się, żeby uniknąć odpowiedzialności? Żałosne. – Odepchnęłam ją na bok i sobie poszłam.

Na końcu korytarza, za popiersiem Susan B. Anthony, zobaczyłam Terry'ego.

Był świadkiem całej rozmowy.

---

Wieczorem wszystko było tak mokre, że nie mieliśmy jak rozpaść ogniska, ale Rafe marzył o płomieniach. Chciał uczcić fakt, że dotrwał do finału.

Został już tylko on i Sukey.

Staaliśmy więc wokół grilla, który przygotował w szklarni. Jej dach zapadał się jeszcze przed burzą, a teraz zostały z niego głównie dziury.

W misie grilla Rafe rozpałił kawałki drewna, podejrzanie przypominające fragmenty mebli. Na dwupalnikowej kuchence biwakowej ugotowaliśmy wodę i zalaliśmy nią zupki chińskie. Zjedliśmy, puszczając muzykę na głośniku bezprzewodowym Davida.

Kiedy zjawili się Val i Burl, my właśnie dzieliliśmy się puszkami piwa, które zabraliśmy z rodzicielskich zapasów.

Burl był już ubrany. Być może w ciuchy Val.

- Widzieliśmy coś – oznajmił.
- Co, wizja? Też parę miałem – odparł Low.
- Widzieliśmy krzew – wyjaśniła Val.
- Wow – mruknęła Sukey. – Czekaj, dzwonię do redakcji.
- Nie jestem pewien, jaki to był właściwie gatunek – przyznał Burl – ale miał takie jaskrawopomarańczowe kwiaty.
- Pomarańczowe kwiaty – zawtórowała Val.
- Poszliśmy sprawdzić stan drzew. Policzyć, ile się przewróciło. Aż nagle trafiliśmy na ten krzak. Co ciekawe, krążyły nad nim chmary owadów. Całe obłoki komarów. I strasznie brzęczały. W życiu nie widziałem, żeby się ich tyle nzbierało.
- Zamilkł, ale czuć było, że chce dodać coś jeszcze.
- Okej – odezwała się Sukey. – No?
- Chyba musimy się stąd zawijać. Uciekać.
- Skąd: stąd? W sensie, że ze Stanów? – chciał wiedzieć Terry.
- Może on ma działkę – podsunęła Jen z nadzieją.
- Weź – zachnęła się Dee. – To b e z d o m n y. – Prysnęła sobie na dłonie płynem do dezynfekcji.
- Trzeba uciekać z domu – doprecyzował Burl. – Od tej stojącej wody. I od waszych rodziców. Słyszałem coś o epizodzie z MDMA...? Nie sprawiają wrażenia, eee, solidnie przygotowanych.
- No co ty, Burl – prychnęła Sukey. – Sami byśmy na to nie wpadli. Ale dzięki za wsparcie moralne.
- Tylko dwoje z nas ma prawo jazdy – odezwał się Rafe niemal przeproszającym tonem. – A w dwóch samochodach się nie pomieścimy.
- Ja mogę prowadzić – zaoferował Burl.
- Popatrzyliśmy po sobie w blasku ognia.

- Gdyby jedno z nas prowadziło vana... – zasugerował Low.
- A dokąd byśmy pojechali? – spytała Jen. – I co byśmy zrobili po dotarciu na miejsce?
- Nadchodzą kłopoty – oznajmił nasz nowy znajomy.
- Wymówił te słowa tak, że z jakiegoś powodu zabrzmiały prawdziwie. Jakby o czymś wiedział.
- A teraz to nie są kłopoty? – odparowała Sukey.
- Może czeka nas jakaś plaga – podsunął Jack.
- Plaga? – Dee przerwała nacieranie się płynem do dezynfekcji. – Bakteryjna? Wirusowa? Jaka plaga?
- Dla mnie spoko – stwierdziła Sukey. – Możemy spadać.
- Daj spokój – zaprotestowała Dee. – Chcecie słuchać bezdomnego?
- Nie jestem bezdomny – uściślił Burl. – Opiekuję się terenem. Mieszkam w domku. Z ogrzewaniem.
- Jesteś dozorcą? – upewniła się Sukey.
- Tym, który odwiózł Alycię do typa, który w świetle prawa powinien zostać skazany za gwałt na nieletniej? – dodała Jen.
- Burlowi opadła szczeka. Pokręcił głową.
- Mówiła, że potrzebuje leków na astmę!
- W mojej książce są różne plagi – odezwał się Jack.
- Eve. Wytlumacz swojemu braciszkowi – zaczęła Sukey, zgniatając butem puszkę po piwie – że jedyni ludzie, którzy traktują Biblię dosłownie, mieszkają w Alabamie i rozmnażają się w chowie wsobnym. Albo biją żony gdzieś w Tennessee.
- Jack, wasza rodzina nawet nie wyznaje chrześcijaństwa – zawtórowała jej Jen. – Eve mi mówiła. A ta twoja książka z obrazkami to nie instrukcja postępowania.
- Zejdźcie już z mojego brata.
- W książce mówią o Bogu – upierał się Jack – ale rozszyfrowaliśmy to z Shelem. „Bóg” to taki kod. Rozpracowaliśmy całą zagadkę!

– No, dawaj – westchnęła Jen.  
– Piszą tam o Bogu, ale mają na myśli naturę.  
Shel zamigał kilka słów.  
– A w naturę wierzymy – przetłumaczył Jack.  
– Okej – powiedział Terry. – A co z Izaakiem i Abrahamem? To natura kazała typowi zadźgać syna na ołtarzu?  
Shel znów zamigał. Aż się podniósł ze wzburzenia.  
– Prawa natury często są niewłaściwie interpretowane – powtórzyła na głos Jen. – Tak mówi Shel.  
– A poza tym to tylko opowieść – potwierdził Jack. – Te wydarzenia to symbole.  
Byłam pod wrażeniem.  
– Rzecz w tym – przerwał im Burl – rzecz w tym, że tutaj nie jest bezpiecznie. Znam to miejsce. Musimy stąd uciekać.  
– Wiecie co, w sumie moglibyśmy... – zaczęła Dee, ale zawahała się i przerwała.  
– No? Wyrzuć to z siebie – zachęciła Sukey.  
– Moglibyśmy im powiedzieć, nie? Rodzicom?  
Rafe pokręcił głową. Śliski zachichotał.  
– Co: słuchajcie, bezdomny mówi, że czas stąd wyjechać?  
– Nie jestem bezdomny – zaprotestował cicho Burl. – Tak tylko mówię. Nie bezdomny i nie pedofil.

---

Jack martwił się o zwierzęta. On i Shel nie mogli wyjechać, jeśli ich podopieczni musieliby tu zostać. Zwierzęta potrzebowały ochrony.

Chłopcy byli zawzięci, aż w końcu się złamałam: a gdybyśmy zapakowali zwierzęta do vana? Rafe i David mieli pełne prawo jazdy, ale w sytuacji wyższej konieczności Sukey i ja też mogłybyśmy prowadzić. Miałyśmy wyrobione tymczasowe prawa jazdy.



Ostatnim problemem był kierunek podróży. Należało zdradzić sobie nawzajem położenie naszych domów i wybrać najlepszą lokalizację.

Okazało się, że Śliski wygrał to rozdanie: posiadłość w Westchester County. Pamiętałam, że kiedyś wymamrotał: „północny Harlem” – pewnie chciał sprawić wrażenie dziecka ulicy.

Nic bardziej mylnego.

Mieszkał w kilkunastopokojowym domu w Rye.

---

Terry jak zwykle wziął na siebie rolę rzecznika. Poszliśmy z nim do domu, kiedy wszystkie rzeczy czekały już spakowane w samochodach. Żadne z rodziców nawet nas nie zauważyło.

Matka Davida leżała na kanapie w bibliotece z zimnym kompresem na czole. Inne matki i ojcowie snuli się bez celu po pokojach, jak roboty bez oprogramowania.

– Halo? Czy mógłbym prosić o uwagę?

Nikt nie zareagował.

– Spróbuj tego – zaproponowała Sukey.

Podawała mu gwizdek alarmowy. Zazwyczaj ktoś z rodziców dmuchał w niego, by zwołać nas na kolację, ale my nigdy go nie dotykaliśmy. Kiedy więc przenikliwy dźwięk rozciął powietrze, dorośli zebrali się dookoła. Zdezorientowani, poirytowani.

Matka Davida zerwała się z kanapy.

– Amy? Czy to Amy?

– Nie – odparł David, a ona znów opadła na miejsce.

Terry zaczął od faktów: w domu powstały dwie wielkie dziury, w tym jedna bezpośrednio nad strychem, służącym nam dawniej za sypialnię. Podwórko zmieniło się

w błotnisty ugór, otoczony poprzewracanymi drzewami. Piwnicę zalało pół metra toksycznych ścieków z powodzi, a instalacja elektryczna w każdej chwili grozi spięciem. Woda z kranu mogła się okazać niezdatna do picia. W domu wciąż nie było prądu. Podsumowując, nasz rajski wakacyjny zakątek przemienił się w piekło. Nie wspominając o coraz zacieklejszym robactwie, dodał na koniec. Te owady mogą przenosić choroby.

– Czy moglibyśmy stąd wyjechać?

Rodzice jednak pokręcili głowami.

– Nawet gdyby Amy nie zniknęła, i tak musimy naprawić szkody, bo inaczej nie odzyskamy kaucji – wyjaśniła któraś z matek.

– Jeśli firma zarządzająca budynkiem zatrudni własnych wykonawców, to zaśpiewają sobie taką marzę, że puszcza nas z torbami – zawtórował ojciec.

– No i jeszcze zapis o zmianie warunków najmu. Jaka tam była kara?

– Wydaje mi się, że siedemdziesiąt tysięcy.

– Co najmniej.

– Jeśli mam być szczery, to w ogóle nie ma o czym rozmawiać, nie możemy teraz wyjechać.

Rodzice z jachtu mieliby to w dupie, pomyślałam. Dla nich siedemdziesiąt kafli stanowiło jedynie koszt szybkiego wypadu prywatnym samolotem na kolację do Paryża.

---

Przed odejściem wycięliśmy nasze inicjały w rozmokłych słupach Arki. Pożegnanie z domem napełniło nas uczuciem melancholii: był wprawdzie podtopiony, zimny, ciemny i zabity dechami, ale dawniej wydawano w nim olśniewające przyjęcia.

– Ponad sto lat temu – powiedział Terry – pod żyrandolem Roosevelta przewijali się budowniczy imperium, przestępcy, słynni artyści, aktorki i różne dupolizy. A w przyszłości – dodał – być może przybędzie tu nowe pokolenie biesiadników. Takich jak my, lecz na zawsze nam obcych: przeczytają nasze imiona i będą się zastanawiać, kim byliśmy.

– Ale niewykluczone też, że po nas nie będzie już nikogo – odparł Rafe. – Może jesteśmy ostatni.

– Poziom wód w oceanach się podnosi – stwierdził David.

– Nadchodzą plagi – wtrącił Jack.

– Ten las też upadnie – przytaknęła Jen.

Sami nie wiedzieli, czy żartują.

Burl zaproponował, że poprowadzi vana, w którym pojadą chłopcy razem ze swoim małym zoo. Do dziś nie mam pojęcia, jak zwabili do środka płomykówkę, ale kiedy zajęłam miejsce na przednim siedzeniu i się odwróciłam, zobaczyłam, że siedzi za nami, przycupnięta na gałęzi wetkniętej między dwie klatki.

Gdy wykręcaliśmy z podjazdu na drogę, wyrztałam przez okno. Zauważyłam kilkoro rodziców – wybiegli przez drzwi frontowe, wymachiwali rękami. Oczywiście nie było wśród nich moich.

Pomyślałam: A, przyzwyczajają się. Dzieci dorastają. Dzieci odchodzą.

– Znajdą nas – dodałam po cichu. – Kiedy tego zechcemy.

Na ubitej drodze, wijącej się przez las aż do skraju posiadłości, stała woda. Auto na przedzie ugrzęzło dwoma kołami w błocie. Śliski i Val wysiedli i wetknęli gałąź pod oponę, ale silnik był bezsilnie, aż w końcu Burl wyskoczył z vana, żeby im pomóc.

W oczekiwaniu, aż skończy, zobaczyłam, że kilkoro rodziców zaczyna nas doganiać – troje. Musieli biec, bo pocho waliśmy kluczyki od pozostawionych przed domem aut. Zamierzaliśmy wysłać im namiary na skrytkę, gdy znajdziemy się w bezpiecznej odległości.

Widok biegnącego rodzica był czymś niezwykle rzadko spotykanym.

Niektórzy spośród nas wpatrywali się w nich jak zahipnotyzowani.

W końcu jednak Burl wrócił za kółko i odjechaliśmy. Rdzawoczerwona woda chlupotała po bokach vana, ale zdaliśmy się rozpędzić. Nie pochłonęły nas fale.

## 5

Po dwudziestu minutach nasza podróż znów została przerwana. Drogę odcięły nam poprzewracane drzewa – wyglądało na to, że leżą tak od niedawna. Upadając, zahaczyły o linie wysokiego napięcia i pociągnęły je ze sobą na ziemię, a teraz kable trzeszczały i sypały iskrami w płątaniu liści.

„Zmiana trasy”, napisałam na grupowym czacie i przesu-  
nęłam palcem po mapce w aplikacji nawigacyjnej.

Wszystkie alternatywne drogi były podświetlone na czerwono i oznaczone kilkoma ostrzeżeniami.

Cała grupa wysiadła z samochodów – z wyjątkiem Jacka i Shela, którzy chcieli w tym czasie zajrzeć do zwierząt – i zebraliśmy się na poboczu, gdzie zaczęliśmy grzebać każde we własnej mapce na telefonie.

Żadna trasa nie wyglądała na przejezdną.

Niektórzy wstali i kopali opony samochodów. Prędzej byśmy skiśli, niż pojechali do rodziców. Czuliśmy się jak ostatni frajerzy, gdybyśmy pobiegli z podkulonymi ogonami do mamy i taty.

A co najważniejsze: po prostu nie chcieliśmy tego robić.

– Znam takie jedno miejsce – odezwał się Burl po jakimś czasie.

– Jakieś miejsce – powtórzyła Val zachęcająco.  
– Taką farmę. Pola. Stodoła. W głębi łądu. Bezpieczniej.  
Dalej od oceanu.

Dodał, że w stodole jest dużo siana, na którym moglibyśmy spać. Nie zapowiadało się zbyt wygodnie. No i jeszcze pchły, karaluchy, pająki, i kto wie, czy nie mrówki ogniste.

W rezydencji Śliskiego czekały na nas gigantyczne materace z gąbki termoplastycznej. I basen infinity.

– Są tam jakieś krowy na tej farmie? – spytał Rafe. – Strasznie mnie dołują. Mają przerąbane. Bez wyjątku. Albo strzelają ci z bolca między oczy przed drugim rokiem życia, albo pozwalają dociągnąć do piątki. Zmuszają do rozplodu i porywają wszystkie dzieci, wysysają z ciebie całe ich mleko, a potem umierasz.

– Nie wiedziałam, że jesteś weganinem. – Sukey prychnęła pod nosem.

– A czyja jest ta stodoła? – chciała wiedzieć Dee.

– Takiej bogatej pani – wyjaśnił Burl. – Trzyma sobie farmę jako hobby. Zatrudnia mnie, żebym jej doglądał. Teraz jej tam nie ma, mieszka w dzielnicy TriBeCa.

Wprowadził adres, a na mapce wyświetliła się przejezdna trasa: nie żeby aplikacjom można było ufać. Telefon spodziewał się też, że przelewitujemy nad iskrzącymi kablami.

– Nie będą tu leżeć długo – pocieszała nas Sukey. – Ktoś przecież posprząta te drzewa, nie? A wtedy my wyjedziemy z farmy i wbijamy Śliskiemu na chatę. Pasuje?

Śliski prężył się zarozumiale.

Znów wsiedliśmy do vana. Burl sprawnie wycofał, zawrócił i dał gazu na prostej. Lubił jeździć szybko.

W aucie coś śmierdziało.

– Królik nabrudził – przyznał Jack.

– Synek, królicze bobki tak nie walą – odparł Burl. Roztaczał aurę człowieka, który wie takie rzeczy.

– Opos też. I skunks. Boją się.  
– Skunks? – Burl upewnił się, czy dobrze słyszał.  
– Masz tam skunksa? – powtórzyłam.  
– Jest bardzo grzeczny – zaprotestował Jack.  
– Wiesz co, zastanawiałam się nad tym – zaczęłam. –  
Żeby uratować zwierzęta, potrzeba co najmniej dwóch  
z każdego gatunku, prawda? Nie będzie z tym potem prob-  
lemu, jeśli ocalisz tylko jedno?

Jack popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Evie – powiedział z wyrzutem. – Żartujesz sobie? Nie  
jesteśmy jedyni.

– Jedyni w czym?

– Nie tylko my je zbieramy. Dużo innych ludzi też to robi.

– Skąd wiesz?

– Trzeba mieć wiarę, Evie.

Burl i ja popatrzyliśmy po sobie.

– Jedno muszę przyznać. Ten głuchy dzieciak jest niesia-  
mowity – mruknął Burl w moją stronę. – Zakłada pułapki  
szybciej niż zawodowiec.

– Używaliście pułapek? – zwróciłam się do Jacka.

Wyobrażałam sobie, jak mój brat i Shel rozkładają szero-  
ko ramiona, a zwierzęta same do nich przybiegają. W ogóle  
nie podważałam tej wizji.

To najlepiej pokazuje, jaka byłam rozkojarzona.

– Żywołapek – poprawił mnie brat. – Do największej  
wchodzi szop. Znaleźliśmy je w kanciapie. Evie! Żadne-  
mu zwierzęciu nie stała się krzywda! Żywołapki świetnie  
się sprawdzają.

– No, może i tak – stwierdził Burl. Pokręcił głową. –  
Skunks w aucie. W kartonie. Ja cię kręcę.

Po tym odkryciu jechał już ostrożniej.

Szopa była pomalowana na czerwono, a obok stał biały domek. Po ścianach pięły się pędy bluszczu, sięgające aż po dach. Kawałek dalej rozpierał się stary metalowy silos. Razem wszystko wyglądało prawie jak ilustracja z książki.

A co najlepsze, tu nie zwały się żadne drzewa. Dzięki temu poczuliśmy się bezpiecznie. Prawie jak w niebie. Dookoła panowała cisza, jeśli nie liczyć szmeru wiatru w lesie za polami i echa syreny wyjącej w oddali.

Na skraju pola pasły się dwa osiołki. Wskazałam palcem na owce. Było ich sześć, może siedem.

– To nie owce – poprawił mnie Jack. – Tylko kozy.

– Skąd wiesz?

– Kozom ogony idą do góry, Evie! A owcom w dół.

Burl zabrał nas za domek i pokazał generator, który następnie podłączył, żeby w lodówce zrobiło się zimno. Podebraliśmy z domu kilka kartonów mleka i osetek masła. W stodole czekały na nas dwa rzędy stanowisk i stryszek na siano, a pod nim jakieś zakurzone maszyny rolnicze. Wdrapaliśmy się po drabinie na stryszek i zastaliśmy na nim bele siana. Tak jak zapowiadał Burl.

W stodole znajdowało się parę pojazdów terenowych: Low i Śliski od razu na nie wskoczyli. Były elektryczne, uruchamiane na guzik. Dee wierciła im dziurę w brzuchu tak długo, aż ustąpili i włożyli kaski, które znalazła na kołkach. Już po chwili chłopcy kręcili bączki na pastwisku.

Kilkoro z nas usiadło w kuchni w domku, gdzie można było podłączyć telefony do ładowania. Sygnał był za słaby, żeby zadzwonić – pełne oburzenia wiadomości głosowe od rodziców co chwilę się rwały, nie żeby nam to przeszkadzało – ale mogliśmy poprzeglądać internet.

Wyczytaliśmy, że burza zalała tunele metra w Nowym Jorku, a w Bostonie rzeka wystąpiła z brzegów. Pozrywane linie wysokiego napięcia raziły kierowców prądem, a samochody,



kosze na śmieci i zwierzęta domowe zostały zmiecione przez zwały wody, pędzące ulicami jak wzburzona rzeka.

Obejrzelśmy filmik, na którym żywioł niszczy budynki.

– Nie wydaje wam się, że oni przy każdym huraganie pokazują jeden i ten sam stary materiał? – spytała Sukey.

Zazwyczaj takie rzeczy działy się na Florydzie, w Luizjanie i innych miejscach, w których nie mieszkało żadne z nas. Teraz jednak serwisy informacyjne mówiły o lokalizacjach bliżej domu. Wiatr szarpał sosnami zamiast rzędami palm.

Zamieszki. Plądrowanie sklepów. Stan wyjątkowy. Prezydent obiecał pieniądze.

– Pewnego dnia okaże się, że nie zostały nam już żadne pieniądze – oznajmił Terry.

– Nawet aplikacje przestaną działać – dodała Sukey.

Na farmie dopadło nas przygnębienie. Przygnębienie i niepewność. Chociaż oczywiście odczuwaliśmy też ulgę, że jesteśmy tam, gdzie jesteśmy.

Mieliśmy jednak świadomość, że dalej, poza naszym polem widzenia, nasze możliwości topnieją. Ścieżki wyboru zamykały się jedna po drugiej.

Oparłam się o kuchenny blat i włączyłam telefon. Na Instagramie zastałam serię starannie wyselekcjonowanych zdjęć z morskiej przygody Jamesa.

– Patrzcie na to – powiedziałam.

Najpierw selfie z nagą piersią na tle burzowego nieba, przepuszczone przez idealnie dobrany filtr. Jedno ramię uniesione ku skłębionym chmurom tak, by wyeksponować doskonale wyrzeźbione mięśnie klatki piersiowej. W dłoni ścisnął pomarańczową flagę z czarnym kwadratem i okręgiem.

#SOS, głosił komentarz. Chłopak się uśmiechał.

Na drugim – Alycia z profilu, w białej sukience z wysokim rozcięciem. Materiał łopotał z tyłu, odsłaniając jej szczupłe nogi.

#bogini.

Dwie twarze przyciśnięte do siebie policzkami, patrzące prosto do obiektywu; przesadnie opalony starszy mężczyzna, wykrzywiony i błyszczący, i jego młoda żona trofeum. W ciężkich od biżuterii dłoniach trzymali kieliszki z szampanem.

#kochamswoichrodzicówrozbiteków.

– Hasztag lizodup – skomentował Rafe.

– Rodziców? Przecież ona nie jest jego matką – prychnęła Sukey.

– Chyba że urodziła go w wieku trzech lat – stwierdziła Jen.

Zamknęłam aplikację.

– Na wschodnim pastwisku są dobre drzewa do wspinaczki – powiedział Burl do Val.

– Dobre drzewa do wspinaczki – powtórzyła.

Wysłałam za tą dwójką i stanęłam w ogrodzie pod łukowatym drewnianym treliazem, oplecionym drobnymi różyczkami. Odprowadziłam ich wzrokiem; minęli ogrodzony warzywnik, w którym rosły wysokie rzędy kukurydzy, ciemne kępy liści – dopiero później miałam odkryć, że to jarmuż i botwina. Nad roślinami krążyły pszczoły, a winorośl pięła się po płotach i zwisała płachtami zieleni.

Kiedy tak patrzyłam na parę wspinaczy maszerujących ramię w ramię przez pole, poczułam przyptyw niespodziewanej życzliwości. Dwie drobne postacie, nieco przygarbione – mogliby być spokrewnieni. Wychowani razem przez jakieś małpie plemię. Skromni, sprawni, zawsze mozolnie pnący się w górę, najszcześliwsi w koronach drzew.

Dotarliśmy do farmy tylko dzięki Burlowi. Drogi pozmieniały się w ślepe zaułki. Bez niego jechalibyśmy bez końca, a i tak nigdzie byśmy nie dotarli. Dopiero Burl, Burl i iskra energii, jaką wykrzesał w nas swoją wiedzą, dali nam schronienie.

Rozstawiałam razem z Jackiem klatki zwierząt w stodole, kiedy zatrąbił klakson. Podeszłam do skrzypiących drewnianych drzwi. Za nimi powitał mnie widok najgorszy z możliwych: matka.

Ta gruba.

Wysiadła z auta czerwona na twarzy, oparła ręce na biodrach. Miała na sobie długą, powłóczystą sukienkę, która wyglądała jak zrabowana z szafy matki-chłopki.

– Sukey! – ryknęła. – Sukey!

A więc to jednak była jej matka.

No, Sukey nieźle blefowała. I to bardzo długo. Nikt tego nie podważał, a blef był chwytem jak najbardziej dozwolonym.

W końcu jednak przegrała. I to sromotnie.

Okazało się, że gruba matka namierzyła nas przez aplikację śledzącą w telefonie. Obie stanęły na podwórku i zaczęły się na siebie drzeć. Sukey oznajmiła, że nie wracamy do domu, a matka może sobie wsadzić te swoje argumenty. Matka na to, że ukradliśmy samochody i mamy je zwrócić. Kradzież mienia! Ktoś może was zgłosić na policję!

– Chyba śnisz – odgryzła się Sukey.

Reszta wyłaniała się jedno po drugim z domku i stodoły, z wyjątkiem Val i Burla, którzy poszli się wspinać. Śliski nawet zaparkował quada. Wszyscy z zainteresowaniem przyglądaliśmy się spektaklowi z udziałem grubej matki, choć byliśmy też trochę zdenerwowani. Spodziewaliśmy się konsekwencji.

– Co wy tu robicie, włamaliście się?! – krzyczała matka. – Możecie zostać aresztowani! Chcesz wylądować w poprawczaku?

– Och, uspokój się – prychnęła córka. – Dobrze wiesz, że mam już zagwarantowane miejsce na Brownie.

– I co, uważasz, że to ci daje nietykalność?

– Znamy właścicielkę tej farmy, więc zasadniczo tak – odparła Sukey, nieco naciągając prawdę. – Wszystko cacy.

– Guzik prawda.

– Właśnie że tak. Mieszka w SoHo i trzyma sobie tę farmę jako hobby!

– W TriBeCa – poprawił ją Terry.

– To dajcie mi z nią porozmawiać.

– Teraz jej tu nie ma – odparowała Sukey. – To chyba oczywiste.

– Martwię się. – Głos matki przybrał inny ton. Zaczął drżeć. – Martwimy się o was.

Tego się nie spodziewaliśmy.

– Mhm – wymamrotała Sukey. Wojowniczo. Podejrzliwie.

– O nie. – Matka zgięła się w pół.

– Co? – Sukey zaplotła ręce na piersi.

– O nie. Odeszły mi wody!

Popatrzyliśmy na nią w osłupieniu. Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że wszyscy pomyśleliśmy mniej więcej to samo: „Co, kurwa?”.

– Ty tak na serio? Przecież jeszcze miesiąc!

Gruba matka jednak nie była taka gruba.

A w każdym razie nie trwale.

Zobaczyliśmy te jej tak zwane wody. Zobaczyliśmy i wcale nam się nie spodobały.

– Och, och – jęczała kobieta. – Skurcz.

– Jasna cholera – syknęła córka. – Kurwa mać! Wszystko musicie zawsze popsuć! Po co tu przyjeżdżałaś? Jezu!

– Musisz mnie zawieźć. Och! Musisz. Nie mogę prowdzić. Sukey, musisz mnie zawieźć!

Sukey popatrzyła po nas. W oczach miała rozpacz.

– Zawsze możesz wrócić – zasugerowałam.

To jednak nie zabrzmiało wiarygodnie.

Sukey poczłapała do stodoły, wyszła z workiem marynarskim, do którego zapakowała swoje rzeczy. Wbiła wzrok w ziemię. Z rezygnacją pokręciła głową.

Potem wsiadły do samochodu, matka ledwo szła.

Odjechały.

---

Było tylko kwestią czasu, zanim zjawi się kolejny rodzic.

– My też powinniśmy stąd wyjechać – orzekł Rafe. – Ustawić w telefonach tryb samolotowy i jak najszybciej się zmyć.

Nie był w nastroju do świętowania zwycięstwa. Gra dobiegła końca, ale jej finał nikogo z nas nie uszczęśliwił.

Po zapadnięciu zmroku zebraliśmy się więc wokół ogniska i spróbowaliśmy opracować trasę do rezydencji Śliskiego, żeby wyruszyć z samego rana. Aplikacja nie pokazała jednak nawet drogi, którą tu przyjechaliśmy, tej z iskrzącymi liniami wysokiego napięcia i powalonymi drzewami.

Śliski chciał spalić trawę rodziców, ale zagłosowaliśmy przeciw. Musimy zachować trzeźwy umysł, zawyrokował Terry.

Spróbował objąć Jen ramieniem, ale ona strząsnęła z siebie jego rękę. Wyraźnie ją irytował.

– Chyba nie posunęliby się do rozwiązań siłowych? – odezwał się Rafe.

– Na pewno nas nie przechytrzą – stwierdził Terry.

– Nie bądź głupi. Skoro matce Sukey się udało, to każdy nas tu namierzy – zgasiła go Jen. – Ta kobieta jest prawie upośledzona.

Technologia ugryzła nas w dupę.

– Bez rozbrojenia albo porzucenia telefonów nigdy nie zdołamy się absolutnie odizolować – zawyrokował David.

– Ale moglibyśmy tu zostać, nawet gdyby oni o tym wiedzieli – stwierdziła Dee. – Przecież nie zadzwonią na policję, co nie?

– Nie jesteśmy dla nich priorytetem – przytaknął David. – A poza tym nadal szukają Amy.

W kręgu światła zamajaczyła Val, a za nią Burl. Wrócili.

– Byliśmy na wzgórzu – oznajmił mężczyzna.

– Na wzgórzu – przytaknęła Val. – Weszliśmy na nie.

– Na wzgórzu? – zdziwił się Low. – To tu jest jakieś wzgórze?

– Kilka kilometrów od farmy. Maszt telekomunikacyjny na szczycie – wyjaśnił Burl. – Porządny zasięg. Pogadałem z właścicielką. Powiedziała, że jeśli chcemy zostać, to mamy się trzymać zasad.

Val podeszła bliżej ognia i podciągnęła rękawy bluzy. Na skórze miała zapisane drobnymi literami rządki słów. Długopisem. Zmrużyła oczy i spojrzała najpierw na prawe przedramię.

– Dobra, to od początku. Ee... Ona jest właścicielką. Więc mamy robić, co nam każe. I ją szanować.

– Ale skąd będzie wiedziała, że się tego trzymamy? – chciał wiedzieć Śliski.

Val wzruszyła ramionami.

– Nie hałasować w weekendy.

– Bo inni ludzie z miasta się tu pojeżdżają – wyjaśnił Burl. – Weekendowi goście lubią mieć ciszę i spokój.

– Dalej – ciągnęła Val. – Szanować starszych.

– Ehe. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – mruknął Rafe.

– Ej, ja się liczę – zaprotestował Burl. – Postarajcie się szanować m n i e.

– Nie łamać prawa. – Val przeniosła wzrok z prawej ręki na lewą. – I nie uprawiać seksu.

– Co? – pisnęła Jen.  
– Purytańskie zasady – ocenił Terry.  
– Ktoś tu jest oziębły – wymamrotał Śliski.  
– Brak szacunku. Już złamaliście drugą zasadę – prze-  
rwała im Jen.

– A reszta idzie tak: nie kraść jej rzeczy, dawać znać, jak  
wygląda sytuacja, jeśli zadzwoni, sprawdzić, i nie przy-  
stawiać się do dzieciaków z sąsiedztwa. I nic nie kraść  
sąsiadom.

– Strasznie się przejmuję tymi sąsiadami – stwierdził David.  
– I seksem – dodała Jen. – Co ją to w ogóle obchodzi?  
– I co tu kraść? – zawtórował jej Rafe. – Osły?  
– To wszystko. – Val opuściła rękawy. – Dostaniemy coś  
do jedzenia?

– A jaka jest kara za złamanie zasad? – spytała Dee.  
– No właśnie, jaka? – poparł ją Śliski.  
– Jak ona nas może ukarać, skoro jej tu nie ma? – chciała  
wiedzieć Jen.

– Monitoring? – podsunął David.  
– Hej, Evie! – zawołał Jack. Właśnie wyszedł ze stodoły,  
tuż za nim dreptał Shel. – Zdjęliśmy jej bandaż. Lata!

Zza ich pleców wyłonił się jakiś rozmazany kształt i śmig-  
nął na dach. Wylądował, przycupnął na wierzchołku.

Szybko się zagoiło – ta myśl zaświtała mi jako pierwsza.  
W drugiej kolejności przyszło mi do głowy, że może to  
właśnie bandaż był problemem.

To w końcu tylko małe dzieciaki. Nie weterynarze.  
Nie powiedziałam tego jednak głośno, oczywiście. Jack  
był moim ukochanym braciszkiem.

– Niesamowite! – stwierdziłam tylko.  
Telefon Davida zapiszczał.  
– Hm. Rodzice zaczęli chorować – odezwał się, czytając  
wiadomość.

– Na co? – chciałam wiedzieć.  
– Mają gorączkę, dreszcze. I bóle głowy.  
Popatrzyliśmy na Burla.  
– To może być plaga – stwierdził skromnie.  
– A może to zaraza – odezwała się Dee.  
Siedzieliśmy w miejscu, niewiele się odzywaliśmy.  
– To co z tym jedzeniem? – powtórzyła Val.  
– Jest w garnku na kuchence – odparła Jen.  
Val i Burl poszli do domku.

Reszta milczała. Nie traktowałam wizji plagi poważnie. Dotąd myślałam o niej głównie jak o wymówce, żeby się stamtąd wyrwać. Ale teraz?

Nie byłam już taka pewna.

Nie wiedziałam też, co jesteśmy właściwie winni rodzicom. Czy to sytuacja kryzysowa? Czy potrzebują pomocy?

Nikt nie chciał nic mówić na głos, ale wszyscy o tym myśleliśmy.

Telefon Davida znów zapikał.

– Hm.  
– Co? – dopytywała Jen.  
– Mama mówi, żebyśmy teraz nie wracali.  
– Co takiego? – zdziwił się Rafe.  
– Uważa, że to może być zaraźliwe.

Wpatrywaliśmy się w drgające płomienie ogniska. Nie mogłam wyjść z podziwu, że rodzice zdobyli się na tak bezinteresowny gest.

Prawie miałam ochotę im podziękować.

---

Po jakimś czasie Rafe zgasił ognisko i ruszyliśmy do stodoły. Wtedy zauważyłam coś na niebie, wskazałam na to palcem. Zatrzymaliśmy się i zadarliśmy głowy.



– Ja cię sunę – mruknęła Jen.  
Nad nami unosiły się drgające fale zielonego i fioletowego światła. Wstęgi, promienie. Coś pięknego.  
– Psychodela – skomentował Śliski.  
– Niemożliwe – stwierdził David. – Co nie?  
– To zorza – stwierdził Jack.  
– *Aurora borealis* – potwierdził Terry.  
– Wydawało mi się, że ona występuje tylko na biegunie północnym – zdziwiła się Jen.  
– I południowym – poprawił ją Rafe.  
– No. Pingwiny ją widzą – powiedział Jack.  
– Mój przodek je oglądał. Kiedy podbijał syberyjskie pustkowia tysiąc lat temu – wtrącił Low. – Nazywał się Czyngis-chan.  
Stara śpiewka.  
– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytała Jen.  
Burl żuł jakąś pałeczkę. Może z suszonej wołowiny. Albo z twardego karmelu.  
– W Pensylwanii – wyjaśnił. – Niedaleko granicy stanu.  
– Myślisz, że to się pojawiło przez burzę? – chciała wiedzieć Jen.  
– A może to jakiś znak? – podsunął Low.  
– Wątpię. – Burl nadal przeżuwał. – Technicznie rzecz biorąc, to efekt aktywności magnetycznej na powierzchni Słońca. Może akurat zaczęła się maksymalna faza cyklu albo coś.  
Był całkiem mądry jak na dozorcę.  
W końcu wszyscy pochowali się w śpiworach i w namiotach, ale ja nadal leżałam na trawie i wpatrywałam się w zielone fale. Wreszcie miałam chwilę samotności.  
To był najpiękniejszy pokaz światła na świecie.  
Czyngis-chan też go podziwiał, jeśli wierzyć słowom Lowa. Oglądali go Inuici. Morsy i pingwiny. A teraz ja. Ale kto będzie na nie patrzeć w przyszłości?

Rozmyślałam o migoczących platformach w kosmosie,  
o srebrnych statkach, sunących pośród miliardów gwiazd.  
O winoroślach, oplatających pokruszone budynki i pomniki.

Coś mnie zaswędziało. Czy łązi po mnie kleszcz? W tej chwili? Czy właśnie wgryza mi się w skórę?

Potem jednak uświadomiłam sobie coś innego: Zaraz.  
Nieważny kleszcz. Dlaczego wечно na coś narzekamy?  
Przecież możemy żyć.

## 6

**W**śnie cieszyłam się na widok Sukey. Kochana Sukey, pomyślałam, na wpół przebudzona. Nasza przywódczyni. Wspaniała liderka. Już za nią tęskniłam. Twarz jej jaśniała, a we mnie wbijało się coś ostrego. Musiałam się tego pozbyć.

Okazało się, że kłuje mnie słoma, bo spałam na stryszku w stodole i stoczyłam się z karimaty.

– Kurwa – odezwała się twarz.

Czyli to naprawdę była ona.

Podniosłam się niezdarnie w posłaniu. Sukey przyklęła obok, nieco zaspana od wspinaczki po drabinie. Oślepił mnie blask jej latarki.

– Nigdzie nie udało nam się dojechać – wydyszała. – Nawet z powrotem do domu. Pamiętasz ten mostek nad strumieniem po drodze? Zapadł się! Została z niego połowa. Wypróbowałam wszystkie trasy w okolicy, ale ona nie może już chodzić. Musiałam ją praktycznie wnieść do środka.

– Dalej rodzi?

Głupie pytanie, ale byłam jeszcze zaspana.

– Leży na dole. Co ja mam z tym zrobić?

– A co z twoim ojczymem? Gdzie on jest?

– On nie jest moim ojczymem.  
– Dobra, mniejsza z tym, Sukey. Z ojcem dziecka.  
– Rozstali się. Odkryła, że miał kogoś na boku.  
– Co, jak brali ecstazy?  
– Nie, wcześniej. Wszystko jedno. Powiedział, że i tak nie chciał mieć dziecka. Wyjechał do miasta, kiedy kupowali zapasy przed burzą. Gadała o tym w samochodzie, ale ja powiedziałam tylko, że zawsze powtarzałam, jaki z niego debil.

– Musimy zadzwonić na dziewięćset jedenaście.  
– Próbowałam jeszcze z drogi. Nie mogłam się połączyć.  
– Próbuj dalej.  
– Ale te skurcze... Wiesz co, one są częste.

Wychyliłam się i dźgnęłam Rafe'a. Obudził się ze stęknieniem. Potem trąciłam Jen.

– Idź do drzwi i stój, aż złapiesz trzy kreski zasięgu – nakazałam tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Musimy wezwać karetkę. Albo ewakuację medyczną.

Cała nasza trójka założyła czołówki i zeszła za Sukey po drabinie. Usłyszałam, jak inni się budzą. Osły zajrzały do stodoły.

Matka Sukey czekała na parterze. Siedziała na kocu, nogi miała wyciągnięte przed siebie i szeroko rozłożone.

– Jezusie drogi, dzięki ci za tę długą kieckę – wymamrotał Rafe.

Kobieta jęczała, kołysząc się w przód i w tył.

– Musimy ją zabrać do domku – stwierdziła Sukey. – Prawda? Tam jest czyściej.

Matka pokręciła głową.

– Nie ruszę się. – Znów jęknęła. – Nie. Nie ruszę się stąd!

– Zabierzcie ją do boksu – zawołała Dee z piętra. – Tego bez siana na ziemi. Chciałam tam spać, więc wyszorowałam

podłogę detergentem, ale w końcu i tak poszłam na górę. Strasznie tam cuchnęło.

---

Sukey i ja pociągnęłyśmy koc, na którym dalej siedziała matka. Trzymałyśmy każda za jeden róg, tak jak wtedy, kiedy przesuwa się ciężkie meble na ręczniku albo dywanie. Po drodze musiałyśmy obejść osła, który nie chciał się ruszyć.

Matka zakołysała się i upadła na plecy jak worek kartofli.

– Zawołam Burla – oznajmiła Val z góry, łapiąc się belki pod sufitem. Wszyscy poza najmłodszymi chłopcami byli już na nogach.

Wwieźliśmy matkę do boksu i pomogliśmy jej oprzeć się plecami o ścianę. Miała zamknięte oczy. Oddychała głośno.

– Poduszki? – odezwała się Sukey.

– A może lód. Patrz, jak się poci – dodał Rafe.

– Nie mamy lodu – zaprotestował David.

– Ja śpię na zewnątrz – oznajmił Śliski, wlokąc śpiwór po posadzce. Po drodze zgarniał kawałki słomy, kłęby kurzu, a zapewne też osłe odchody.

– Ja też – zawtórował mu Low. – Obrzydliwe.

– A wy niby jak się urodziliście? – krzyknęła Jen z posterunku przy drzwiach. – Myślicie, że was jakiś święty bocian przyniósł? Sfrunął z nieba, biały jak śnieg, przy śpiewie chóru dziewic? A potem upuścił was do złotej kołyski i odleciał?

– Wyszliście z cipki – przytaknęła Sukey.

– Wcałe nie – odciął się Śliski. – Ja przez cesarkę.

– Melodyjka! – krzyknęła Jen. – Mam melodyjkę, czekam na połączenie!

Sukey się ożywiła, ale przeszło jej, kiedy matka zaczęła wrzeszczeć.

Wtedy wszedł Burl, a za nim grupka umorusanych ludzi, których pierwszy raz widzieliśmy na oczy. Było ich czworo. Brodaci, o przetłuszczonych włosach. Na ramionach kołysały im się długie plecaki, a gdy podeszli bliżej, w nozdrza uderzył mnie zapach brudnych stóp i przepocynych pach.

Trzech mężczyzn i jedna kobieta, jeśli dobrze zgadywałam. Domniemaną pleć zdradzały wyłącznie brody. Skórę, włosy i ubrania wszyscy mieli tej samej barwy: błota.

– A te oszołomy to kto? – spytała Sukey.

– Zeszli ze Szlaku Appalachów. To górskie anioły – wyjaśnił Burl.

– Brzmi gejowo – ocenił Śliski.

– Ostrzegalem, że masz nie używać tego słowa w taki sposób – odezwał się Rafe. – Teraz będę musiał sprowadzić na ten twój zakuty łeb ogień piekielny.

– Co to są górskie anioły? – chciała wiedzieć Jen.

– Chodzą po różnych odcinkach szlaku, żeby zostawiać tam wodę i jedzenie – odparł Burl. – W czynie społecznym. Wiecie, dla wędrowców na długich dystansach. Tych, którzy pokonują całą drogę, trzy tysiące kilometrów od początku do końca trasy.

– Ktoś tam idzie trzy tysiące kilometrów na piechotę? – zdziwiła się Sukey.

– Thru-hikerzy. Większość górskich aniołów zostawia prowiant w miejscach, do których są w stanie dojechać samochodem. Ci tutaj byli bardziej hardkorowi.

– Poszliśmy na tygodniową wyprawę z plecakami, żeby dostarczyć jedzenie na szlak – odezwał się jeden z mężczyzn. – Właśnie mieliśmy kończyć, kiedy rozpętała się burza.

– Ej. Czy ktoś z was ma doświadczenie medyczne? – Burl zwrócił się do grupy. – Mamy tu rodzącą.

– On. To Luca. Jest sanitariuszem – odparł jeden z aniołów. Sukey wezwała go do siebie. Matka znów jęknęła – tym razem jej głos bardziej przypominał ryk.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział Luca i zrzucił plecak z ramion. Pozostałe anioły też ściągnęły bagaże. Mogłam zapytać Burla, jak ich do nas sprowadził, ale czułam zbyt wielką ulgę, by się nad tym zastanawiać.

– Sukey! Potrzebuję Sukey! – stęknęła matka.

– Zaraz wrócę – zapewniła córka. – Tylko umyję ręce.

– Jaki tu jest adres?! – krzyknęła z góry Jen. – Dodzwoniłam się! Mam operatorkę na linii!

Burl wdrapał się na drabinę i przejął telefon.

– Przy polnej drodze – powiedział do słuchawki i podał wskazówki dojazdu. – Najbliższe miasto? Ee, tak. Jesteśmy w głuszy. Na wschód znajduje się miasto Alpha. A na zachód Betlehem.

Na szczęście Jack miał mocny sen.

---

Do tego czasu większość grupy wyszła ze stodoły, twierdząc, że to nie ich sprawa. Ja też tak myślałam, ale musiałam zostać razem z Jen, bo Sukey nas poprosiła.

Karetka nie przyjechała.

Kiedy zaczęła wychodzić główka dziecka, a anioły szepotały matce słowa zachęty, opuściłam boks. Matka wiła się i jęczała. Chciałam popatrzeć na cokolwiek innego, więc wybrałam jedno z brązowych zwierząt Jacka – może to był świszcz. Przykucnęłam przed jego klatką i spróbowałam spojrzeć mu w pyszczek, ale siedział odwrócony do mnie tyłem. „Oboje jesteśmy ssakami”, pomyślałam.

Czyli to nas łączyło.

Dziecko zapłakało.

Tak Sukey dorobiła się siostry. Ale matka nie przestawała krwawić.

I umarła.

---

Przez jakiś czas wydawało nam się, że to wszystko dzieje się gdzieś bardzo daleko. Pewnie byliśmy w szoku. Z jednej strony ledwo znaleźmy matkę Sukey. Działała nam na nerwy, podobnie jak reszta rodziców, choć teraz nie miałam ochoty nad tym rozmyślać.

A z drugiej – była martwa.

Sukey też jej nie lubiła, ale ta sytuacja wykraczała daleko poza taką sferę.

Reszta chyba posprzątała, gdy było już po wszystkim. Ja zobaczyłam tylko przesiąknięty czerwienią ręcznik, skłębiony w wiadrze. Jen i ja zostałyśmy z młodszymi braćmi, siedziałyśmy z nimi i przytulałyśmy. Śliski i Low raz przyszli do środka, rozejrzeli się i poszli zgarbieni, rozkopując po drodze słomę.

Razem z Jackiem przyglądaliśmy się płomykówce. Przeleciała nam nad głowami i usiadła na otwartych drzwiach do boksu, w którym leżała matka. Ktoś przykrył ją białym prześcieradłem, ściągniętym z łóżka w domku.

Ptak został na posterunku. Trwał bez ruchu.

Po raz pierwszy od przybycia na wieś poczułam się niepewnie. Nie wiedziałam, czy ogarnia mnie strach, czy zagubienie.

– Evie – odezwał się mój brat. – Czy ona naprawdę nie żyje?

– Obawiam się, że tak – powiedziałam. Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Dlaczego umarła?



– Widzisz, straciła dużo krwi.

Jack zaczął płakać, a ja wciągnęłam go sobie na kolana i zaczęłam bujać się w przód i w tył. Trochę dla ukojenia jego, a trochę dla siebie.

Próbowałam się uspokoić, wyobrażając sobie znajome, zorganizowane systemy: mój pokój w domu, komodę, lustro, szafę. Wieszaki w szafie, swetry poskładane w szufladach. Liczyłam je w myślach i katalogowałam w porządku kolorystycznym. Potem spróbowałam przypomnieć sobie układ okresowy pierwiastków. Na chemii kazali nam uczyć się go na pamięć, ale to było w pierwszym semestrze poprzedniej klasy. Wieki temu. 1 H: wodór. 2 He: hel. 3 Li: lit. 4 Be: beryl... Dalej pustka w głowie.

Zamiast tego przerobiłam więc czasowniki nieregularne, które wkuwaliśmy na francuskim, i ich odmianę. Wołałam francuski od chemii.

*Être. Je suis.* Ja jestem. *Tu es.* Ty jesteś. Znajome formy.

Sukey przez całą noc siedziała przy zmarłej matce i trzymała dziecko w ramionach. Nad ranem anioły przekonały ją, żeby je umyła, a następnie zaprowadziły ze stodoły do domku.

Przydzieliłam Jackowi i Shelowi zadanie, żeby ich czymś zająć: kazałam znaleźć kozy i upewnić się, że żadna nie uciekła. Nie możemy ich pogubić, dodałam.

Potem poszłam do samochodu matki, zaparkowanego byle jak za tymi, którymi przyjechaliśmy, i otworzyłam bagażnik. Znalazłam w nim torbę z ubrankami dla dziecka, butelkę i opakowanie maleńkich pieluszek. Wszystko miało już przygotowane, pomyślałam, i ta świadomość prawie zwała mnie z nóg.

Chciała się zaopiekować swoim dzieckiem. A teraz już tego nie robi.

Sukey przebrała dziecko w pajacyk ze skarpetkami.

Próbowałam dodzwonić się do ojczyma z komórki matki – kiedy wskazałam jego imię na liście kontaktów, Sukey tylko pokiwała mechanicznie głową – ale nie odebrał. Skrzynka na wiadomości głosowe była pełna.

A zatem mieliśmy dwa problemy do rozwiązania: jak nakarmić dziecko i co zrobić z ciałem matki.

Jeden z aniołów miał przy sobie opakowanie mleka w proszku, ale noworodek by się od niego rozchorował. Inny anioł – biolog, badający na szlaku ptaki, który dołączył do reszty, gdy rozpętała się burza – ostrzegł nas, żeby tego nie robić.

Nie mieliśmy matki, więc potrzebowaliśmy mleka dla niemowląt.

Burl wziął samochód i wyruszył na poszukiwania. Powiedział, że jakieś osiem kilometrów stąd jest stacja benzynowa i sklepik. Może tam uda się zrobić zapasy.

Dave i Terry pomogli zawinąć matkę w całun z prześcieradeł. Anioły naradzały się po cichu w kącie stodoły, w pobliżu pustego kurnika.

Podkrađłam się bliżej i przykucnęłam za osłem, żeby posłuchać, o czym gadają.

– To tylko dziecko – wyszeptał jeden z nich. – I próbuje się zaopiekować noworodkiem, ludzie drodzy. Nie możemy tego na nią zwałać.

– ...sugestia. Wystarczy, że się zgodzi.

– Albo i nie.

– Pogrzeb tutaj jest nielegalny.

– Dlatego mówię o ogniu.

– Ale pogrzeb da się odkręcić. Kiedy już wszystko wróci do normy. A ogień? Nie bardzo.

- Może poczekamy?
  - Zbyt traumatyczne. No wiesz, rozkład. Możliwe, że minie dużo czasu, zanim gdziekolwiek się stąd ruszymy. Nawet kilka tygodni.
  - A ojciec?
  - Nieznany. Oni sami go tu nie wychowają.
  - A jeśli będą potrzebować ciała do autopsji?
  - Mają teraz ważniejsze sprawy na głowie. W CNN mówili o tysiącach.
  - Tysiącach czego?
- 

Wysłali do Sukey delegację. Poszłam za nimi. Siedziała po turecku na łóżku w sypialni w domku, trzymała dziecko w ramionach.

– W tradycji hinduistycznej – zaczęła kobieta anioł, biała, ale z brązowymi dreadami na głowie – ogień oczyszcza zmarłych i pozwala duszy uciec z ciała. Buduje się tam wspaniałe stosy pogrzebowe. Zmarłych owija się w białe całuny...

Sukey popatrzyła na nią, przez chwilę milczała.

- Ja pierdolę, ona nie była hinduistką.
- Nie chodziło mi... – zająknęła się kobieta.
- Ale stos pogrzebowy byłby w sumie spoko.

Reszta naszej grupy musiała pozbierać drewno, bo zapas leżący za domkiem by nie wystarczył. Minęło sporo czasu, zanim udało nam się znaleźć suchy opał. Rafe miał kierować budową, a my wypełniać jego polecenia.

Zanim udało nam się skonstruować dostatecznie duży stos, byliśmy już zmęczeni i obolali. Sięgał wyżej niż nasze głowy – zrobiliśmy to celowo. Nie chcieliśmy przyglądać się temu z bliska.

Kiedy słońce zaszło, anioły wyniosły na kilku deskach długi biały pakunek ze stodoły, podeszły do stosu i umieściły go na szczycie. Ręce im się trzęsły – pamiętam, że to zauważyłam. Obawiałam się, że upuszczą ciało.

Rafe zabrał się do rozpalania stosu. Wtedy z domu wyszła Sukey, nadal z dzieckiem na rękach. Nie chciała go odłożyć ani na chwilę. Policzki miała umazane brudnymi ścieżkami łez, ale teraz patrzyła prosto na całun matki i nie płakała.

Najpierw mieliśmy kilka falstartów: w stosie znalazło się kilka mokrych gałęzi. W końcu jednak płomienie zaczęły się rozpełzać. Rafe był niespokojny. Przygotował metalową klatkę, w której poukładaliśmy drewno: kurnik ustawiony na metalowym korycie – i teraz obawiał się, że wszystko się zapadnie. Za każdym razem, kiedy jakaś kłoda albo gałąź się poruszała, on wciągał gwałtownie powietrze.

Anioły okazały się takimi trochę hipisami. Pewnie właśnie dlatego nie mogły się powstrzymać od śpiewania. David twierdził, że od początku się tego spodziewał.

– Nie do uniknięcia – zgodził się Terry.

Zacząła kobieta, Darla. Śpiewała w pojedynkę, po łacinie. Wyjaśniła, że „składa hołd” hymnem z czasów młodości. I że została wychowana w wierze katolickiej, ale potem odeszła od niej na rzecz ogólnej duchowości.

Miała czysty, wysoki głos.

– *Aaaaaave Mariia* – śpiewała. – *Graatia plena, Dominus tecum.*

– Pan z tobą – przetłumaczył Terry. – Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc...

Rafe dźgnął go łokciem w zębra.

Kiedy Darla skończyła śpiewać, inni podjęli to zadanie. Następnny utwór był po angielsku – piosenka z lat

sześćdziesiątych o tym, jak zmieniają się pory roku, o śmiechu, płaczu i pokoju. *I swear it's not too late*. Nie przyłączylibyśmy się, nawet gdybyśmy znali słowa, a nie znaliśmy. Z wyjątkiem Lowa.

Słuchaliśmy. Z początku to było żenujące, ale stopniowo przestało sprawiać takie wrażenie.

Przy akompaniamencie śpiewu hipisów prawie dało się poczuć miłość do zmarłej matki. Albo przynajmniej litość, która mogłaby ją udawać.

A może to było jedno i to samo.

---

Anioły nie chciały, żeby Sukey oglądała resztki kości, więc zebrały prochy do papierowej torebki. Wykopaliśmy płytki grób w odległym zakątku pola i tam ją pochowaliśmy. Następnie przemaszerowaliśmy razem przez pole i się rozproszyliśmy.

Mięśnie bolały mnie ze zmęczenia, ale wgramoliłam się na górę po drabinie i położyłam Jacka spać. Przeczytałam mu książkę przy świetle latarki. *George i Martha świetnie się bawią*.

Natychmiast odpłynął. Mój braciszek był jeszcze bardziej wycieńczony niż ja.

Przez jakiś czas siedziałam przy postaniu Jacka i słuchałam jego oddechu.

---

Tamtego wieczoru sądziłam, że już nigdy nic nie zjem, ale następnego dnia obudziłam się głodna. David też nie mógł się doczekać śniadania, więc oboje poszliśmy wcześniej do kuchni.

Burl wrócił z opakowaniem mleka w proszku dla niemowląt i paczką pieluch. Policzek miał rozorany do krwi, a Luca stał nad nim i dezynfekował mu ranę. Darla zajęła miejsce przy kuchennym blacie i mieszała proszek z wodą.

– Co się stało? – spytałam.

Burl skrzywił się, kiedy Luca przycisnął mu wacik do twarzy.

– Bandyci – wyjaśnił. – Miałem szczęście, że w ogóle udało mi się coś zdobyć.

– Bandyci? – powtórzyłam.

– Zamknąłem bramę wjazdową. Nadal można dostać się do środka pieszo, ale nie samochodem.

– Zbliżamy się do równonocy jesiennej – odezwała się Darla. – Panna zrówna się z Lwem. Widzieliście zorzę?

Pokiwaliśmy głowami.

– Wyglądało jak duże zjawisko astronomiczne. Może to jakaś wiadomość – ciągnęła. – Bardzo znaczące.

– Naładowane cząsteczki – odparł Burl z rezygnacją. – Nauka. To nie anomalia. W tej części świata da się czasami zaobserwować zorzę polarną. Sam ją widziałem. Cztery lata temu.

Przetrzęsnałam lodówkę i szafki w poszukiwaniu jedzenia. Oceeniłam, że jeśli mamy nakarmić też anioły, to zapasy wystarczą nam na jeden, może dwa posiłki.

– Burl – odezwałam się. – Co z jedzeniem?

– Nie ma się czym przejmować.

– Jak to? Mamy tu półtora kilo linguine.

– I zapas czerstwych bajgli – dodała Darla, wskazując na ladę. Bajgle też przywiózł Burl.

– Potem ci pokażę – powiedział tylko.

Z sypialni wyłoniła się Jen – całą noc pomagała Sukey przy dziecku – a na widok butelki z mlekiem aż wydała z siebie okrzyk ulgi.

– Pieluchy będą za duże – oceniła Darla, otwierając paczkę. – To rozmiar na półtoraroczne dziecko!

– Weź, daj żyć – stęknął Burl. – Takich na noworodki nie mieli.

Rozpakowałam bajgle i serek kanapkowy, a następnie krzyknęłam przez drzwi frontowe na resztę. Już po chwili cała grupa tłoczyła się w domku.

– Dobrze wiedzieć, że w chaosie nadal można liczyć na bajgle – stwierdził Rafe.

– Wszystko jasne – przytaknął David. – Żydzi rzeczywiście są narodem wybranym.

Wziął wielkiego gryza wieloziarnistego.

Poczułam ukłucie zazdrości. Wieloziarnisty był tylko jeden.

– Antysemita – mruknęła Jen.

– No wiesz... Sam jestem Żydem.

– Typowy pokaz nienawiści do własnego narodu.

– Znalazłem je w pączkarni – wyjaśnił Burl. – Drzwi były otwarte. Okna powybijane.

Złapałam kilka bajgli i poszłam do stodoły, żeby znaleźć Jacka. Chłopcy siedzieli na beli siana i pisali coś w zeszytce.

Kiedy się zbliżyłam, zobaczyłam, że mają przed sobą Biblię – otwartą na ilustracji przedstawiającej chleb i ryby. Bochny chleba przypominały bagietki. Zaciekawilo mnie, czy można było takie dostać w starożytnej Judei.

Poza tym ryby się uśmiechały.

– Przyniosłam wam śniadanie.

– Dzięki, Evie – odparł Jack. Był rozkojarzony.

– Co robicie?

– Łamiemy szyfr.

– Masz obsesję na punkcie tej książki. Poważnie. Martwi mnie to.

– Nie przejmuj się, Evie. – Jack zamigał coś do przyjaciela, który pokiwał głową. – Shel też mówi, żebyś się nie martwiła.

– Ciężkie czasy, co? – odparłam.  
Stałam przy nim i go objęłam, a potem znów wyszłam.

---

W kuchni Burl właśnie zdawał raport.

– Tam jest dużo przerażonych ludzi – mówił. – Niektórzy uzbrojeni po zęby. Drogi są do niczego. Więc jeśli chodzi o przejazd do twojego domu w Westchester... – popatrzył na Śliskiego – to bez szans. Nawet gdyby dało się tam jakoś dojechać, to nie mielibyśmy gdzie zatankować. Stacje paliw już pozajmowane. Te, w których jeszcze coś jest, kontrolują świry. Mijałem taką jedną, przy wjeździe stał żółty dżip i nie pozwalał nikomu się przedostać. A w środku jakieś typki z bronią.

Rozejrzałam się po kuchni. Dee była przerażona. Śliski rozerwał bajgla zębami i wpatrywał się w ziemię, ale ręce mu się trzęsły. Rafe słuchał w zamyśleniu. Terry postukiwał palcami w blat stołu; był zdenerwowany, ale nie panikował. Na twarzy Lowa malował się wyraz determinacji, może jakby próbował wykrzesać w sobie mściwego ducha swojego przodka Czyngis-chana.

A Val – cóż, Val nigdy nie potrafiłam rozgryźć. Stała przy Burlu i klepała się po kieszeniach bojówek, aż wreszcie wyciągnęła z jednej składany nóż.

Jen i Sukey siedziały w sypialni i nie usłyszały nic z tej rozmowy.

---

Kiedy Burl zabrał nas do silosu – Val, Rafe’a i mnie – szliśmy za nim w milczeniu. Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać.



Na drzwiach zastaliśmy kilka konkretnych zamków, w tym gumową klapkę, skrywającą wysokiej klasy blokadę na kod. Podczas gdy nasz przewodnik wciskał guziki i przekręcał klucze, ja wyciągnęłam szyję i popatrzyłam w górę. Z zewnątrz silos nie wyglądał obiecująco – szare metalowe ściany, pokryte łuszczącą się białą farbą, tu i tam oblaźłe plamami rdzy. Konstrukcja pięła się wysoko, wysoko pod niebo.

W końcu Burl pchnął drzwi. Zapalił światło.

Wzdłuż ściany ciągnęła się spirala schodów, prowadząca aż pod sufit. Ściany zajmowały półki. Całe pomieszczenie wyglądało solidnie. Miało nawet izolację cieplną. W środku stały skórzane fotele, na ziemi leżał dywan. Tu i tam biegły rzędy kabli. Zauważyłam też przeszkloną szafkę na broń palną.

Rafe gwizdnął przez zęby.

– Przyszliśmy tu tylko po jedzenie – powiedział Burl.

Zaprowadził nas do półek, z których mieliśmy zabrać suche produkty. Dwa razy chodziliśmy tam i z powrotem, a on czekał przy drzwiach, aż przeniesiemy osiem kartonów z silosu do domku. Pierwszym, co wyjęłam ze swojego pudła, była pięciokilogramowa paczka ryżu. Wyglądało na to, że czeka nas sporo takich samych posiłków. Poza tym w środku znalazłam fasolkę, brzoskwinie w puszcze i masło orzechowe.

– No popatrz. Czyli jednak miałeś własną działkę kryzysową – stwierdził Rafe, kiedy się rozpakowywaliśmy.

– Tylko się nią zajmuję – sprostował Burl. – Prywatnej miejscówki nie posiadam.

Powiedziałam Rafe'owi, że powinniśmy spróbować jeszcze raz zadzwonić na dziewięćset jedenaście w imieniu rodziców, na wypadek gdyby sami nie byli w stanie wezwać pomocy.

– Zadzwonić na pewno dadzą radę. W domu jest linia naziemna.

– Okrutne – stwierdziłam.

– Może działa. Może nie – wtrącił Burl. – Przez teren posiadłości idą kable pod ziemią. Ale na wysokości drogi już łączą się z resztą w powietrzu. A wiele z nich jest pozrywanych.

---

Jen zdołała wcześniej złapać zasięg na strychu w stodole, więc usiadłam tam na beli siana i napisałam do rodziców: „Jak się czujecie?” i jeszcze: „Bardzo chorzy?”.

Byłam gotowa dzwonić na pogotowie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nic.

Wyjrzałam na dół i zobaczyłam, że biolog rozmawia z Jackiem i Shelem, gestykulując. Nie słyszałam, co mówi, i widziałam tylko czubki ich głów, ale po jakimś czasie chłopcy poszli po klatkę i wynieśli ją przez podwójne drzwi.

Potem przyszedł czas na drugą klatkę, następnie pudełko, aż w końcu zniknęły wszystkie zwierzęta. Zostało tylko akwarium i wiadra.

Zeszłam po drabinie i poszłam ich śladem.

Klatki stały jedna przy drugiej na skraju pola, gdzie rząd sadzonek drzew oddzielał ogród od pastwiska. Chłopcy schylali się nad każdą po kolei.

Króliki wyskakiwały powoli i znikały w trawie. Wiewiórka zrobiła to samo. Potem przyszła kolej na pomarańczowego lisa o wąskich, przyczerwionych uszach. Natychmiast rzucił się przed siebie i przepadł.

Pudełko ze skunksem zanieśli nieco dalej. Czekałam zaniepokojona. Oni jednak bez żadnych przeszkód wrócili przez pole, a skunks odmaszerował w swoją stronę, kołyszając leniwie puszystym ogonem.

– Jak ich przekonałeś? – spytałam biologa.  
Miał gładką oliwkową skórę. Nie był nawet aż tak zdeformowany jak na starszego człowieka.  
– Wystarczyło im pokazać, że te zwierzęta cierpią.  
Staliśmy obok siebie, czekając, aż chłopcy do nas podej-  
dą. Czułam się niezręcznie. Przedstawiłam mu się, a on mi.  
Mattie. Powiedziałam, że to brzmi jak imię dla dziewczyny.  
Odparł, że często to słyszy, i wyjaśnił, że to jego przezwisko z dzieciństwa, ale postanowił je zachować.  
Kiedy Jack do mnie podszedł, na jego twarzy malował się niezwykle spokoj.

---

– Ewie – oznajmił z powagą – burza minęła. Nie dotarły tu żadne plagi. Więc musieliśmy wypuścić je na wolność.

Weszłam na stryzek i usiadłam przy kłapie, kołysząc nogami przerzuconymi przez krawędź. Chłopcy poszli do strumienia płynącego przez las. Zabrali ze sobą pojemniki z rybami.

Ping, brzęknął telefon.  
Wiadomość od ojca.  
„Mamy dengę”.  
Sprawdziłam w internecie. Choroba tropikalna przenoszona przez komary.  
Pospiesznie zeszłam z powrotem na dół.  
Mattie oglądał akurat rośliny w warzywniku, odwracał im liście i podcierał spodnie strony kciukiem.  
– Pójdiesz ze mną? – poprosiłam.  
Znaleźliśmy Burla, Lucę, Terry’ego i Jen. Cała grupa zajęła miejsca przy białym stole piknikowym obok fontanny dla ptaków.  
– To choroba tropikalna – powiedziałam.

– Ale przecież nie jesteśmy w tropikach – zgłosił wątpliwość Terry.

– Błyskotliwe spostrzeżenie – stwierdziła Jen.

– Ostatnio choroby szybko się rozprzestrzeniają – stwierdził Mattie. – Wystarczy spojrzeć na nietoperze. Zespół białego nosa. I borelioza.

– Może ktoś mylnie postawił diagnozę – zasugerował Luca.

– Ale matka Terry’ego jest lekarką – odparłam.

– Ginekolożką – odezwała się Jen z powątpiewaniem.

– Ehe, tak – wtrącił Terry. – Lekarzem medycyny. Nie kretynką.

– Dobra wiadomość jest taka, że denga nie przenosi się drogą kropelkową – uciał Luca. – I to choroba wirusowa, więc nie potrzeba na nią antybiotyków.

– Musicie się dowiedzieć, jak poważna jest sytuacja – dodał Mattie. – Może się okazać, że niektórzy z nich będą wymagać transfuzji krwi.

– No to mają przejebane – stwierdziła Jen.

– Niekoniecznie – odezwał się Burl. – W silosie jest całkiem przyzwoite wyposażenie medyczne.

– Ja potrafię przeprowadzać transfuzje – zaoferował Luca.

– A co, zapasy krwi też tam są? – spytał sarkastycznie Terry.

– Nie – odparł Burl.

– To wy dostarczylibyście krew.

– Nie! – zaprotestował Terry. – Nie, nie, nie, nie, nie.

– Oczywiście należy też, którzy z rodziców by jej potrzebowali. Ale prawdopodobnie część z was ma takie same grupy jak oni.

– Nawet nie mamy jak się tam dostać – zauważyłam. – Most się zapadł.

– Ostatnie parę kilometrów można przejść na piechotę – stwierdził Burl. – Moglibyśmy podjechać vanem. Ale zabieramy tylko jeden pojazd. I już nie tankujemy. To może być niebezpieczne.

– Nawet nie wiemy, czy w ogóle potrzebują naszej pomocy – sprzeciwiła się Jen. – A poza tym czy denga jest aż taka poważna?

Przewinęłam informacje na ekranie.

– Większość pacjentów wraca do zdrowia w ciągu dwóch do siedmiu dni – przeczytałam.

– No widzicie? Nic wielkiego – mruknął Terry i z zadowoleniem rozparł się w siedzeniu.

– Część jednak dostaje gorączki krwotocznej, która może doprowadzić do uszkodzenia narządów wewnętrznych, podskórnych krwawień i śmierci.

– Mhm – wymamrotał Terry.

– Możesz się dowiedzieć, kto jest w najgorszym stanie? – zwrócił się do mnie Burl. – I jak poważna jest sytuacja? Jeśli mamy stąd wyjeżdżać, to tylko w celu ratowania życia.

– Niech każdy napisze do swoich rodziców – zarządził Mattie. – Trzeba porównać jak najwięcej wersji. Zadajcie im te dwa pytania. Zobaczmy, co kto powie.

Rozeszliśmy się po podwórku i stodołę, żeby znaleźć resztę i przekazać im instrukcję. Zamachałam do Lowa i Śliskiego, kręcących się bezmyślnie w kółko na quadach. Podjechali do mnie przez pole na pełnej prędkości. Spod kół przyskały kamienie i błoto, aż w końcu oba pojazdy zatrzymały się gwałtownie w ostatniej chwili. Zjebły. Aż podskoczyłam.

– Musimy napisać do rodziców – wyjaśniłam i przekazałam, co mają zrobić. A wtedy oni przypomnieli mi, że ich telefony szlag trafił podczas burzy. I po raz pierwszy

wyglądali na zadowolonych z tego faktu. A wręcz na uradowanych.

Zakręcili kilka bączków i znów odjechali, pohukując triumfalnie.

---

Sukey całe dni spędzała na dbaniu o dziecko. Pilnowała, żeby było czyste, nakarmione i ogrzane.

– Patrzcie – odezwała się nie bez dumy do mnie i Jen. Jej siostra leżała na środku łóżka, zawinięta w gniazdo z kocyków.

Buzia małej była poczerwieniała i zmarszczona, a na czubku głowy sterczała kępka czarnych włosów. Niemowlę prawie się nie ruszało.

– Ej, super! – Nie byłam pewna, czego oczekuje przyjaciółka. Nie mogłam powiedzieć, że dziecko jest śliczne. Staram się nie kłamać. – Świetna robota. Naprawdę stanęłaś na wysokości zadania – stwierdziłam ostatecznie.

Potem przyjrzałam się Sukey nieco uważniej. Ubranie miała brudne, a włosy pozlepiane w tłuste strąki.

– Wiesz co, może zostanę tu z Jen – zaproponowałam. – Popilnujemy małej. A ty zrób sobie przerwę, weź prysznic. Co ty na to?

Jen pomogła mi ją przekonać i już po chwili Sukey zniknęła w łazience, a my usiadłyśmy na łóżku i wsłuchałyśmy się w szum wody.

Mała podrygiwała lekko we śnie.

– Ludzie jeżdżą po ulicach z bronią – odezwała się Jen. – A my mamy jechać, żeby ratować im dupy? Im?

– Możliwe.

---

Ojciec i matka Dee byli bardzo chorzy. Matka Davida też. I Lowe'a (adopcyjna).

Adoptowany czy nie, Low znał swoją grupę krwi: zero minus. Był uniwersalnym dawcą.

Nie chciał jechać, ani trochę mu się to nie uśmiechało.

Ostatecznie jednak ustąpił.

---

Burl chwilowo dezaktywował funkcję rozpoznawania odcisku palca na zabezpieczeniach w silosie i dał nam klucze od zamków.

– Wyślijcie kogoś na górę – poinstruował, wsiadając do vana. – Wystawcie czujkę i pilnujcie okolicy całą dobę. Piszcie, gdyby coś się wydarzyło.

Kiedy odjechali – Dee, David i Low na tylnym siedzeniu vana, Burl i Luca na przedzie – Rafe i ja wleźliśmy na szczyt silosu.

Schody biegły spiralnie w górę pod okrągłymi ścianami, a od wspinaczki aż zakręciło mi się w głowie. Na szczycie znajdowała się platforma z drzwiami. Wyszliśmy na metalowy podest, wystający z kopuły dachu, otoczony rozchwianą poręczą. Stał tam rozklekotany pleciony leżak.

Zobaczyłam zielone pola, poprzecinane rzędami drzew, i długie wstęgi polnych dróg. Brązowe dachy rozsypanych tu i tam budynków – gospodarstwo tu, gospodarstwo tam. Po lewej zauważyłam grzbiety czarno-białych krów, otaczających obły zbiornik, a po prawej – trójkę dzieciaków w szortach, rzucającą sobie jaskrawożółte frisbee.

– To ci, z którymi mamy się nie puszczać? – spytał Rafe.

– Zasada numer dziewięć, jeśli dobrze pamiętam.

Przyglądałam się, jak biegają i rzucają smukłym dyskiem, sunącym gładko przez powietrze, i na chwilę poczułam się

tak, jakby wszystko było normalne. Zamigotała we mnie nawet iskra zwątpienia: może wszystko sobie zmyśliliśmy. Stworzyliśmy całą historię z nudów, tę burzę i powalone drzewa. Martwą matkę też.

Tak mi ulżyło, że aż poczułam, jak serce bije mi szybciej. Dopóki nie dotarło do mnie, że właśnie to, o czym teraz myślę, jest fantazją. Prawdziwa była gorączka. I prochy.

W oddali majaczył błękit nieba, rozplywający się gdzieś na horyzoncie.

---

Przez jakiś czas jedna osoba z grupy zawsze siedziała na posterunku aż do zapadnięcia zmroku. Lornetkę Val schowaliśmy pod leżakiem.

Val lubiła trzymać wartę, choć nie była specjalnie czujna. Przywiązała linę do stalowej poręczy wokół platformy widokowej i ćwiczyła wspinaczkę w górę i w dół. Z biegiem czasu wdrapywała się coraz szybciej i z szerokim uśmiechem odbijała od metalowego grzbietu silosu.

Rafe lubił siedzieć na platformie, bo mógł wybijać z niej piłki golfowe kijem ukradzionym jeszcze z wielkiego domu. A Jen – bo miała wtedy przerwę w opiece nad dzieckiem. Terry zaś cieszył się z chwili prywatności na pisanie w dzienniku.

Niewiele się tam działo. Wpatrywałam się w niebo równie często jak w drogę, wkładałam do uszu słuchawki i włączałam sobie muzykę. Pozwalałam myślom błądzić wokół nieobecnych przyjaciół, którzy wyruszyli, by oddać krew. Nawet Dee, kompulsywnie dezynfekująca ręce i całe ciało, oraz David sabotażysta sprawiali teraz wrażenie świętych.



Po wyjeździe wszyscy zmienili się w abstrakcyjne byty. Przeistoczyli się w idee, a idee zawsze mają w sobie więcej romantyzmu niż żywi ludzie.

Raz nawet fantazjowałam o Lowie – w marzeniu na jawie, wyrosłam z nudy. Wyobrażałam sobie różne rzeczy i wzdrygałam się jednocześnie, zażenowana własnymi wizjami. Skręcałam się z odrazy, ale przynajmniej już tak nie nudziłam.

Zastanawiałam się, czy pomogłaby mu zmiana stylu. Zazwyczaj to dziewczyny i kobiety przechodziły taką zmianę, mimo że to mężczyźni i chłopcy potrzebowali jej bardziej, jeśli w ogóle ktokolwiek miałby się temu poddawać. Przypomniały mi się różne filmy ze scenami, w których ludzie stają się najatrakcyjniejszymi wersjami samych siebie. Przeistaczają z gąsienicy w motyla. A wszystko to zmontowane do dźwięków jakiejś inspirującej melodii.

W filmach takie przemiany prezentowano jako triumf ludzkiego ducha.

To wskazywało, że w ostatnich czasach jego poprzeczka została znacząco obniżona. Wystarczała odrobina szminki, nowa fryzura, kropla żelu do włosów. I nowe ciuchy.

Oto w co zmienił się duch ludzki.

Właśnie na takich medytacjach upływały mi godziny na szczycie silosu, gdy przychodziła moja kolej.

---

Dni mijały powoli. Trwała pora wolna od burz i deszczu. Według kalendarza jesień się jeszcze nie zaczęła, ale nie dało się tego dłużej nazwać latem. Lato zostało w innych czasach – kiedy mieliśmy wielki dom, błyszczące jezioro, błękitny ocean.

Rano zajmowaliśmy się osłami i kozami, a potem pomagaliśmy Mattiemu dbać o warzywnik. Na zmianę przygotowaliśmy lunch. Po południu praliśmy brudne ubrania w zlewie i rozwieszaliśmy do wyschnięcia. Szorowaliśmy się zimną wodą, dzieliliśmy szczoteczki do zębów, aż się rozpadły, dozowaliśmy pastę do zębów po odrobinie. Miesiączkujące dziewczyny musiały pociąć na kawałki jedną gąbkę. Sterylizowałyśmy je we wrzątku na kuchence.

Anioły doładowały generator prądu paliwem z silosu. Często patrolowały lasy. Obiady gotowaliśmy na zmianę z Darlą i aniołem o imieniu John, który pracował kiedyś jako zastępca szefa kuchni. Po obiedzie Sukey zabierała dziecko na grób matki, karmiła je z butelki i kołysała do snu. W miejscu pochówku budowała wieżę z kamieni – codziennie wyciągała po kilka ze strumienia.

Zazwyczaj nie zapalaliśmy świateł w domku, żeby nie marnować prądu i nie ściągać na siebie uwagi. Rafe kilka razy rozpałił w nocy ogień na dworze, ale na to też pozwalaliśmy sobie rzadko ze względów bezpieczeństwa. Zbieraliśmy się blisko ognia, a anioły próbowały nas uczyć swoich hipisowskich piosenek.

Darla twierdziła, że śpiew jest dobry dla zdrowia.

– To działa jak uśmiech – upierała się. – Im częściej to robisz, tym bardziej ci się chce!

Słyszac to, Śliski splunął.

Nauczyli nas znanej smutnej piosenki, zaczynającej się od słów: *Hello darkness my old friend, I've come to talk with you again*, i takiej wesołej, która leciała jakoś tak: *When I die and they lay me to rest, gonna go to the place that's the best*. Jackowi podobała się ta wesoła, bo była o jego niewidzialnym przyjacielu Jezusie. Reszta nie miała nic przeciwko tekstowi, bo anioły twierdziły, że jest ironiczny. Napisał go Żyd z Massachusetts.

– *Never been a sinner, I never sinned, I got a friend in Jesus* – śpiewaliśmy, fałszując, do wersji karaoke, lecącej z naszego głośniczka w kształcie hokejowego krążka.

Czasami wykrzykiwaliśmy te słowa niemal przekornie: *Never been a sinner! I never sinned!*

---

David wysłał Rafe'owi zdjęcie. Przedstawiało bibliotekę w wielkim domu. Krzesła, stoły i kanapy porozsuwano pod wysokie regały z książkami, a w ich miejscu pojawił się rząd materaców.

Leżeli na nich rodzice, a obok David, Dee i Low. Po powiększeniu zobaczyliśmy cienkie czerwone żyłki, łączące ramiona młodych i starych. Zgrabne pętle rurek.

To przypomniało mi o historii z wiadomości, którą czytałam niedawno, o jakimś laboratorium farmaceutycznym. Historia była okraszona zdjęciami i opowiadała o setkach skrzyploczy, z których pozyskiwano krew do testów medycznych. Urządzenia laboratoryjne pobierały dość dużo krwi, by zwierzęta nie umarły, lecz żyły wystarczająco długo, by dało się z nich pobierać krew raz za razem.

Firma określała to mianem farmy krwi.

Siedzący przy mnie Jack wpatrywał się w zdjęcie, kiedy je powiększałam. W tle znajdował się maleńki, rozsmazany kominek, a nad nim wisiał obraz, przedstawiający myśliwych z psami.

Mój brat dotknął ekranu opuszką palca i przesunął ją wzdłuż czerwonej rurki, prowadzącej od Davida do jego matki. Prześledził całą zapętloną drogę cienkiej żyłki.

– Wraca tam, skąd się wziął – stwierdził.

---

Jeśli wierzyć Darli, Jack i Shel przeżywali właśnie kluczowe momenty „podróży dzieciństwa”. Czas spędzany poza szkołą i bez towarzystwa innych dzieci w podobnym wieku mógł „zahamować ich rozwój społeczny i intelektualny”.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Nasza własna szkółka na prerii! – wykrzyknęła, klaszcząc z uciechy. My skrzywiliśmy się z żenady.

Mogliby uczyć się wszystkiego po trochu: Mattie wykładaby im biologię, John historię, a ona poezję.

– Anioły mają za mało do roboty – ocenił Terry, kiedy naradzaliśmy się na ten temat. – Jeszcze trochę i zaczną się niecierpliwić. A to może być na dłuższą metę szkodliwe.

– Próznowanie poszerza granice diabelskich włości – błysnął cytatem Rafe.

A więc się zgodziliśmy. Pozwoliliśmy im „uczyć” chłopców, jeśli mają na to ochotę. I podziękowaliśmy za zaangażowanie.

---

Czasami siedziałam bez ruchu w zaparkowanym samochodzie. Przypominałam sobie fabryki. Widziałam je na ekranie w setkach odmian i zawsze miałam poczucie, że gdzieś tam są, mruczą, kręcą się, przewalają nieskończenie wiele elementów na kolejnych taśmociągach.

Teraz zastanawiałam się, czy dalej coś produkują, czy może stoją ciemne i puste, pozamykane na glucho. Czy w innych miejscach działają jeszcze jakieś zakłady przemysłowe? Czy może niektóre rzeczy już w ogóle nie powstają?

Wpatrywałam się w deskę rozdzielczą, w jej winylową powierzchnię, kurz w załamaniach. Rozmyślałam o tym,

co kryje się pod plastikową pokrywą i które elementy tego mechanizmu przeszły już do historii.

---

Od kiedy wiadomości zaczęły się powtarzać, straciłam zainteresowanie telefonem, bo bez przerwy zalewał mnie falami ponurych informacji. Rozwiązałam ten problem, ignorując urządzenie.

Inni też porzucili swoje – między kolejnymi doniesieniami mijały całe dni. Rafe i David pisali do siebie co wieczór, zawsze to samo: „OK?” – i odpowiedź: „OK”.

Przez jakiś czas nic się nie zmieniało.

Przed burzą zdarzało się nam zauważyć gdzieś porzucony telefon albo tablet któregoś z rodziców i podkradałiśmy je, gdy potrzebowaliśmy szybkiego strzału cyfrowej rzeczywistości. Czasami udawało nam się podejrzeć fragment programu w telewizji przez otwarte drzwi. Ostatnimi czasy zadowalało nas to, co mieliśmy przed sobą: domek, stodoła, długie polne trawy. Wysokie źdźbła, niskie zielone kępy, łyse placki ziemi. Topografia. Mieliśmy drewno ścian i ogrodzeń, metal zaparkowanych samochodów z niemal pustymi bakami.

Mieliśmy rogi budynków i łagodne zbocza wzgórz, postrzępione linie koron drzew. Im więcej czasu mijało, tym bardziej nierzeczywiste i dziwne wydawały nam się płaskie obrazy. Niesamowite, kruche powierzchnie. Czy zawsze nam towarzyszyły?

Dawniej mieliśmy tyle obrazów. Wszędzie zdjęcia, wypełniające każdą godzinę, minutę, sekundę.

Teraz stały się nam obce. Teraz wszystko oglądaliśmy w trzech wymiarach.

Okazało się, że program lekcji poezji obejmuje wszystko to, co akurat przyjdzie Darli do głowy. Nazywała to też „humanistyką”. Raz usłyszałam, jak opowiada o sytuacji z wszami w drugiej klasie podstawówki.

– Zostałam wysłana do domu na oczach innych dzieci – zwierzała się chłopcom. – Wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Wytykali mnie palcami i krzyczeli: Wszy! Zawszona! Wszawa Darla!

Innym razem wspominała znajomą z Maine, która hodowała alpaki na wełnę, a potem robiła z niej skarpety. Tanie nie były, ale nic tak nie grzeje stóp zimą, zapewniała.

– A poza tym świetnie chłoną wilgoć – powiedziała Jackowi. Shel pokazał jej, jak zamigać „alpaka” i „skarpeta”.

Na historii John opowiadał o miejscach, które odwiedził, i rzeczach, które oglądał – o Dzwonie Wolności, Disneylandzie, Muzeum Lodów – ale zazwyczaj koncentrował się na biografii swojej byłej.

Rzuciła go, a on za nią tęsknił.

Najlepsza była biologia. Mattie prowadził ją w stodole, gdzie otwierał na laptopie różne wykresy i wyświetlał na białej ścianie.

Jedna z prezentacji miała tytuł *Proterospongia – wiciowce*. Ilustracja przedstawiała coś, co wyglądało jak rurkowate drzewko z gałkami ocznymi wyrastającymi na końcu każdej gałęzi.

– Oto żywy przykład tego, jak mógł wyglądać jednokomórkowy przodek wszystkich zwierząt na świecie – oznajmił Mattie.

Reszta naszej grupy zaczęła stopniowo przyłączać się do jego zajęć; codziennie dochodzili nowi słuchacze. Najpierw uczestniczyli w nich tylko Jack i Shel. Potem dołączył Śliski, później Rafe, Jen i Sukey z dzieckiem. Wszyscy. Czasami chodzili rano do stodoły. Ja zaglądałam przez otwarte drzwi i obserwowałam ich uważne twarze, wiernie zwrócone ku nauczycielowi. Dałoby się ich wziąć za podopiecznych szkoły w poprzedniej epoce. Może we Francji za czasów królów słońce i lustrzanych sal albo w Anglii przed wojnami światowymi.

Wyglądali jak dzieci uczące się od wykładowców, pełne zaufania i pewności, że przyszłość rozciąga się przed nimi wielką, przewidywalną połącią.

Siedzieli cicho i wpatrywali się w projekcje na ścianie.

Wszystko stworzone przez innych i celowo zaprojektowane wracało do mnie gwałtowną falą. Bogate kolory, eleganckie kontury. Ilustracje, artystyczne wizje. Przekroje, dendrogramy, diagramy rozczapierzone jak konstelacje, pnące się niczym drabiny, rozlane jak mapy i spirale – opowiadały historię naszej planety.

Zobaczyliśmy pierwsze pojawienie się wody w formie cieczy – po tym, jak ukształtował się Księżyc. Ziemię sprzed trzech miliardów lat, na której fale burzyły się na wysokość trzystu metrów, a wiatry przewalały się z siłą huraganów. Uczyliśmy się o czasach, kiedy do atmosfery przedostał się tlen, wyprodukowany przez algi, które tym samym doprowadziły do rozwoju wszystkich innych form życia. O początkach ruchów płyt tektonicznych. I o tym, jak rozwijał się seks.

– Reprodukacja płciowa mogła przyspieszyć tempo ewolucji – oznajmił Mattie.

Wszyscy z uwagą kiwali głowami. Nawet Śliski.

– Pierwsze organizmy wielokomórkowe? Ktoś wie? Osiemset milionów lat temu. A sprzed pięciuset pięćdziesięciu milionów pochodzą pierwsze znane nam dowody istnienia czego...? Świetnie, Jack. Meduz, gąbek i koralowców. Pierwsze znane nam ślady łąp na suchym lądzie mają pięćset trzydzieści milionów. To znaczy, że pierwsze zwierzęta mogły odkrywać ląd, jeszcze zanim pojawiły się na nim rośliny.

– A pierwsze zwierzęta z kośćmi? – chciał wiedzieć Jack.

– Pierwsze kręgowce: czterysta osiemdziesiąt pięć milionów lat temu.

Lista pierwszych rzeczy ciągnęła się tak długo, że omawianie jej trwało kilka dni. Mattie wyświetlał każdą nową formę życia na ścianie stodoły, w pełnych barwach i ze szczegółami: oto nautilus. Oto bezzuchwowiec. Oto włókna grzyba albo małe wypustki, które nazywamy rzęskami.

Pokazywał nam dinozaury i ryby promieniopłetwe, żółwie i muchy. Prezentował sylwetki drzew szyszkowych i wyjaśniał, że należą do grupy nagonasiennych. Kiedy zaczęły zajmować większą część Ziemi, zwierzęta roślinożerne musiały urosnąć do potężnych rozmiarów, by przeżyć, żywiąc się roślinami o niskiej wartości odżywczej.

Zaprezentował nam schemat wymierania gatunków, poznaczone ostrymi szczytami niczym linia sejsmografu.

Po jakimś czasie byliśmy tak oddani jego obrazkom, że zmieniliśmy się prawie w apostołów.

---

Któregoś wieczoru przy kolacji zjadłam pół kromki żytniego chleba ze świeżo otwartej paczki przyniesionej z silosu, zanim zorientowałam się, że jest na nim pleśń. Mattie



przyjrzał się jej uważnie, ostrzegł resztę, żeby go nie jedli, a następnie zaczął przetrząsać szafkę z zapasami w poszukiwaniu środka wymiotnego, usiłując zachować spokój.

Przyjęłam lekarstwo, a on zabrał mnie w krzaki, żebym mogła zwrócić zawartość żołądka, i przez cały czas poklepywał mnie po plecach.

Wyjaśnił, że pleśń była toksyczna. Nie zabije mnie, bo większości się pozbyłam, ale jej resztki w organizmie mogą wywołać halucynacje, jak grzyby albo pejotl. Pij dużo wody i odeśpij, poradził.

Obudziłam się w środku nocy i nie miałam pojęcia, co się dzieje. Wydawało mi się, że z podwórka dobiega odgłos podjeżdżającego samochodu.

Kompletnie odklejona, z lekką głową i zamglonym wzrokiem zesłam na drżących nogach po drabinie. Ciemność stodoły rozpraszała tylko samotna żarówka w drucianej klatce, zawieszona nad boksem osiołków. Stały blisko siebie ze zwieszonymi głowami, zwrócone pyskami do ściany.

Ktoś chrapał. Przemknęłam się na palcach, niepewna, czy powinnam wszczać alarm, lecz kręciło mi się w głowie i nie myślałam trzeźwo.

Przycisnęłam dłoń do drzwi stodoły i otworzyłam je ostrożnie. Przy furgonetce zobaczyłam Lowa i Davida. Reflektory samochodu wciąż były włączone, ćmy trzepotały w dwóch żółtych promieniach.

– Dee nie wróciła – odezwał się Low.

– Została z nimi – dodał David.

Twarze mieli ukryte w cieniu, stali na tle światel furgonetki. Widziałam tylko ciemne plamy w miejscu ich oczu.

– Zdezerterowała.

– Tchórz.

– Zdrajczynie.

– A co z chorymi, poprawiło im się?

- Nic im nie jest – odparł Low.
- Poza tym, że wciąż zachowują się jak patafiany.
- A co z Amy?
- Była w piwnicy.
- Co? Przez cały czas?
- No. Siedziała w kącie i żarła płatki prosto z pudełek.

Światła zgasły, otworzyły się przednie drzwi auta. Ze środka wyłonili się Burl i Luca. David włączył latarkę. Wypakowali torby podróżne i śpiwory. Ogarnęła mnie ulga, choć nie potrafiłam wyjaśnić, z jakiego powodu: może dlatego, że to było już wszystko.

Tylko ich czwórka. Nikt z rodziców do nich nie dołączył.

Na widok tych, którzy wrócili, ogarnęła mnie kolejna fala zawrotów głowy. Kiedy zmrużyłam oczy, wydawało mi się, że widzę za nimi nieobecnych rodziców. Noc wszystko rozmyła. A może dostrzegałam tylko ich kształty, wizerunki? Nie, to nie oni, uświadomiłam sobie – chyba że...?

To byli oni i nie oni, a może jakieś ich wersje, które nigdy nie istniały. Niemal udało mi się dojrzeć w mroku pozostałych, stojących w ogrodzie na grządce groszku, jakby wyrastali spomiędzy rzędków roślin. Trwali tak nieruchomo, a od ich twarzy bił dawno przepadły blask. Stracili go na długo przed tym, jak się urodziłam. Ręce mieli opuszczone wzdłuż ciała.

Zawsze tu byli, pomyślałam mętnie, i zawsze chcieli być czymś więcej, niż są. Pojęłam, że należy w nich widzieć invalidów. Każda dorosła osoba jest chora albo nieszczęśliwa, ciągnie za sobą problemy jak połamane kończyny. Każda wymaga specjalnej opieki.

Kiedy się o tym pamiętało, można było czuć wobec nich mniejszą złość.

Niosła ich nadzieja, szansa na nagłe powodzenie trzymała w pionie. Zamiast gwiazdki z nieba trafił im się jednak

tylko bezlitosny upływ czasu. I na zawsze mieli pozostać wyłącznie sobą.

A mimo to pragnęli stać się kimś innym. Postanowiłam, że odtąd będę o tym pamiętać. Że to, kim chcemy być – ale nigdy nie możemy zostać – zawsze wędruje tuż przy nas. Że dotrzymuje nam kroku.

**N**a zajęcia z poezji nie chodził nikt poza chłopcami, a nawet oni brali w nich udział tylko po to, żeby nie zranić uczuć Darli. Zawsze starała się nimi opiekować.

Rano po nocy halucynacji usiadłam w pobliżu i półprzymkniętymi oczami składałam pranie przy stole piknikowym. Byłam nieco przytępiona. Wracałam do siebie.

David i Low rzucali piłkę tenisową z tymi, którzy zostali na farmie. Rozmawiali o wielkim domu i o chorobie rodziców.

Darla chyba prowadziła dziś wykład z garncarstwa, bo wychwyciłam słowa „ugniatanie gliny” i „rdzenny”. A także „Matka Ziemia”.

Jack nie był szczególnie zainteresowany ceramiką. Ostrożnie otworzył swoją Biblię, próbując niezauważenie zajrzeć do środka.

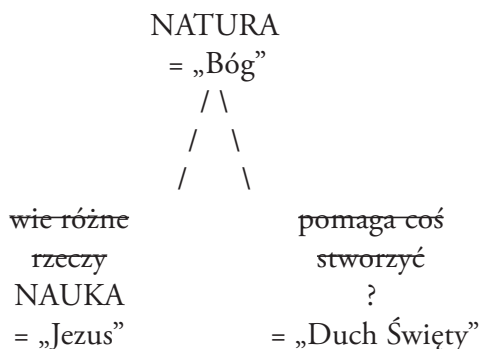
Darla straciła wątek.

– To twoja ulubiona książka, skarbie?

– Piąta ulubiona. Jeśli liczyć całe serie jako jedną. Dalej najbardziej lubię swoje stare. Więc na szczycie listy jest *Żabek i ropuch*, potem *George i Martha*, *Księga rekordów Guinnessa* i *Wielka księga żartów*.

– A co ci się w niej najbardziej podoba?

- Głównie zagadki.
- W Biblii są zagadki?
- Sporo już rozwiązaaliśmy. Pierwszą wskazówką było to, że książka nie mówi tak naprawdę o Bogu, tylko o naturze. A jak już na to wpadliśmy, to rozgryźliśmy cały rebus z trójcą. Z Bogiem i Jezusem.
- Co dokładnie rozgryźliście, kochanie?
- Jack oderwał wzrok od trzepoczących dłoni Shela.
- Jeśli Bóg oznacza naturę, to Jezus naukę. Dlatego nazywają go synem Boga. Nie chodzi o prawdziwego syna. Bóg nie ma spermy.
- Patrzcie państwo! Wiesz już wszystko o pszczołkach i ptaszkach!
- Darla, on nie jest przedszkolakiem – wtrąciłam.
- To znaczy tylko tyle, że nauka wywodzi się z natury. Widzicie?
- Przechylił zeszyt, żebyśmy mogły odczytać jego zapiski.



Gdzieś za nami rozległ się trzask. Nie widziałam, które okno poszło, ale usłyszałam brzęk tłuczonego szkła. Przebiegł koło nas Śliski.

– O kurde. Zbiłem szybę! – krzyknął zza rogu domku. – W łazience!

– To wygląda bardzo kreatywnie, słoneczko – zwróciła się Darla do Jacka.

Śliski wrócił już powolniejszym krokiem i opadł ciężko na ławkę. Zabrał się do wydlubywania ostrych odłamków z piłki tenisowej.

– Mamy na to dowód. Jezus ma dużo wspólnego z nauką – ciągnął Jack. – Żeby nauka nas ocaliła, musimy w nią wierzyć. Z Jezusem jest tak samo. Jeśli się w niego wierzy, to może nas zbawić.

– Młody, to się totalnie nie spina – odezwał się Śliski.

– Właśnie że tak.

– Au!

Śliski skaleczył się w palec.

– Widzisz to? Nauka pochodzi z natury. Jest tak jakby jej gałęzią. Tak jak Jezus jest gałęzią Boga. A jeśli uwierzymy, że nauka jest prawdziwa, to możemy zacząć działać. I będziemy ocaleni.

Śliski włożył krwawiący palec do ust.

– W sensie, że co, pójdziemy do nieba? Słuchaj, Sherlocku, bredzisz jak potłuczony. Święty Mikołaj się kłania.

– Justin, jama ustna to najmniej higieniczna część twojego ciała – upomniała go Darla.

Uważała, że ksywka „Śliski” odbiera mu godność, i zwracała się do niego wyłącznie imieniem metrykalnym, nie zważając na jego protesty.

– Nie. Chodzi mi o Ziemię. Klimat. Zwierzęta – odparł Jack. – Niebo to tylko część kodu. Oznacza dobre miejsce do życia dla wszystkich.

– Strasznie piecze – poskarżył się Śliski.

– Czekaj, pójde po wodę utlenioną. – Darla podniosła się z miejsca.

– Słuchaj – odezwał się Jack do Śliskiego poważnym tonem. Przewrócił stronę w zeszytcie. – Wypisaliśmy tu cuda

Jezusa, co nie? One wszystkie działają tak samo jak nauka!  
Prawie wszystkie. To dowód.

Shel zamigał.

– Nie taki matematyczny – uściślił Jack. – To nie podręcznik do matematyki. Chodzi o idee.

Jezus = Nauka

|   | Jezus | Nauka |
|---|-------|-------|
| 1. Leczy chorych                        | ✓     | ✓     |
| 2. Przywraca wzrok niewidomym           | ✓     | ✓     |
| 3. Zmienia mało jedzenia w dużo         | ✓     | ✓     |
| 4. Chodzi po wodzie<br>(PODUSZKOWIEC!!) | ✓     | ✓     |
| 5. Ożywia zmarłych                      | ✓     | ✗     |

4/5

– Poduszkowiec? – zdziwił się Śliski, zaglądając nam przez ramię.

– Shel je uwielbia – wyjaśnił Jack. – To jeden z przykładów, co nie? Że nauka może nam pomóc chodzić po wodzie. Łapiesz?

Shel zamigał, a Jack szybko przetłumaczył. Byłam pod wrażeniem jego biegłości.

– Są też inne przykłady. Nauka pozwala zamrozić wodę, nie? A po lodzie można chodzić. Tak jak Jezus.

Darla wróciła z pudełkiem plastrów.

– Nauka pozwala też budować mosty, a one również znajdują się nad wodą. No, dużo tego jest.

– Tę książkę napisano dwa tysiące lat temu – zauważył Śliski. – Wtedy nikt jeszcze nawet nie wynalazł nauki.

– Jesteś strasznym ignorantem – powiedział Shel. Na głos.

– Sheldon! – wykrzyknęła Darla po chwili. Aż promieniała od uśmiechów. – Ty mówisz!

Ja też usłyszałam jego głos po raz pierwszy. Wiedziałam, że potrafi się nim posługiwać – Jack i Jen mi o tym mówili – ale robił to tylko w szczególnych okolicznościach.

Widocznie ignorancja Śliskiego kwalifikowała się jako szczególna okoliczność.

– No jasne, że mówi. – Jack wzruszył ramionami.

– Cóż za wspaniały przykład autoekspresji, kochanie – pochwaliła Shela Darla. – Chłopcy, koniec lekcji.

---

Znów zaczęły się burze. Przetaczały się po wybrzeżu raz w jedną, a raz w drugą stronę.

Stodołę zbudowano na wyższym terenie niż wielki dom, a drzewa stały dość daleko od siebie, rozsiane tu i tam po polu. Zbyt daleko od naszych zabudowań, żeby zmiażdżyć dach stodoły albo domku. A po dotarciu w głąb łądu burze nieco traciły impet.

Ciągle jednak padał deszcz. Wymyślaliśmy różne gry na prowizorycznych tablicach, które rysowaliśmy na betonowej posadzce w stodole, ale kiedy zaczynaliśmy się kłócić o reguły, zabawa siadała. Energia się rozpierchała.

Jen trzymała Terry'ego na krótkiej smyczy, czasami to ignorowała, a jeśli nie miała nic lepszego do roboty, to szła się z nim przelizać. Ja z Lowem nie. Bez względu na to, ile razy próbował się o mnie ocierać niby przypadkiem, nie potrafiłam wykrzesać z siebie zainteresowania. Nie chodziło nawet o te jego hipisowskie koszulki i sandały (oraz starego banana), ale raczej o to, że nie zauważał, jaki mamy do nich stosunek.

Brak samoświadomości – oto największy problem Lowa.



Często siadaliśmy i słuchaliśmy historii aniołów. Opowiadały nam o popełnionych błędach, o najgorszych sytuacjach ze swojego życia. I o najdziwniejszych. Na przykład o pracy na kutrze rybackim na Alasce, gdzie Luca miał za zadanie odcinać głowy płastugom wielkości kanapy. Albo jak zobaczył gałkę oczną, dyndającą kobiecie z oczodołu po wypadku, więc włożył ją do papierowego kubeczka i przykleił go jej taśmą do twarzy. A kiedyś znalazł się na tratwie w Norwegii i patrzył, jak ogromny kawał niebieskiego lodu lodowcowego spada do coraz cieplejszego morza, a na krze siedział facet grający na fortepianie.

– Lodowiec spływał jak woda – opowiadał – a pianista grał pieśń pogrzebową.

Mattie w jednej ze swoich prac dostał pocztą pół palca od faceta, który poszedł do więzienia. Innym razem szedł nocą boso po piaszczystej brazylijskiej plaży i nadepnął na odłamaną szyjkę butelki po piwie. Przebiła mu stopę na wylot.

– Widzicie? Tędy weszła, a tędy wyszła – powiedział i zdjął sandał, żeby pokazać nam blizny.

Polubiliśmy anioły. Nie sprowadziły nas na ten świat – niktogo nie sprowadziły – i to pozwoliło nam zadzierzgnąć z nimi jakąś więź. Pod tym względem byliśmy sobie równi.

---

Nabrałam zwyczaju samotnych spacerów po farmie, kiedy deszcz słabł. Znajdowałam sobie jakieś zaciszne miejsce i stałam tak, wsłuchana w postukiwanie kropli o liście i ziemię. Zamykałam oczy i sprawdzałam, co jeszcze jestem w stanie usłyszeć.

Ćwiczyłam zapominanie tego, co znajduje się poza granicami mojego ciała, i zwracanie uwagi wyłącznie na to, co dzieje się ze mną. Ćwiczyłam bycie mokrą, skostniałą,

głodną i zobojętniałą. Czasami zabierałam ze sobą Jacka oraz atlas roślin i zwierząt, który znaleźliśmy w szafce. Chowaliśmy go w plastikowym woreczku i czytaliśmy przez folię nazwy drzew i krzewów, uczyliśmy się ich historii. Dowiadaliśmy się, które rosły tu za czasów rdzennych Amerykanów, a które zostały przywiezione z dalekich stron. Klony z Norwegii, morwy z Azji, wiązy syberyjskie.

Drzewo z Chin, nazywane cesarskim.

---

W końcu porzuciliśmy zwyczaj trzymania warty. Zła pogoda odcięła nas od świata i otoczyła niskimi chmurami; z silosu nic nie było widać.

Poza tym baliśmy się piorunów, więc przestaliśmy wchodzić na górę.

To deszcz przegonił nas z wieżyczki, więc to tak jakby deszcz przywiódł ludzi z bronią.

---

Siedzieliśmy wokół stołu w kuchni, kiedy do domku wszedł mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy na oczy.

Wysunął spod płaszcza pistolet. Szybko wstaliśmy.

Śmierdział, ale nie potem, tylko czymś innym – może benzyną. („Olejem silnikowym i surowym mięsem”, stwierdził później Rafe). Miał krótko ostrzyżone siwe włosy i krzaczastą brodę, jaką nagle wyhodowali wszyscy mężczyźni. Ubrany był w brudne dżinsy i kamizelkę we wzór maskujący narzuconą na jaskrawą koszulkę z krótkim rękawem, pomarańczową jak słupek drogowy. Otaczała go mocna energia, przypominająca chorobliwe brzęczenie.

Beznamiętnie pokazał nam pistolet. Broń wyglądała na ciężką.

– Jak tu trafiłyście, dzieciaki? – zagadnął. – I jak to się stało, że wszystkie jesteście takie upasione i zadowolone?

Patrzyliśmy na niego osłupiali. Nie byliśmy upasieni.

I niezbyt szczęśliwi.

– Zdradzicie mi swój sekret?

Nie powiedział tego przyjemnym tonem.

Zamachał pistoletem, każąc nam ruszyć do drzwi. Następnie powiedział coś do walkie-talkie i zaprowadził Lucę do bramy, żeby otworzył zamki.

Czekały za nią trucki i dżipy.

Pobiegłam do stodoły po chłopców.

– Jack – wyszeptalam. – Są tu ludzie z bronią. Łap Shela, zabierzcie sprzęt biwakowy i uciekajcie. Do lasu. Zostańcie tam, dopóki po was nie wrócę.

– Evie, nie chcę cię zostawiać – zaprotestował Jack.

– Ale musisz, rozumiesz? Nie żartuję. Uciekajcie! Już! Już! Lećcie!

Kiedy chłopcy uciekli przez drzwi na słomę na tyłach stodoły, znów wyszłam na zewnątrz. Karawana pojazdów wjechała się przez bramę. Na tyłach trucków siedziało więcej mężczyzn. Wyglądali jak żołnierze, tylko niechlujni i bez mundurów.

– Armia wieśniaków – skomentował Rafe.

Niektórzy stali na progach dżipów i trzymali się listwy na dachu. W wolnych dłoniach ściskali strzelby i karabiny o grubych, długich lufach. Parkowali byle jak, jeden z pojazdów rozgniół ogrodzenie wokół warzywnika. Wyrwał metalową siatkę z ziemi i przetoczył się po naszych najlepszych krzaczkach z pomidorami.

Kiedy to zobaczyłam, fala gorąca zalała mi twarz.

Luca powiedział, że możemy ich poczęstować kanapkami, ale potem powinni sobie pojechać. Wyjaśnił, że jest z nami niemowlę. I młodzież. „Straumatyzowane dzieci”.

Staliśmy przed domkiem i czekaliśmy. Jeden z nieznanomych był mniej więcej w naszym wieku, rudy, z ostrym trądzikiem. Pilnował drzwi ze strzelbą w dłoniach, a za jego plecami rozlegało się trzaskanie drzwiczek, brzęki i łaskoty garnków.

Mężczyźni wyszli z ustami pełnymi jedzenia, a kiedy zabrałam do pustej kuchni, zobaczyłam wypatroszone szafki i szuflady. Cała zawartość leżała rozwalona na podłodze. Krajobraz po rozboju.

---

Nie minęło wiele czasu, aż znaleźli silos. Zebrali nas wszystkich razem i zagonili do stodoły. Tam przywódca wygłosił krótkie przemówienie.

– Wpuściecie nas do środka – oznajmił.

To, co zamknięte, ma wartość, a największą wartość miało jedzenie. A zatem. Za każde pięć minut zwłoki czekała nas kara.

Popatrzyliśmy po sobie, wiedząc, że to Burl ma klucz. Nie widziałam go.

– Ty – odezwał się przywódca do Mattiego, opiekuńczo otaczającego Sukey ramieniem. Dziecko popiskiwało, a Sukey podrzuciła je lekko, żeby nie rozpląkało się na dobre.

– Tak?

– Ruszaj się. Tam. Ręka na stół.

Wskazał na warsztat, z którego Mattie wyświetlał nam prezentacje. Drzwi do stodoły były otwarte. Zauważyłam długą nić pajęczyny, unoszącą się z boku stołu, zaczepioną o drzazgę. Migotała w świetle wpadającym z zewnątrz.

Pamiętam tę pajęczynę.

Mattie stanął więc przy stole. Położył na nim rękę.

Jeden z żołnierzy znalazł sznurek i przywiązał mu rękę do imadła, zamocowanego na skraju blatu. Przywódca sięgnął po żółto-czarne urządzenie. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Zszywacz pneumatyczny – wyszeptał Rafe.

Przywódca odwrócił się i włączył urządzenie. Wydało z siebie przenikliwy dźwięk, a Mattie aż się skurczył.

– Za pięć minut wpakuję mu zszywkę w rękę – oznajmił mężczyzna.

Anioły zerkwały jedno na drugie z niepokojem. Gdzie się podział Burl? Tu go nie było. Rozejrzałam się. Nie chciałam go wydać, a tym bardziej pozwolić, żeby żołnierze zabrali nasze jedzenie. A z drugiej strony miałam przed oczami zszywacz pneumatyczny.

– Zamek ma zabezpieczenie biometryczne – odezwał się ktoś.

Darla. Nie zdziwiło mnie, że pękła pierwsza.

– Co takiego?

– Otwiera się na odcisk palca.

– Czyj?

– Nie ma go tu – powiedział Luca.

– No, to pech – odparł przywódca, i zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, odwrócił się, a Mattie krzyknął. Krew płynęła mu po ręce, a z samego środka dłoni sterczał zszywacz.

Przestał krzyczeć. Wyglądał, jakby próbował się nie rozpłakać, mocno zaciskał wargi. Po chwili zaczął wypuszczać powietrze przez usta krótkimi, szybkimi seriami, powtarzając:

– Okej. Okej. Okej.

– Poszukam go – zaoferował Luca.

– Ja pomogę – odezwałam się, bo musiałam stamtąd wyjść.

Poza stodołą o wiele łatwiej się oddychało.

Pobiegliśmy, zamiast iść, wołając po drodze Burla. Znaleźliśmy go za domkiem. Grzebał przy generatorze i słuchał muzyki na pożyczonych od kogoś słuchawkach. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

Wyjaśniliśmy całą sytuację i wróciliśmy do stodoły.

– Burl! – krzyknął Mattie. – Nie dajcie im zabrać jedzenia! Przywódca wbił mu kolejną zszywkę w dłoń.

---

Wypchnęli Burla na zewnątrz, a Mattiego zostawili okaleczonego. Rudy miał go pilnować. Znalazłam się na końcu grupy. Rafe złapał mnie za rękaw, przyłożył palec do ust. Ociągaliśmy się, aż wszyscy mężczyźni znaleźli się na dworze.

Chłopak miał włosy krótsze z przodu i dłuższe na karku. Do tego klasyczny ukruszony przedni ząb. Skórzane robocze buty miał rozwiązane, rozchełstane wokół kostek. Języki wylaziły na zewnątrz, a sznurówki ciągnęły się po ziemi. Jego biały podkoszulek był usmarowany na wysokości brzucha czarnymi smugami, jakby wytarł w niego rękę.

Właśnie tę chwilę wybrał sobie na otwarcie długiej strzelby. Usiadł na beli zboża i oparł broń na chudym kolanie, żeby wepchnąć do środka nowy nabój.

– Łap ją – wyszeptła Jen i trąciła Rafe'a łokciem. – Nie może strzelać, kiedy ładuje!

– A co, jeśli zamknie na czas? – zaprotestował Rafe.

– Już! Już! – syknęła Jen i obie go popchnęłyśmy.

Podszedł niepewnie do chłopaka i złapał rozłożoną strzelbę. Przez chwilę się szarpali – Mattie przyglądał się im ze

swojego miejsca przy stole, krew rozlewała mu się wokół przywiązanej dłoni – aż w końcu Rafe zasunął rudemu z kolan w jaja. Chłopak stęknął i puścił broń.

Nabój potoczył się po ziemi.

– Jest! – Jen skoczyła na strzelbę, zanim rudy zdążył się wyprostować.

– Schowaj to – odezwał się Rafe. – Leć, schowaj to gdzieś.

Podeszłam do Mattiego przyjrzeć się zszywkom. Metal wgrzył się głęboko w ciało. Ledwo je widziałam, zdążyły już prawie zniknąć w fałdach spuchniętej, zakrwawionej skóry.

– Potrzebujemy Luki – odezwał się. Czoło miał mokre od potu, mówił z trudem. – Znajdziecie Lucę? Może on mi je wyjmie.

W oddali rozległy się stłumione odgłosy tłuczonego szkła. Wybiegliśmy na zewnątrz. Przed wejściem do silosu tłoczyli się ludzie, więc niewiele widziałam. W końcu żołnierze wysypali się ze środka, pokrzykując i potrząsając znaną bronią.

– Patrzcie na to! HK MP piątka!

– Ja mam rugera!

– A ja starego sześciostrzałowca!

– Te stare to gówno.

Na końcu wyszedł przywódca, prowadząc za sobą Burla z rękami związanymi w nadgarstkach. Unieruchomili go takimi plastikowymi opaskami zaciskowymi, jakich używali policjanci w serialach.

– Dajcie spokój – mówił Burl. – Moglibyście mi darować te trytytki. Co ja wam niby zrobię? Przecież nic na was nie mam, nie zauważyliście?

– Mam wierzyć, że nie zostało wam nic poza masłem orzechowym i brzoskwiniami? Sądzisz, że to kupię?

– I cały ten ryż! – odparł Burl. – Będzie nam brakować ryżu. Zostawcie nam chociaż jedną paczkę, co? Jeden worek.

Anioły zebrały się dookoła. Jen pociągnęła Lucę za rękaw, prosząc, żeby pomógł Mattiemu, a żołnierze rozsiedli się na maskach samochodów, żeby nabić nową broń. Niespiesznie otwierali opakowania ze zrabowanymi nabojami.

– Jeden worek! – skandowała Darla. – Jeden worek! Jeden worek!

Zaczęła klaskać, pobrzękując bransoletkami. Irytował mnie ten dźwięk.

– Ćśś – upomniał ją David.

– A to co? – odezwał się nagle przywódca. Wskazał na coś palcem.

Podążyliśmy wzrokiem za jego spojrzeniem. Na skraju łąki, w pobliżu lasu, kręciły się trzy kozy.

– Owce są niedobre w smaku – skrzywił się facet z kuszą.

– Jagnięcina jest świetna – odparł lider.

– To nie jagnięta, tylko dorosłe owce.

– A raczej kozy – wtrącił Terry.

– Kozy rzeczywiście smakują chujowo – ocenił przywódca.

– Ale białko to białko – zasugerował ten z kuszą.

Rozległ się strzał. Prawie wrzasnęłam. Jedna z kóz zachwiała się i upadła. Pozostałe dwie uciekły.

Rozglądałam się na wszystkie strony ze wstrzymanym oddechem, aż namierzyłam źródło strzału: rudy strzelec przez drzwi na strychu stodoły. Teraz ścisnął w dłoni mały pistolet. Podniósł obie ręce do góry i wydał z siebie triumfalny okrzyk. „Uuu-huuu!”

Jack tam był. Za kozami.

– Mógł trafić Jacka – syknęłam cicho do Burla. – Jack tam jest!

– Każ mu nie strzelać – zwrócił się nasz opiekun do przywódcy. – Chłopie, weź.



Rudy znów uniósł pistolet. Cała zeszytniałam. Popatrzyłam na postrzeloną kozę, biały kształt majaczący w trawie, i zobaczyłam to, czego najbardziej się obawiałam.

Spomiędzy drzew wybiegł Jack i opadł na kolana przy kozie.

– O, nie, nie, nie, nie. – Chyba powiedziałam to na głos. Gorączkowo patrzyłam to na niego, to na chłopaka z bronią, który go nie widział. Celebrował celny strzał. Wymachiwał bronią w powietrzu, tańczył w drzwiach.

– Czy on... – zaczął David

– Wygląda na konkretnego debila. Upośledzony – ocenił Śliski.

Na szczęście przywódca – pozostali zwracali się do niego „szefie” – ruszył w stronę swojego ubłoconego trucka, a kiedy chłopak znów podniósł broń, wrzasnął na niego. Rudy wyglądał na rozczarowanego, ale rozluźnił rękę.

Pobiegłam przez pole do Jacka.

Kłęczał i płakał nad kozą. Zwierzę oddychało słabo i krwawiło z rany między żebrami.

– Niunia, Niunia – szlochał. – Kozy miały na obrożach przypinki z imionami. – To jedyna La Mancha na farmie. Jest taka kochana. To najkochaniejsza koza na świecie.

Chciałam przy nim zostać, ale wiedziałam, że nie mogę.

Kiedy zwierzę przestało oddychać, zaprowadziłam go z powrotem do lasu, gdzie Shel czekał na niego, zgarbiony za kępą gęstych zarośli.

Nigdy nie podniosłam głosu na brata, ale tym razem było blisko.

---

Kiedy wróciłam do stodoły, Mattie był już wolny. Leżał pobladły na belach siana, a Luca owijał mu dłoń gazą.

– Fajną chatę tu macie – odezwał się przywódca do Burla, a potem jego ludzie przejęli domek.

Przy drzwiach kuchennych postawił strażników: dwóch najgrubszych żołnierzy. Obaj byli ubrani w koszule w kratę i nosili strzelby przewieszane przez ramię.

– Dlaczego sobie stąd nie jada? – spytałam Burla.

– Nie wierzą, że nie mamy nic więcej do jedzenia. Pewnie uznali, że nas przegłodzą. A kozy zjedzą.

– Trzeba było wcześniej zabrać broń z silosu – powiedziałam. – Wtedy oni by jej nie mieli.

Wiedziałam, że to niewłaściwe, jeszcze zanim te słowa wyrwały mi się z ust.

– Evie. Dajże spokój – odparł Burl jeszcze bardziej zmęczonym głosem niż zazwyczaj. Widziałam, że jest mną rozczarowany. Nie podobało mi się to uczucie. – Gdybyśmy dorwali się do broni wcześniej, już byśmy nie żyli.

---

Nie zauważyli warzyw w ogrodzie, więc zabrałam Jen i razem je wykopałyśmy. Kilka razy chodziłyśmy tam i z powrotem, nosząc marchew i jarmuż w podwiniętych koszulkach, aż schowałyśmy cały zapas w spróchniałym pniu drzewa.

Nagle zauważyłyśmy, że mężczyźni wyprowadzają Matiego ze stodoły. Chyba nadal był zakładnikiem. Albo kozłem ofiarnym. Dwaj grubi strażnicy przywiązali go do delikatnego drzewka rosnącego obok domu. Kiedy mocniej zaciskali węzły, on tylko patrzył na młode gałązki.

Żołnierze zawlekli ciało Niuni na środek podwórka. Nachylił się nad nią, eksponując rowy nad zsuwającymi się spodniami, i rozciął kozie brzuch. Gruby wyciągnął z niej coś, co przypominało długą szarą kielbasę. Może to były jelita.

Jen zwymiotowała.

– Ha, ha, ha, ha – odezwał się rudy.

Miałam ochotę dźgnąć go nożem.

---

Leżeliśmy jedno obok drugiego w śpiworach na stryszku w stodole i szeptaliśmy między sobą. Niektórzy próbowali opracować plan rebelii. Wkrótce jednak szepty ustały. Dopóki żołnierze mieli broń, w dodatku naładowaną, żadne powstanie nie miało szans na powodzenie.

Wyślizgnęłam się ze śpiwora i zesłam po drabinie. Nie mogłam znaleźć butów, ale nie wybierałam się daleko, więc wyszłam ze stodoly boso i przeszłam przez trawę do namiotów, w których spali Burl i anioły.

Właśnie podnosiłam rękę, żeby odchylić płachtę przy wejściu do namiotu naszego dozorczy, kiedy usłyszałam jego cichy głos.

– Jutro zabiją resztę kóz.

– A potem? – odpowiedział ktoś. Chyba Luca.

– Ty – rozległ się głos za moimi plecami.

Kawałek metalu dźgnął mnie w plecy. Chciałam się odwrócić, ale metal wbił się głębiej w ciało.

Wiedziałam, kto to taki: rudy.

– Chodź, bo strzelę ci w stopę.

„Konkretny debil”, powiedział o nim Śliski. Nie wiedziałam, czy to prawda, ale i tak się go bałam: wyglądał na kogoś, kto nie potrafi przewidzieć własnych zachowań.

Odsunęłam się więc od namiotu Burla, zastanawiając się, czy powinnam zacząć krzyczeć. Lufa drapała mnie w kręgosłup.

– Widziałem, jak łazisz między drzewa. Coś tam ukrywasz.

– Chodzę tam na siku, nic poza tym. – Nie było to zupełnie kłamstwo, bo rzeczywiście sikałam w lesie, jak wszyscy.

Mieliśmy taką zasadę: z toalety w domku można było korzystać, tylko kiedy się szło na dwójkę.

– Chowacie tam jedzenie. Macie zapas. Pokaż.

– Teraz? Po ciemku? Tam nic nie ma – zaprotestowałam. Nie chciałam, żeby znalazł Jacka.

– Ktoś tam jest? – zawołał Burl z namiotu.

– Nie odzywaj się – nakazał rudy. – Do przodu. Ruchy!

– A mogę chociaż wziąć buty?

– Ruchy, mówię!

Szłam przez pole na bosaka, a chłopak bez przerwy dźgał mnie w plecy lufą. Wzrok przyzwyczaiał mi się do ciemności i zobaczyłam drzewa majaczące przed nami. Rozlewały się na tle nieba wielką ciemną masą.

Nie wiedziałam, dokąd go zaprowadzić. Jack i Shel nadal się tam ukrywali, a ja wylądowałam w ciemności z tym małpisonem z brzytwą, przekonanym, że pokażę mu garnek złota na końcu tęczy.

Ale Mattie był w o wiele gorszym położeniu ode mnie i nie narzekał.

– Tam nic nie ma, tylko drzewa i krzaki – powiedziałam, stawiając ostrożnie kroki. – Nic ciekawego.

Chłopak włączył latarkę. Oślepiające białe promienie omiotły las po naszej lewej i prawej, a kiedy odsunął mi pistolet od pleców, światło padło również na leśne poszycie przed nami. Rudy wyprzedził mnie na ścieżce prowadzącej między pniami drzew.

– Jak spróbujesz uciekać, to cię zastrzelę.

– Już wspominałeś.

Nadepnęłam bosą stopą na ostrą gałąź i wciągnęłam gwałtownie powietrze. Chłopak się przestraszył i odwrócił w moją stronę. Podniosłam rękę do góry, jakby to miało w czymś pomóc.

– Skaleczyłam się – powiedziałam. Noga pulsowała mi z bólu, zaczęłam kuleć.

Wędrowaliśmy między drzewami, a ja wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w światło jego latarki. Gapiłam się na liście i gałęzie, które oświetlała po drodze, przez cały czas próbując opracować jakąś strategię na ominięcie naszych chłopców. Dokąd my w ogóle szliśmy? Nie miałam pojęcia. Po głowie rozlała mi się pustka. Może będziemy tak iść całą wieczność. A może przejdziemy przez cały las i wpadniemy w nicłość, czekającą na nas po przeciwnej stronie.

Może nawet już mnie to nie obchodziło.

Patyki przed nami układały się w pewien wzór. Zauważyłam to, podczas gdy on pogwizdywał jakąś irytującą melodyjkę. Te kształty przypominały mi placki jedzone na Święto Dziękczynienia, każdy z własnym misternym zdobieniem z ciasta na wierzchu. Z czym one były? Z jabłkami? Borówkami?

Zjadłabym teraz taki placek, pomyślałam.

Rudy się potknął, światło podskoczyło. Upadł.

Liście i gałęzie zatrzeszczały i zachrzęściły. Usłyszałam pisk. Biały promień latarki świecił spod ziemi.

Okazało się, że chłopak nadepnął na siatkę i wpadł do dziury tak głębokiej, że nie mógł dosięgnąć krawędzi.

Zajrzałam do środka. On leżał na dnie, skowyczał i wrzeszczał.

– Moja noga! Złamałem nogę! Pomóż mi!

Nadal jednak miał przy sobie pistolet, więc uciekłam.

---

Kiedy wróciłam, Burl stwierdził, że to pewnie była dziura wykopana przez myśliwych. Lasy nie należały do właścicielki

farmy. Różni ludzie polowali w nich i zastawiali pułapki na zwierzęta.

Każde z nas mogło tam sobie złamać nogę, chciałam jęknąć. A nawet skrócić kark. Byłam jednak wdzięczna za dziurę w ziemi. A potem poszłam spać.

Po jakimś czasie do stodoły wpadli żołnierze i wyrwali nas ze snu. Rozejrzeliśmy się nieprzytomnym wzrokiem i dopiero po chwili zorientowaliśmy, że są wściekli. Mrugaliśmy i przecieraliśmy oczy, a oni w tym czasie walili kolbami strzelb o słupki i wiszące żarówki.

Było już rano.

– Kozy! Kto zajebał kozy?! – wrzasnął jeden z mężczyzn.

Okazało się, że przez noc kozy uciekły.

– Zajebiście – powiedział przywódca. – Gówniarze pierdolone. Zapłacicie za to.

Odwrócili się na pięcie i znów wyszli na dwór. Zdezorientowani ruszyliśmy za nimi, powciskaliśmy stopy w buty i wyleźliśmy ze swoich boksów i ze stryszku.

Mattie znów stał pod drzewem, tym razem z rękami podwiązanymi do gałęzi. Kilku żołnierzy celowało w niego z pistoletów.

– A jak myślicie, czemu uciekły?! – krzyknął Burl. – Przeraziły się strzałów! Sami je przegoniliście!

– Chodźcie tutaj – nakazali grubi strażnicy i tak długo dźgali anioły strzelbami, aż cała trójka znalazła się wewnątrz okręgu z drutu żyletkowego, którym otoczyli Mattiego i jego drzewo.

Tylko Burl pozostał poza kręgiem. Burl i my.

I żołnierze.

– Jazda, szukać – rzucił herszt w naszą stronę. – Za każde pięć minut, podczas których nie zobaczę tu żadnej kozy, zrobię tak. – Wsadził w kłęb drutu coś, co przypominało wielki i długi czerwony widelec.

Dotknął nim Darli, a ona podskoczyła z krzykiem.

– Poganiacz do bydła – wymamrotał Terry.

Przywódca dźgał raz za razem, aż kobieta upadła na ziemię i zaczęła się wić. W końcu zahaczyła o żyłki drutu i krew pociekła jej po czole.

– Macie je znaleźć – powtórzył.

– Rany głowy mocno krwawią – powiedział Burl – ale nic jej nie będzie. Dobra, róbcie, co każą.

---

Jack i Shel przeprowadzili kozy przez najpłytszą część strumienia. Przez zapadniętą dziurę pułapkę, w której rudy spał ze strzelbą w ramionach. Przez gęstwinę drzew i po wysypanej żwirem drodze, obok rozwalonego garażu i zardzewiałej szczęki pługu. Koło łuszczącego się billboardu, reklamującego telewizję satelitarną. Na pastwisko koło domu sąsiada – jednego z tych, które dało się dostrzec z platformy na szczycie silosu.

Tu i tam stało kilka czarno-białych krów, a kozy skubały kępę wysokich traw w oddali.

– Jeśli przyprowadzimy je z powrotem, to je zastrzelą – zaprotestował Jack. – Tak jak on zastrzelił Niunię. Tak jak Niunię.

– Ale jeśli tego nie zrobimy, to jeszcze bardziej skrzywdzą anioły – odparł Rafe.

– Albo kogoś z nas – dodałam.

– To niesprawiedliwe. Dlaczego one mają umierać? – Mój brat zaczął płakać.

– Jack, popatrz na mnie – powiedziałam. – Musimy je tam zabrać. To poważna sprawa.

– Ale to nie ich wina – chlipał Jack. – Nie powinniśmy poświęcać zwierząt. Mamy je ratować. Wolałbym poświęcić samego siebie.

– Tylko że żołnierze cię nie chcą – ucięłam. – Widzisz, nie jedzą małych chłopców.

– Nas nie jedzą – wymamrotał Jack.

W końcu obaj poszli na skraj pastwiska. My czekaliśmy przy domu. Na ganku stało kilka deskorolek, a obok nich leżały skotłowane hulajnogi i ubłocone buty. Zapukałam do drzwi, ale w środku nikogo nie było.

Przez okna dało się dostrzec salon. Do środka sączyło się światło dnia. Pomieszczenie było pełne zabawek, poustawianych w rzędach na dywanie jak w przedszkolu. Przed nimi siedział na fotelu wielki pluszowy lew, taki jak te, które można czasem wygrać w wesołym miasteczku. Na kolanach trzymał otwartą książkę z obrazkami.

Już prawie się spodziewałam, że za chwilę przewróci stronę.

Nagle usłyszałam meczenie kóz i zobaczyłam, że drepczą w naszą stronę. Jack i Shel maszerowali ciężko przed nimi.

Wróciliśmy tą samą drogą.

Jack i Shel pociągali żałośnie nosami, co jakiś czas głaszcząc kozy po grzbietach i głowach. Reszta grupy była rozkojarzona i niespokojna. Myślałam o drucie kolczastym i o dłoni Mattiego, ciemnej i poprzecinanej czarnymi żyłami.

Mimo to jednak ja też gryzłam się myślą o wyroku śmierci na zwierzęta. Zerkalam z ukosa na ich pyski, kiedy znów prowadziliśmy je między drzewa, na ich senne oczy o długich rzęsach. Na wilgotne nosy i tępe różki, na łagodnie zakrzywione grzbiety.

Kiedy Jack gładził je po futrze, nie wydawały się ani trochę różne od psów, które towarzyszyły nam w wielkim domu.

Merdały zadowolone kusymi ogonkami.



Żołnierze tręcali anioły poganiaczem do bydła i patrzyli, jak się miotają i kaleczą bezwładne ręce i nogi o drut kolczasty.

Kiedy jednak przyprowadziliśmy kozę na pole – uprzednio zostawiwszy Jacka i Shela w lesie – tortury zdążyły już ustać. Burl wyjaśnił, że Sukey wyszła na podwórko z dzieckiem. Podrzuciła malutką w ramionach i patrzyła na żołnierzy, aż w końcu odpuścili. Niemowlę chyba popsuło im zabawę.

Teraz dwóch sikało pod ścianą domku, a inny grał w coś na telefonie. Kiedy zauważyli kozy, upewnili się, że broń jest naładowana, i odeszli.

Udręczone anioły leżały na ziemi, otoczone kłębami drutu. Kostki i przedramiona miały pocięte do krwi. Nad nimi stał Mattie, oparty o cienki dereniowy pień. Kolana miał ugięte i zwisał ciężko na związanych nadgarstkach, jakby zasnął.

Przytrzymaliśmy drut nisko przy ziemi, żeby Low i Rafe mogli nad nim przejść. Najpierw dźwignęli Lucę i przenieśli go razem nad kępami trawy do stodoły. Położyliśmy go na sianie i wróciliśmy po Johna i Darłę.

Spytałam Burla, czy możemy rozwiązać Mattiego i jego też zabrać, ale on pokręcił głową.

Nie powinniśmy sobie na tak wiele pozwalać, powiedział. Nie wiadomo, czy to nie przechylili szali.

Kierownik stanął za nami w drzwiach stryższku i rozejrzał się po okolicy – pan wszystkiego, na co pada jego wzrok. Zatknął jedną dłoń między guziki koszuli niczym Napoleon pozujący do obrazu.

---

Darla odniosła najpoważniejsze obrażenia. Plamy krwi na jej hipisowskiej tunice zmieniły kolor rękawów z żółtego na czerwony. Luca, nie podnosząc się ze swojego

słomianego posłania, wyszeptał ledwie słyszalnym głosem, że dwa z jej skaleczeń wymagają szycia: jedno z nich było głębokie i nadal krwawiło. Śliski zgłosił się na ochotnika – ostatnio wkręcił się w makabrę – ale Burl mu podziękował i powiedział, że sam się tym zajmie.

Luca poinstruował go, jak zaszyć rany Darli, a my siedzieliśmy przy nich. Najpierw była nieprzytomna, ale potem się obudziła i zaczęła jęczeć. Luca podszedł do nas na drżących nogach i dał jej zastrzyk przeciwbólowy z preparatu znalezionej w apteczce, a Burl przemył największe skaleczenie wacikiem nasączonym w jodynie.

Po chwili Darla zaczęła chichotać i bełkotliwie powtarzać różne słowa.

– Drut kolczasty, graniasty, iglasty! Czterokanciasty! Liściasty!

Pozwoliła jednak wbić Burlowi igłę w skórę.

I właśnie wtedy, gdy patrzyliśmy na igłę wbijaną i wyciąganą przez płaty skóry – Low przyglądał się temu z fascynacją, a Jen rzygała w kącie – usłyszeliśmy strzały.

Wetknęłam palce do uszu. Wiedziałam, że wyglądam dziecinnie, ale przed oczami stanęły mi merdające ogonki i senne oczy. Nie mogłam się powstrzymać.

– Dlaczego zabijają wszystkie naraz? – chciał wiedzieć Śliski. – Przecież mięso się popsuje, jeśli nie zjedzą go od razu.

– Mają dużą zamrażarkę – wyjaśnił Burl. – Taką, do której można wejść jak do pokoju. Nie słyszałeś? Mieszkają w McDonalddie.

---

Żołnierze przechwalali się blatami ze stali nierdzewnej i krannami, z których leci woda tak gorąca, że można się nią poparzyć. Ciężkimi workami frytek w zamrażarce. Zamierzali

tam pokroić zwłoki zwierząt – wygodnie i czysto, w swojej przemysłowej kuchni.

Złapali kozy za nogi i przenieśli je przez podwórko, a następnie rzucili na paki dwóch samochodów. Kopyta i rogi brzęknęły o metal.

Jack schował się głęboko w lesie, stał odwrócony plecami. Na pewno, prawda? – zwróciłam się do Jen. Na pewno tego nie widział.

Shel też nie, odparła. Popatrzyłyśmy sobie prosto w oczy. Tak jakby wystarczyło się dostatecznie skupić, by to stało się prawdą.

Kierownik wciąż jednak nie wierzył, że oddaliśmy im całe jedzenie. Gdy zabójcy kóz odjechali, on zatrzymał sobie do pomocy sześciu ludzi – w tym dwóch grubych strażników i faceta z kuszą. Mattiego zostawił przywiązanego do drzewa. Zabral żołnierzy do silosu i kazał im załadować zapasy do dżipów.

My zostaliśmy w stodole. Trzy zabandażowane anioły leżały, a my siedzieliśmy na belach siana.

– Nie traktujesz mnie poważnie – zwrócił się kierownik do Burla. Kiedy pakowanie zapasów dobiegło końca, stanął w drzwiach stodoły. – Myślisz, że żartuję.

– Wcale tak nie myślę – odparł Burl.

– Wiemy, że nie żartujesz – zawtórowała mu Darla. Wciąż miała odlot po środkach przeciwbólowych podanych przez Lucę. Leżała na plecach, nawijała przetłuszczone dredy na palec, ręce miała owinięte białymi bandażami. Brzęczące bransoletki przepięła sobie z rąk na kostki. Do tego czasu dobrze je już znałam: przywieszki w kształcie rybek i pacyfek, półksiężyców, gwiazd, spiralek, symboli yin i yang. – Ale masz bardzo ciemną aurę.

– Cicho, Darla – syknął Rafe.

– Zastrzelę tego typu – oznajmił przywódca. – Nauczyciela.

– On jest biologiem – poprawiła go Sukey.  
Trzymała dziecko na kolanach. Było owinięte w kocyk i wyglądało jak gigantyczny kokon.

– Jak na moje to może być nawet Tarzanem królem małp. Jeśli do zachodu słońca nie usłyszę, gdzie schowaliście resztę żarcia, to go postrzelę w brzuch. Powolna i bolesna śmierć. Macie czas do zachodu. Nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

– Przecież macie te wielkie torby mrożonych frytek – odezwał się Śliski. – Sami tak mówiliście.

– A poza tym nie możemy wam oddać czegoś, czego nie mamy – dodał Burl.

Pomyślałam, że mają jaja, że się tak do niego zwracają.

– Chuj wam do tego, co ja mam. Czekam do zachodu. W drodze do wyjścia kopnął osła w nogę.

Zwierzę się spłoszyło, potem strzepnęło ogonem.

Śliski zebrał w ustach ślinę, ale odwrócił się od nas, żeby splunąć. Trochę dorósł.

– Stuprocentowy kutas – zawyrokował.

---

Po przybyciu żołnierzy deszcz zelżał, ale teraz znów przybrał na sile. Poszliśmy do Mattiego i rozpieliśmy nad nim materiał jego namiotu, ale i tak był już cały przemoczony. Mimo to uśmiechnął się słabo, kiedy Val i ja otuliłyśmy mu ciężkie od deszczu ramiona suchym śpiworem.

– Ten chłopak, który wpadł do dziury, naskarzy na mnie, kiedy go znajdą – powiedziała Burlowi, gdy wróciliśmy do stodoły. – Myślisz, że będą chcieli mnie ukarać?

Nasz opiekun wyciągnął świeżą paczkę waty i zabrał się do odlepiania bandaży Darli od pokaleczonych rąk. Rafe i Jen usiedli u wezgłowia i oparli dłonie na jej ramionach, żeby się nie szarpała.

– Wątpię, żeby ten dzieciak ich interesował – stwierdził, odwijając przemoczone pasmo.

– To przygłup – zgodził się Terry.

– Podejrzewam, że po prostu się do nich przypałętał.

– Och, och, och, och – jęknęła Darla.

– Leki przestały działać – stwierdził Rafe.

– Boli.

Luca wstał ze swojego pośłania na sianie. Zachwiał się.

– Ja to zrobię – powiedział i wziął wacik od Burla.

Nagle, w tym samym momencie, w różnych częściach stodoły rozległo się ćwierkanie świerszczy.

Nie powinno tu być żadnych świerszczy.

– Telefony – odezwał się Śliski. – To nasze telefony.

Rzeczywiście. Niektóre były jeszcze naładowane, a ten odgłos był domyślnie wybrany w ustawieniach. Wszystkie komórki dzwoniły jednocześnie.

## 8

**M**ojego telefonu nie było wśród dzwoniących, bo już dawno porzuciłam go w kuchennej szufladzie. Nie byłam więc jedną z tych, którzy odebrali. I nie byłam jedną z tych, którzy ich tu ściągnęli.

Nie mówię tego, żeby zapewniać o swojej niewinności – po prostu tak to wyglądało.

Jest takie znane powiedzenie, że tonący brzytwy się chwyta.

I rzeczywiście, koniec końców wychodziło na to, że lepsza brzytwa niż nic.

---

Na godzinę przed zachodem słońca staliśmy w deszczu na szczycie silosu i patrzyliśmy, dygocząc, jak Mattie zwisa bezwładnie na nadgarstkach za każdym razem, kiedy traci przytomność. Widziałam go spomiędzy nagich gałęzi dereń: większość liści została zerwana.

Żołnierze lubili chłastać drzewo strzelbami, tuż nad głową Mattiego.

Kiedy ból stawał się nie do zniesienia, Mattie odzyskiwał przytomność, ale wkrótce znów mdlał i opadał. Bez przerwy

sobie wyobrażałam, jak to będzie, kiedy go w końcu rozwiążemy. Jak ramiona opadną mu wzdłuż ciała i jaka to będzie dla niego cudowna ulga. Potem zaniemiemy go w bezpieczne miejsce. Umyjemy, opatrzymy ręce i przebierzemy go w czyste ubranie.

Położymy go na miękkim pościeliu.

Zerknęłam na Burla, który stał pode mną blisko szczytu spiralnych schodów. Przyjrzałam się jego wąskim ramionom i poranej bruzdami twarzy. Wyglądał jak ktoś bardzo zmęczony.

Otworzył zamek biometryczny i zabrał nas do silosu, a następnie weszliśmy wszyscy na górę. Przywódca i jego żołnierze nie próbowali nas zatrzymać – wypatroszyli już silos ze wszystkich dóbr. Kiedy biegliśmy do niego w strugach deszczu, usłyszeliśmy ich śmiech i muzykę dobiegającą z domku. We wszystkich oknach paliło się światło, rzucające złotą poświatę na drzewo Mattiego.

Cali spięci czekaliśmy na platformie obserwacyjnej. Zebraliśmy się tam wszyscy poza Sukey, która została na dole z dzieckiem, i aniołami, nadal liżącymi rany w stodole. Staliśmy upchnięci tak blisko siebie, że obawiałam się, czy ktoś zaraz nie wypadnie.

Przez bramę przejeżdżały kolejno samochody, chrzęszcząc oponami na wysypanej żwirem ścieżce. Trzy, trzy znajome auta.

Jedno z nich należało do moich rodziców.

Na podłodze zawsze wały się śmieci. Puste paczki po chipsach, zgniecione puszki po energetykach, okruchy popcornu z serem. Kiedyś wkurzałam się za każdym razem, kiedy zdarzyło mi się na nie nadebrać. Teraz na wspomnienie tego bałaganu ogarnęła mnie niemal czułość. Oto resztki niewyczerpanych zapasów jedzenia.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby tam posprzątać. Po prostu czekałam, aż rodzice się tym zajmą.

Dawniej pozwalaliśmy im robić wszystko za siebie – uważaliśmy, że taka jest kolej rzeczy. Aż w końcu przyszedł dzień, kiedy zmieniliśmy zdanie.

A jeszcze później odkryliśmy, że wcale nie robili dla nas wszystkiego. Zaniedbali to najważniejsze.

Znane jako: przyszłość.

– Co im powiedziałaś? – spytałam Davida.

– Że żołnierze mają strzelby.

– Może przywieźli coś, o czym nie wiemy – wtrącił Śliski z nadzieją. – Jakąś sekretną broń.

Zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę. Kiedy zobaczyliśmy, jak rodzice wysiadają z samochodów i zatrząskują za sobą drzwi, poczułam się tak, jakbym pływała. Albo unosila się w powietrzu.

Patrzyłam na całą sytuację z góry – i chciałam zostać w tym miejscu na zawsze. Na szczycie silosu. Albo po prostu odlecieć. Mogłabym szybować nad farmą i polami, spoglądać na wydarzenia z nieba, ale nigdy nie musieć na nie reagować.

Mogłabym zostać w niebie na zawsze, gdybym tylko miała przy sobie Jacka.

– Kogo my próbujemy oszukać – westchnął Rafe.

---

Na farmę przyjechało ośmioro rodziców, w tym moi. Świeżo odchudzeni. Chaos ich wyszczuplił lepiej niż trener osobisty hollywoodzkiej gwiazdy.

Jeśli jednak mieli przy sobie jakąś sekretną broń, to dobrze ją schowali.

Najpierw podeszli do drzewa Mattiego i stanęli przy nim w mżącym deszczu.

Nic o nim nie wiedzą, pomyślałam. Nie mają pojęcia, jaki jest dobry.



Żałowałam, że nie mogę zobaczyć ich twarzy. Zapadał już zmrok.

Przywódca powiedział, że daje nam czas do zachodu słońca. Niepokoił się.

Pomyśleliśmy, że powinniśmy zejść na dół, a potem, że być może nasza obecność odwróci ich uwagę. Już schodziłam po schodach, kiedy z dołu rozległ się głos Burla.

– Siedzicie tutaj – nakazał. – Z wami będzie tam więcej kłopotu. Wyjaśnię im, jak wygląda sytuacja.

– Powinien się pospieszyć – stwierdziłam. – Zanim zaskoczą ich żołnierze, albo na odwrót.

– No to idź – rzucił Śliski. Nie miał oporów przed pyskowaniem.

– Niedługo zajdzie słońce – dodał Rafe przepraszającym tonem.

– Wychodzę – odparł Burl.

– Chcę iść z tobą! – zawołała Val.

– A twoi rodzice tam są?

– Nie ma. Nie ma ich.

Wyszli razem z silosu, a my zostaliśmy na górze.

Zobaczyliśmy, jak Burl rozmawia z rodzicami pod drzewem. Jedno odeszło – czyjś ojciec, nie mój. Mój klęczał przed matką. Chyba wiązał jej sznurówki.

Czasami dokuczaly jej bóle pleców, więc on schylał się za nią. Pewnie teraz ją rozboleło.

Mój ojciec nie był tak do końca zły.

Inny potruchtał do auta i wrócił z jakąś skrzynką. Wyjął coś ze środka i przeciął drut żyłkowy. Ostre kłęby rozpadły się na boki, a następnie rodzice uwolnili Mattiego.

Śliski spróbował przybić Rafe'owi piątkę, ale ten nie zniżyłby się do czegoś takiego. Burl zaprowadził dwóch ojców w stronę stodoły – nieśli Mattiego, głowa latała mu na boki, ręce zwisały bezwładnie w dół.

Głośna muzyka w domku nagle umilkła. Piskliwy głos w stylu country urwał się w połowie długiej nuty.

Wyrzeliśmy jak najdalej, wyciągając szyje, stłoczeni jedno tuż obok drugiego przy poręczy. Przywódca wyszedł na podwórko, a za nim dwóch grubych strażników. Ściągnęli broń z ramion. Dorośli zaczęli rozmawiać, kilka osób podniosło głos, ale nie mogliśmy rozróżnić słów.

Ktoś kogoś popchnął. Nie byliśmy pewni, kto kogo. Zbyt wielu ludzi stało blisko siebie. Wystrzelił pistolet. Dwa krzyki. Popatrzyliśmy po sobie.

Wyglądało jednak na to, że strzał poszedł w powietrze, bo nikt się nie zachwiał. Rodzice się cofnęli.

Żołnierze przycisnęli im lufy strzelb do pleców. Matki plotły coś panicznie, piskliwymi głosami. Ostatni napastnicy wyszli z domku. Gestykulowali bronią – nawet ten z kuszą – i wskazywali na stodołę. Cała grupa ruszyła w tamtą stronę.

– Może jednak powinniśmy zejść? – zasugerowała Jen.

– Inaczej będziemy miękkimi fajami – zawtórował Śliski.

– Ale Burl nam zabronił – zaprotestował Low.

– Szacunek do Burla – poparł go Rafe. – Pamiętacie? To jedna z zasad.

– Macie się nigdzie nie ruszać! – zawołała z dołu Sukey.

– Patrzcie, kogo znalazłam! – rozległ się inny głos. Też z dołu.

Weszłam do środka i wyjrzałam. Val stała przy drzwiach do silosu. Gestem wzywała kogoś do środka.

Potrzebowałam chwili, żeby rozpoznać Dee. Czyżby zeszczupłała, tak jak rodzice? Czy w domu zabrakło jedzenia? A może tylko jej twarz wyglądała staro?

– Patrzcie państwo – odezwał się Low.

– Chowala się w samochodzie – wyjaśniła Val.

– Ktoś musiał im pokazać, jak się tu dostać – powiedziała słabo Dee. – No i to wy się z nimi skontaktowaliście. To wy powiedzieliście, że potrzebujecie ich pomocy.

– Tylko dlatego, że oni zadzwonili do nas. – Low odbił piłeczkę.

– Wy zadzwoniliście pierwsi.

– Wcale nie.

– Ktoś zadzwonił i w ten sposób się dowiedzieli, gdzie jesteście. I dlatego do was oddzwonili. Wszyscy naraz.

– Gówno prawda – prychnął Rafe. – Nikt z nas się do nich nie odzywał.

Pokręciliśmy głowami.

– Nie dzwoniliśmy – potwierdziła Jen.

– W życiu – przytaknął Low.

– To ja zadzwoniłam.

Spojrzeliśmy w dół. Sukey podrzucała dziecko w ramionach. Nawet nie podniosła głowy. Nie spojrzała nam w oczy.

Zamilkliśmy.

Ledwo mogłam w to uwierzyć.

Przyznała się. Sama to powiedziała.

– No widzicie – powiedziała Dee. – Miałam rację. Wygrałam.

– Gówno wygrałaś – prychnęła Jen.

Dało się jednak zauważyć, że uszło z niej powietrze. Była z Sukey bliżej niż ktokolwiek z nas.

– Zajebicie – stwierdził Rafe po dłuższej chwili. – Kompletnie bez sensu. A teraz ci psychole mają ośmioro nowych zakładników.

– To co robimy? – spytał Śliski.

Popatrzył na Rafe'a, a Rafe na mnie.

Pomyślałam o Jacku i Shelu, wciąż schowanych w lesie. Nadal miałam ochotę uciec i się do nich przyłączyć. Zostać starszych, żeby sami sobie poradzili.

Ale nie mogłam tego zrobić.  
Więc porozmawialiśmy. A potem przeprowadziliśmy głosowanie.

---

W skład delegacji wchodziłam ja, Rafe i Terry. Sukey i Dee też się przyłączyły – Dee się uparła, a Sukey była z dzieckiem. David został w silosie.

Reszta zsunęła się po linie Val i wymknęła się po ciemku do lasu. Nasza grupa przeszła do stodoły, której drzwi pilnował żołnierz z kuszą.

W środku panował półmrok, z belek pod sufitem zwisało tylko kilka lamp kempingowych. Rodzice siedzieli w zamkniętym na kłódkę boksie. Nie wiedziałam, po co tam w ogóle jest ta kłódka, skoro boczna ściana boksu miała tylko połowę wysokości. Mogliby przez nią przejść, ale okej.

W innym boksie znajdował się Burl i anioły, pochylone nad Mattiem.

Żołnierze chyba o nim zapomnieli. A może się zlitowali. Wątpliwe.

– Eve! – krzyknęła moja matka.

– Eve! – zawtórował jej ojciec.

Dostrzegłam w nich coś obcego, coś jeszcze oprócz wymizerowanych sylwetek i pociągłych twarzy. Uświadomiłam to sobie z zaskoczeniem: byli absolutnie trzeźwi.

– Oo, rodzinne spotkanie – zakpił koleś z kuszą.

– Boże drogi – westchnęła matka. – Nic ci nie jest.

A Jack? Co z Jackiem?

– Jest bezpieczny. Przynajmniej na razie.

– Eve. Tak się martwiliśmy.

– Mówiliśmy wam, że oni mają broń – wyszczałam. –

A wy co? Przyjechaliście tu z niczym?

– Córeczko, mamy po swojej stronie literę prawa – oznajmił ojciec, stając prościej. Spojrzał na mnie wzrokiem, który miał być chyba płomienny. – Chroni nas prawo!

Może jednak był pijany.

– Zagroziliśmy im postępowaniem sądowym – dodał ojciec obok.

Musiał być rodzicem Rafe'a, bo ten tylko ukrył twarz w dłoniach i pokręcił głową.

– Zaciągniemy ich do sądu i puścimy z torbami – wymamrotał jeszcze inny ojciec. – Kiedy sytuacja się unormuje.

– Dziecko! Dziecko! – zagruchała jedna z matek i wszystkie stłoczyły się przy drzwiach, próbując dotknąć małego. Sukey podniosła dziecko wyżej i pozwoliła im się do niego zbliżyć.

Odwróciliśmy się od spektaklu głaskania niemowlaka.

---

Terry był naszym rzecznikiem jak zawsze, choć bez okularów wyglądał nieco mniej uczenie. Taki przysadzisty klocek.

– Przepraszam bardzo. Którędy do szefa? – zwrócił się do strażnika z kuszą.

Facet wskazał kierunek bronią.

Pozostali żołnierze rozgościli się na strychu. Siedzieli na belach siana i naszych pośłaniach, zebranych w jedną stertę. Palili. Zapach zioła zakręcił nas w nozdrzach.

Nie podobało mi się, że wycierają brudne dupska o mój śpiwór. Ani trochę mi się to nie podobało.

– Proszę pana – odezwał się Terry. – Czy moglibyśmy prosić o uwagę?

– Pewnie, młody – odparł przywódca i przyjął jointa od jednego z grubasów. – Nie mam akurat nic lepszego do roboty.

Przynajmniej odpuścili sobie ten termin z zachodem słońca. Rodzice odwrócili ich uwagę. Chociaż tyle.

– Na osobności – poprosił Terry.

– To włączcie na górę. – Przywódca zaciągnął się głęboko. Przytrzymał.

Posłusznie weszliśmy po drabinie, najpierw Terry, potem Rafe i ja.

– Powiesz nam, gdzie trzymacie resztę zapasów? Czy mamy zabrać się do torturowania waszych starych?

Gruby za jego plecami zamachał niewielkim czarnym urządzeniem, nieco przypominającym trymer, którym golił się mój ojciec.

– Paralizator – pochwalił się. – Pięćdziesiąt tysięcy woltów i łuk elektryczny. Pakuje w ciało tysiąc dwieście.

– Nie mamy więcej zapasów – odparł Terry. – Niestety.

– Wiesz co, młody – zamyślił się facet. – Chyba zaczynam wam wierzyć.

– Proszę posłuchać – zaczął Terry i uprzejmie przyklęknął przed żołnierzami. Improwizował, nie kazaliśmy mu tego robić. – Nasi rodzice to pajace. Debile. Wiemy o tym. Jak pan myśli, dlaczego od nich uciekliśmy? Żyją w świecie fantazji. Ale tak się składa, że mają coś prawdziwego do zaoferowania.

– Równie dobrego jak jedzenie? – spytał przywódca.

– Może nawet lepszego.

– Dawaj.

– Widział pan ich samochody, prawda? Mercedesa, volvo SUV, teslę model S?

– No. Do dupy na takie drogi, ale pójdą za dobrą kasę. Oczywiście je zabieramy.

– Oczywiście – przytaknął Terry. – Nie spodziewaliśmy się niczego innego.

Grubasy zarechotały, szef się uśmiechnął.  
– Mówię o samochodach tylko po to, żeby zwrócić pańską uwagę na to, co sobą reprezentują. I co możemy wam dać, jeśli obiecacie stąd sobie pójść.

– Co takiego, młody?

– Ich pieniądze.

Odpowiedziała nam cisza. Pełna zainteresowania.

Nasi rodzice nie byli tacy jak ci z jachtu. Gdzie tam. Ale nie należeli też do najbiedniejszych.

– Czyżby – wycedził przywódca.

– Możemy uzyskać dostęp do ich rachunków bankowych – potwierdził Rafe. – Mamy w grupie jednego technicznego. To praktycznie haker. Możemy się dostać do ich laptopów. A jeśli wejdziemy na wzgórze i usiądziemy pod wieżą telekomunikacyjną, bo tak się składa, że jest tu jedna niedaleko, to możemy też sobie zorganizować hotspot. Jeśli zgodzicie się odejść, przelejemy wam pieniądze.

Znów cisza.

– Hmm – mruknął szef. Kiwał powoli głową. – A ile tego będzie?

– Nie mamy jeszcze dokładnych danych, ale się dowiemy. Mają trochę funduszy inwestycyjnych. I funduszy rynku pieniężnego.

– Aha – wymamrotał. Wahał się.

– Warto spróbować – odezwał się jeden z grubych.

– Dobra, młody. Daj nam parę minut. Zaraz, eee, rozważymy tę propozycję.

Wyglądał, jakby był śpiący. Powieki miał zmrużone w dwie szparki.

Strasznie się upalił.

– O nic więcej nie prosimy – zgodził się Terry. – Dziękujemy.

– Nieźle, rzeczywiście poszedłeś na całość – stwierdził Rafe, kiedy zesliśmy z powrotem na dół. – Lizodupstwo światowej klasy.

– Einsteiny to to nie są – odparł Terry. – Musiałem mówić tak, żeby zrozumieli.

– Misja wykonana – zgodziłam się.

– Teraz pozostaje nam tylko czekać – przytaknął Rafe.

---

Facet z kuszą wyglądał tak, jakby miał gdzieś, co robimy. Włożyłam czółówkę i bluzę z kapturem, żeby sprawdzić, co u Jacka. Deszcz nieco złagodniał.

Kiedy znalazłam brata, Shela i resztę, siedzieli pod brezentową płachtą, rozpiętą nad prostą altanką, którą sobie zbudowali. Towarzyszył im rudy. Nie miał już przy sobie broni: trzymała ją Jen.

Nogę miał obandażowaną kawałkiem materiału i jadł z miski, wygarniając jedzenie palcami.

– Miło traktujecie gościa, który zabił najlepszą kozę na świecie – zwróciłam się do Jacka.

– Był głodny. I spragniony. A do tego boli go noga. Pozwoliliśmy mu wyrzucić pistolet przez dziurę, a potem go wyciągnęliśmy.

– Lubię makaron – odezwał się chłopak z pełnymi ustami.

– Prawie umarł z głodu – powiedziała Jen.

– To wbrew postanowieniom konwencji genewskiej – poparł ją Low.

– A poza tym jest opóźniony umyślowo – dodał Śliski. Nie powiedział tego cicho, ale jeśli nasz nowy towarzysz go usłyszał, to nie zaprotestował.

Jack pociągnął mnie za rękaw bluzy i zabrał na bok.



– Evie, chcemy wracać – powiedział. – Jen powiedziała, że rodzice przyjechali. Powiedz, naprawią to wszystko?

– Nie wiem, Jack. Na razie nic z tego. Jak dotąd tylko pogorszyli sytuację.

– Wszystko jest przemoczone. I strasznie mi zimno – poskarżył się mój brat. Nie przesadzał: wargi miał sine, ręce mu się trzęsły. – Skończyło nam się paliwo do kuchenki. A do bidonów łapiemy tylko deszczówkę. No i tęsknię za tobą.

– Ale ci ludzie są niebezpieczni – opierałam się. – Chyba nie warto ryzykować, żeby cię zastrzelili, prawda?

– Rudy potrzebuje lekarza.

– Rudy? Co, zaprzyjaźniłeś się z nim?

– Wcale nie. Po prostu ktoś musi się zająć jego nogą. Shel mówi, że w przeciwnym razie on będzie do końca życia kulął. Potrzebna mu pomoc.

– Mógł o tym pomyśleć, zanim zaczął mi grozić bronią – odparłam.

– On słabo myśli. Ale przecież by cię nie zastrzelił.

– A skąd to wiesz, Jack? Może zastrzeliłby ciebie. Widziałeś, co się stało z Niunią.

– Shel opatrzył mu nogę swoją koszulką. Ale gdybyś to zobaczyła, tobyś zrozumiała. Zrobił sobie straszną krzywdę.

Odesłałam go do ogniska i naradziłam się z Jen. Nie byłśmy pewne, co zrobić dalej. Wyglądało na to, że żołnierze nie zamierzają rezygnować z domku i stodoły. Szef był zjarany i nie kontaktował. Przynajmniej na razie.

A w silosie było przynajmniej sucho i ciepło.

Być może tam dwaj mali chłopcy byłiby równie bezpieczni.

Z Rudym nic nie wiadomo, stwierdziła Jen. Jaką mamy gwarancję, że nie dołączy z powrotem do żołnierzy? I nie wpakuje nas w jeszcze większe kłopoty przez swoją nogę?

– Ej, Rudy – odezwałam się. – Czy jeden z tych facetów na farmie to twój ojciec?

Chłopak był akurat zajęty wylizywaniem miski. Pokręcił głową.

– Ojca nie mam.

– To skąd ich znasz?

– Z restauracji.

– Z restauracji?

– Z McDonalda – wyjaśnił Rudy. – Sprzątam tam. Oni przyjechali tymi swoimi furami. Wpuściłem ich do środka. Teraz mają swoje klucze. I są szefami.

– Wszystko jasne – odparłam.

Naprawdę tak było.

Jednak kiedy wyłoniliśmy się spomiędzy drzew, zobaczyliśmy jasne światło zalewające pole. Zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy na niespodziewany widok. Blask nas oślepił. Szybko stawał się coraz jaskrawszy i bliższy, opadał coraz niżej i niżej. Towarzyszył mu głośny dźwięk. Warkot wirnika.

Helikopter.

– Pewnie zadzwonili po psy! – wrzasnął Śliski.

– A to policja?! – odkrzyknął Rafe.

Hałas był tak ogłuszający, że przestaliśmy go przekrzykiwać. Czyżby rodzice jednak ściągnęli posiłki? Nie mogliśmy w to uwierzyć.

W stodole nikt się nie poruszał.

Szef zasnął u sterów.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Wezbrał we mnie przyływ obłądnej nadziei. Absurdalny zachwyty. Wszyscy się tak poczuli, to było zaraźliwe.

Łopaty wirnika wzbijały wiatr, a włosy trzepotały nam wokół twarzy coraz mocniej, w miarę jak światła opadały. Zbiliśmy się w ciemności w przemoczoną grupkę. Wreszcie helikopter wylądował. Był ogromny.

Na trawę wyskoczyła grupa mężczyzn. Wszyscy ubrani na czarno, jak ekipa SWAT-u. Mieli własne karabiny. Pobiegli do stodoły w równej formacji, z bronią przy ramionach. Na pierwszy rzut oka dało się poznać, że mają opracowany plan działania.

Łopaty helikoptera zwolniły i się zatrzymały. Podeszliśmy bliżej.

Wreszcie ze środka wyłoniła się postać w długim płaszczu i wysokich butach. Kobieta. W świetle reflektorów zobaczyłam jej twarz; bił od niej spokój. Była smukła i stara.

Popatrzyła na nas. Wezwała gestem i ruszyła przed siebie.

– W tej stodole z żołnierzami są dzieci – zawołałam, idąc za nią, coraz dalej od hałasu i świateł. – I niemowlak. I nasi rodzice. I górskie anioły, i Burl. Oni nie zrobili nic złego.

– Wiem. – Chyba to powiedziała.

Nie mogłam stwierdzić na pewno, bo nie odwróciła się w moją stronę. Słowa unosiły się przed nią.

---

Weszła do silosu, a my wbiegliśmy za nią do środka. Przeszła przez pomieszczenie krokiem kogoś, kto ma coś ważnego do załatwienia, i usadziła się w jednym z dwóch foteli.

David, dotąd pochylony nad laptopem w bliźniaczym siedzeniu, wyprostował się. Na twarzy malowało mu się pytanie.

– Pani jest właścicielką? – spytała Jen.

Kobieta ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Wyciągnęła z kieszeni płaszcza telefon i nacisnęła jakiś guzik.

– Zabierzcie cywili – powiedziała do słuchawki. – Rodziców umieśćcie w domu. A dzieci przyślijcie do mnie. – Następnie wyjęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Włożyła jednego do ust, zaciągnęła się.

W pierwszym odruchu miałam ochotę powiedzieć, że nie powinna tu palić, ale się powstrzymałam.

– Co z nimi teraz będzie? – chciał wiedzieć Śliski.

– No cóż – odparła właścicielka. – Obawiam się, że złamali zasady.

– Hałasowali w weekend – podsunął Jack. Stał tuż przy mnie, wciąż mokry i rozdygotany.

– Zgadza się, słonko – odparła kobieta. Może tylko mi się wydawało, ale miałam wrażenie, że w jej oczach pojawiła się czułość. – Między innymi. Stań sobie przy grzejniku, Jack. Zaraz zamarzniesz.

Czy użyłam przy niej imienia brata? Kiedy?

Wykonała dłońmi kilka gestów w stronę Shela i drugi z chłopców też podszedł do grzejnika. Schylił się i przysunął do niego ręce.

Ta starsza kobieta znała język migowy.

– Reszta zostaje tutaj – zarządziła.

Miała w sobie coś takiego, że w ogóle nie przyszło mi do głowy się jej sprzeciwiać.

– Możecie posiedzieć na górze, jeśli macie ochotę – ciągnęła. – Wiem, że lubicie widok z platformy. Ale nikt nie wychodzi na zewnątrz. Zaraz, jeszcze jedno. Eve, przynieś mi popielniczkę.

Swojego imienia też jej nie podawałam.

– Nie wiem, gdzie...

Wskazała ręką na półki pod ścianą. I rzeczywiście, znalazłam tam niewielką metalową miseczkę. Umieściłam ją na podłokietniku fotela właścicielki.

Sukey weszła z dzieckiem do środka. A za nią Dee. Przy-  
stanęły niepewnie przy wejściu, czekały.

– Dobrze – powiedziała kobieta. – Zaczynamy zabawę.  
Wybrała jeszcze jeden przycisk na telefonie.

Nie wiedzieliśmy, o co jej chodziło, ale nie dodała nic  
więcej. Strzepnęła popiół do miseczki. Ruszyliśmy na górę.

Patrzyliśmy z platformy na stodołę. Z początku było  
w niej cicho i ciemno. A potem w jednym z dwóch okien  
coś mignęło.

– Niezła świeczka – skomentował Rafe.

– Nie powinni tam zapalać świec – dodała Jen.

W promienie naszych czołówek wpełzła mgła. Czyjś  
krzyk przerwał ciszę i zobaczyliśmy w drzwiach stryszku  
jednego z gości ze SWAT-u. Poznałam go po kasku i pasie  
ze sprzętem. Stał plecami do nas, ale wyglądał tak, jakby  
celował do kogoś z karabinu.

– Co on tam robi? – spytała Jen.

Mrużyliśmy oczy. Kolejne krzyki. Zerknęłam na domek,  
w środku paliło się światło. Drzwi były otwarte. Ojcowie  
i matki biegli po trawie i wpadali jedno za drugim do środ-  
ka. Policzyłam: ośmioro. Wszyscy.

Osiół przeszedł leniwie po płytkach chodnikowych przy  
zaparkowanych samochodach. Klip-klop. Klip-klop.

– Serio pytam – powtórzyła przyjaciółka. – Co on tam robi?

– Pilnuje ich? – podsunął Rafe.

Po chwili usłyszeliśmy trzask. W jednym z okien wzbity  
się płomień. Potem w drugim.

Dotarło do mnie, że to nie mgła.

– Powiedz jej! – przeraziła się Jen. – Powiedz, że stodoła  
się pali!

Zbiegłam więc na dół, a za mną Śliski. Lubił być w cen-  
trum wydarzeń.

- Pani stodoła! – krzyknęłam zasapana. – Zapaliła się! Pożar!  
– A, ta stara szopa. I tak już nie spełniała żadnych wymogów. Trzeba było ją rozebrać już dawno temu.  
Nadal była spokojna. Niewzruszona.  
– Ale... Ale...  
– Możliwe, że w środku są jeszcze ludzie – odezwał się Jack poważnym tonem.  
– Cóż, trzeba było nie bawić się paralizatorami.  
Popatrzyliśmy na nią z osłupieniem. A w każdym razie ja tak zrobiłam.  
– Albo strzelbami. Jeszcze gorzej. Wbrew zasadom.  
– Może oni nie znali zasad – zaprotestował Jack.  
– Oczywiście, że znali, mój mały. Wszyscy znają zasady.
- 

Straciliśmy dobre dziesięć minut. Nie mieliśmy pojęcia, co robić. Byliśmy przerażeni i sparaliżowani jednocześnie. Płomienie najpierw szalały wewnątrz stodoły, ale potem wyrwały się też spod dachu. Oddział SWAT obsadził drzwi. Stali równo, ramię przy ramieniu. Ściana ciemnych postaci.

Jedno z okien pękło, ktoś wybił je od środka i próbował wydostać się na zewnątrz, ale został wciągnięty z powrotem. A miejsce po nim natychmiast wypełniły płomienie.

Wtedy uświadomiliśmy sobie, że musimy spróbować. Co jeśli anioły zostały w środku?

Kobieta kazała zabrać ze stodoły rodziców. I dzieci. Ale nie wspomniała o aniołach.

Zsunęliśmy się po linie, żeby uniknąć właścicielki i nie wzburzyć chłopców. Spróbowaliśmy otworzyć podwójne drzwi stodoły, ale ktoś musiał je zamknąć od środka na łańcuch – ciągnęliśmy z całych sił, ale otwierały się tylko na kilka centymetrów.

Próby ugazzenia pożaru były z góry skazane na porażkę. Napełnialiśmy wiadra pod kranem i biegaliśmy z nimi tam i z powrotem, ale to nie pomagało. Chcieliśmy użyć węża ogrodowego z warzywnika, ale nie sięgał tak daleko.

Złapaliśmy więc grabie i łopaty, a następnie spróbowaliśmy wybić dziurę w podwójnych drzwiach. Dym był gęsty, zanosiliśmy się kaszlem, prawie nic nie widzieliśmy. Rodzice wysypali się z domku i pobiegli w naszą stronę, wrzeszcząc, że mamy się odsunąć. Że budynek może się w każdej chwili zapalić.

W końcu nas odciągnęli – złapali za ramiona, przycisnęli do ziemi i zawlekli w przeciwną stronę – najpierw ofiarą padł Low, po nim Jen – a już po chwili do rodziców dołączyli funkcjonariusze SWAT-u. Dorośli szybko zyskali przewagę liczebną.

Rozległ się strzał, ledwo słyszalny ponad rykiem ognia. Potem kolejne, tra-ta-ta, a rodzice szlochali i nas obejmowali.

Kiedy zostaliśmy siłą oderwani od drzwi stodoły – zdążyliśmy w nich wyharatać kilka długich, poszarpanych dziur – deszcz przybrał na sile i huknął grzmot, a już po chwili zaczęła się ulewa.

Oddział SWAT zagonił nas do domku, gdzie było już tak ciasno, że nie dało się ruszyć. Wszędzie wokół tłoczyli się ojcowie i matki.

Staliśmy upchnięci w kuchni jak zbyt duża grupa ludzi w windzie. Nawet łazienka i sypialnia były zajęte. Wypełniliśmy mały domek po brzegi.

– Jesteście bezpieczni – powiedział facet ze SWAT-u, ale potem wyszedł. A do tego zamknął nas na klucz.

Usłyszeliśmy jeszcze jego stłumiony głos przez drzwi.

– Siedźcie tam i nigdzie się nie ruszajcie. Nie żartujcie.

Noc w domku była długa i rozmyta. Drzemaliśmy niepokojnie, wciśnięci jedno w drugie na stojąco albo przycupnięci na podłodze w lesie nóg. Śliski i Dee zwinęli się w kłębek na kuchennym stole. Zazdrościłam im.

Byliśmy przemoczeni i czarni od dymu i popiołu, ojcowie mamrotali coś i chrapali. Matki pociągały nosami i szeptały. Martwiłam się o Jacka, który został w silosie. Nie pamiętam, kiedy zasnęłam, ale w końcu musiałam odpłynąć, bo stopniowo nadszedł poranek.

Przez okno sączyło się światło; deszcz ustał. Siedzieliśmy zamknięci jak w klatce, czując narastającą frustrację. Ktoś zasugerował wyjście przez wybite okno w łazience i zaczął się zastanawiać, które z nas jest dość drobne, żeby się tam zmieścić, kiedy Śliski popchnął Rafe'a na drzwi.

I odkrył, że nie są zamknięte na klucz, bo otworzyły się pod naporem ciała.

Na dworze stał Jack, a za nim Shel, Sukey z dzieckiem i Dee.

I Rudy. Przeszł pował z nogi na nogę.

Uściskałam Jacka bardzo mocno. Przyznaję.

Za nimi dymiły resztki stodoły. Płomienie zgasły. Budynek nadal stał, ale prawie cały zmienił kolor z czerwonego na czarny, a niektóre części się pozapadały.

Pobiegliśmy na pole, ale helikopter zniknął. Osły skubały trawę w miejscu, w którym wczoraj wylądował. I jedna koza.

Została jedna koza. Żołnierze ją przegapili.

Pognaliśmy z powrotem do samochodów.auta rodziców stały dalej na swoich miejscach, ale dżipów żołnierzy nie było. Brama stała szeroko otwarta.

Dorośli kręcili się przed domkiem i w środku, próbując złapać sygnał w telefonach. Myli twarze i ręce w umywalce i zlewie. Niektórzy korzystali z toalety w obrzydliwy sposób, przy otwartych drzwiach.



– Gdzie są anioły? – spytałam Jacka. – I Burl?

On tylko pokręcił głową. Nie wiedział.

– Poszliśmy spać – odparł. – Przy grzejnikach. Ta pani była bardzo miła. Zrobiła nam gorącą czekoladę na kuchenke, a potem usiadła w fotelu i się do nas uśmiechała. Opowiedziała nam różne bajki w języku migowym, żeby Shel też mógł zrozumieć. Potem zasnęliśmy. A kiedy się obudziliśmy, jej już nie było.

---

Moja matka spytała, czy gdzieś w sąsiedztwie jest dobry zasięg. Tutaj nie byli w stanie go złapać, wyjaśniła, nie na tyle, żeby zadzwonić. Odparliśmy, że owszem, zdążyliśmy się zorientować.

Powiedziała, że muszą zadzwonić na policję. I po straż pożarną. Po wszystkich.

Rodzice nadal wierzyli w służby ratunkowe.

Val powiedziała, że wie, gdzie jest maszt telekomunikacyjny. W niczym nie pomoże, ale skoro nalegają, to może ich tam zabrać.

---

– Musimy sprawdzić stodołę – odezwała się Jen, kiedy większość rodziców wyruszyła na wzgórze razem z Val. Ona i Sukey siedziały przy stole piknikowym; Sukey karmiła dziecko butelką.

Rodzice nie byli w najmniejszym stopniu zainteresowani stodołą. Powiedzieli, że to sprawa dla służb porządkowych.

Na serio baliśmy się tam wchodzić. Ściany albo dach mogły się zapaść i nas przygnieść. Poza tym mogliśmy tam odkryć różne rzeczy. Co jeśli znajdziemy ciała aniołów?

– Jedna strona jest otwarta – powiedział David. – Nie ma już dachu. Chyba możemy tam bezpiecznie wejść.

Nie chciałam tego robić. Żadne z nas nie chciało.

Ale musieliśmy.

Kazałam Jackowi i Shelowi poczekać na dworze, a Sukey podała mojemu bratu dziecko. Następnie ruszyliśmy ostrożnie przez popioły i spalone drewno. Nie szliśmy w miejsca, z których zwisały wiotkie fragmenty dachu. Trzymaliśmy się z daleka od kruchych ścian. Wszystko pachniało dymem. Nie było już boksów dla zwierząt.

Słupy i belki się pozapadały, a wewnątrz stodoły było ciemne i trudne do rozpoznania. Fragmenty ścian, gontów i desek z wystającymi gwoździami. Wszystko poczerniało w ogniu i nie wiedzieliśmy już, co jest czym.

W końcu Śliski odkrył potopione strzelby, wyszczerzone w stercie pod zarwanymi deskami ze stryszką. Wygrzebał też kilka zamków błyskawicznych po naszych śpiworach.

David trafił na stopioną podeszwę buta, przyczepioną do stalowego noska.

Jen znalazła czaszkę. Ze skórą i włosami.

Natychmiast się porzygała. Bardzo łatwo uruchamia się jej odruch wymiotny.

Włosy nie należały do Darli, ocenił Low. Ani do żadnego z aniołów. Były siwe. Przystrzyżone na jeża.

Bardziej jak u przywódcy.

Dalej leżały też inne kości, żebra i takie długie, jak z nóg. Kości udowe, powiedział Śliski.

Nie próbowaliśmy ich liczyć ani poskładać z nich ludzi. Po prostu wyszliśmy.

Porzuciliśmy stodołę i już nigdy nie postawiliśmy w niej nogi.

Paru ojców zostało, żeby pogrzebać w samochodach.

Jeden z tych, którymi przyjechalśmy, chyba nie chciał zapalić. Poszłam do kuchni i włączyłam swój telefon.

Na ekranie wyświetliło się kilka starych nieodebranych połączeń od rodziców.

I jedna nowa wiadomość wysłana z zastrzeżonego numeru.

Jej treść zdjęła mi ciężar z piersi.

„Tu właścicielka. Nie martwcie się o Burla i anioły. Są teraz ze mną”.

– Ej, chodźcie! – zawołał Jack z podwórka. – Evie. Drzewo! Chodź, zobacz!

Wyszłam na próg i podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Szkielet derenia, obszarpany z liści, był oblepiony maleńkimi białymi guzkami na cieńszych odcinkach gałęzi. Były ich setki. Tysiące.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to pewnie jakaś choroba. Grzyb.

Potem jednak zorientowałam się, że patrzę na pączki kwiatów. Była jesień, ale drzewo porastały świeże pączki.

## 9

Nasze posłania i większość ubrań spłonęły, więc nie mieliśmy już zbyt wielu rzeczy. Zostały nam telefony i kilka ciuchów, które przynieśliśmy wcześniej do domku do prania. Parę wysłużonych szczoteczek do zębów i trochę akcesoriów kempingowych.

Rodzice powiedzieli, że drogi powoli stają się przejezdne, niektóre stacje benzynowe się pootwierają.

Ale kto będzie karmił osły, kiedy stąd pojedziemy? – martwił się Jack. I tę samotną kozę, która przeżyła? Wyjaśnił, że podczas rzezi schowali ją w lesie. Przytrzymali za obrozę, gdy reszta wyszła na pole.

Rodzice mieli to serdecznie gdzieś.

Sukey oznajmiła, że przed wyjazdem musi ich zaprowadzić na grób matki.

David powiedział im o jej śmierci, kiedy mieli przetaczaną krew – ale część była zbyt chora, żeby go usłyszeć, a inni zbyt pijani. Albo zajęci czymś innym. Nawet o tym nie napomknęli.

Sukey chciała, żeby uświadomili sobie, co się stało. Żeby do nich dotarło.

W milczeniu poszliśmy do kamiennej kolumny w zakątku pola, gdzie zaczął się las. Rodzice się nie odzywali,

posłusznie maszerowali koło nas. Matka Jen spróbowała wziąć ją za rękę, ale ona tylko trzepnęła ją w dłoń.

Nasza przyjaciółka zbudowała z kamieni wieżę wysokości człowieka. Wyglądała, jakby stała na warcie. Jak strażnik.

Wiadomo, kamienie się nie ruszały. Ale coś w ich ustawieniu sugerowało, że mogłyby.

– I nas za to winicie? – spytała matka. Żałosnym tonem.

– Winimy was za wszystko – odparła Jen opanowanym tonem.

– A kogo innego? – dodał Rafe.

– Ja nie obwiniam – powiedziała Sukey. Dziecko zapiszczało, więc zaczęła je kołysać.

Matka popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Byliście po prostu głupi. I leniwi.

Wdzięczność nieco przygasła.

– Spisaliście świat na straty – poparł ją David.

– Pozwoliliście, żeby wszystko trafił szlag – zawtórował mu Low.

W tym momencie prawie zapomniałam o posmaku starego banana.

– Nie chcę wam psuć puenty, ale nie mamy aż takiej władzy – wtrącił jeden z ojców.

– Aha. Wszyscy tak mówili – odgryzła się Jen.

– Słuchajcie. Wiemy, że was zawiedliśmy – odezwała się matka. – Ale co niby mogliśmy zrobić?

– Zawalczyć – powiedział Rafe. – Zdarzyło się wam kiedyś o coś walczyć?

– A może tylko robiliście, co wam się podobało? – prychnęła Jen. – Od zawsze?

Matki popatrzyły po sobie. Ojciec podrapał się po brodzie. Inni wetknęli ręce w kieszenie, kołysali się na piętach i przyglądali się górze ziemi usypanej obok sterty kamieni.

- Czyli... Została skremowana – odezwała się matka, próbując zmienić temat.
- Na stosie pogrzebowym – wyjaśnił Rafe.
- Sukey zbudowała kolumnę – dodałam.
- Bardzo przejmujący koncept – ocenił mój ojciec, artysta. Sukey przewróciła oczami.
- Przynajmniej to jeszcze potrafiła zrobić.
- Powinniśmy powiedzieć kilka słów – zasugerowała matka.
- Nie, nie powinniście – ucięła Sukey.
- Pomodlić się – upierała się inna.
- Pogrzeb już był – poparł ją Rafe.
- Zaśpiewaliśmy hymn – odezwałam się. – No, ktoś zaśpiewał.
- Anioł – powiedział Śliski.
- Odwrócił się i splunął. Prosto na but jakiegoś ojca.
- Obrzydliwe – skarciła go matka. Jego własna.
- I dobrze – odparł.

---

Po powrocie na farmę nie mogliśmy znaleźć Jacka. Ani Shela, osiołków i kozy.

Domyślałam się, że chłopcy zabrali zwierzęta na farmę sąsiada. To miałyby sens. Ostatnimi czasy Jack chodził własnymi ścieżkami.

Śliski i Low wybrali się na ostatnią przejażdżkę quadami. Zaczęli się ścigać.

Jedna z matek rozkojarzona sprzątała w kuchni. Jakby domek był wynajęty i należało go zostawić w dobrym stanie.

– Obawiam się, że policja nie przyjedzie – odezwał się z łazienki ojciec.

– No co ty nie powiesz – prychnął Rafe.  
– Musimy poczekać na Jacka i Shela – zwróciłam się do swojej matki.

Znalazła w głębi lodówki puszkę piwa i właśnie otwierała zawleczkę.

– Masz dokąd pójść, słonko? – spytała.

Zwracała się do Rudego, który siedział przy stole i wyciągał zębami brud spod paznokci. Wcześniej wygrzebał ze stodoły jeden z bezużytecznych, stopionych pistoletów i przyczepił sobie do pasa z amunicją.

Pewnie sądził, że wygląda jak prawdziwy bohater.

Pokręcił głową.

– Do domu? – drążyła.

– Nie mam.

Dopiero wtedy zauważyłam, że nie ma obandażowanej nogi. I zorientowałam się, że przez cały dzień chodził normalnie.

– Zaraz – odezwałam się. – Co z twoją nogą? Mówiłeś, że ją złamałeś. Była tylko skręcona?

Wezbrała we mnie frustracja. Jack mówił, że Rudy może już nigdy nie chodzić normalnie, i byliśmy gotowi ryzykować własną skórę.

– Była złamana – odparł. – Ona ją naprawiła.

– Nastawiła ci nogę? Właścicielka? – upewniła się Jen.

– Naprawiła. – Rudy wzruszył ramionami.

Podciągnął spodnie, odsłaniając zwykłą chudą włochatą nogę. Wyglądała zupełnie normalnie.

– Czekaj – zaprotestowała Jen. – Widziałam ją. Nawet lekarz... – Popatrzyła na mnie i pokręciła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Ja nie widziałam urazu, więc nie mogłam się wypowiedzieć na ten temat.

– Kazała mi tu zostać – dodał Rudy.

- Kto ci kazał? – chciała wiedzieć Jen.  
– Ona. Właścicielka. Powiedziała, że będę nowym dozorcą.  
– Ty? – zdziwił się Rafe.  
– Przyłożyła mi palec do czytnika w zamku.  
Nie miał domu. Więc ona mu go dała.
- 

Strategia rodziców pokrywała się z naszą własną: schronienie w bogactwie. Mieliśmy wyruszyć do domu Śliskiego.

Jego rodzina nadal była najzamożniejsza.

– Sądzisz, że to by podziałało? – spytałam Davida, kiedy stanęliśmy we trójkę z Rafe'em na skraju pola, żeby zaczekać tam na chłopców. – Ten plan, żeby przekazać żołnierzom pieniądze?

– Może. Zależy, jak silne zabezpieczenia mieliby na laptopach. Złamałem dostęp do konta swoich rodziców, akurat kiedy szopa zaczęła się palić. Niewiele tam znalazłem. To byłby niewypał.

– Cóż, to byłby nasz łabędzi śpiew – stwierdził Rafe. – Dyplomatyczny wysiłek. Rozwiązanie pokojowe.

– Później nie byłoby już tak pokojowo – wtrąciłam.

– Fakt – zgodził się David.

Uśmiechnęliśmy się szeroko, wyobrażając sobie furię rodziców. Pieniądze były jedyną rzeczą poza alkoholem, którą traktowali śmiertelnie poważnie.

– Evie! – zawołał Jack z oddali. – Sąsiedzi byli w domu! Są bardzo mili. Zaopiekują się osiołkami. I Jiminym.

Shel przytaknął.

– Musimy iść, Jack – powiedziałam. – Już czas.

– Wiem, Evie.

---



Mieliśmy sześć samochodów łącznie z vanem, więc musieliśmy się ścisnąć. W naszym aucie jechały też Jen i Shel.

Jack biegał po całej farmie w poszukiwaniu swojej sowy, żeby się z nią pożegnać, ale musiała gdzieś spać. Trochę się popłakał, gdy zrozumiał, że jej nie znajdzie; Shel też był przybity. Siedzieli w aucie blisko siebie i pociągali nosami. Jen wcisnęła się koło mnie.

Kiedy karawana wyjeżdżała, Rudy obserwował nas ze szczytu silosu. Zamachał stopionym pistoletem, salutując niedbale.

---

Czułam się jak uchodźczyni. Albo więźniarka wojenna. A może jedno i drugie.

Matka przykleiła się do telefonu, kiedy tylko złapała zasięg, i od razu pochłonęła ją logistyka. Gdzie stanąć na tankowanie i jedzenie. Gdzie są bezpieczne strefy. Napomknęła coś o Gwardii Narodowej i o punktach kontrolnych.

Jen i ja gapiłyśmy się przez okno.

Nie tak to zapamiętałyśmy. Wszędzie zwisały zerwane linie wysokiego napięcia, a po obu stronach drogi leżały zepchnięte pnie przewróconych drzew i połamane gałęzie. W rowach płynęły bure rzeki, poznaczone wyspami śmieci. Garstki ludzi wlokły się poboczem. Tu i tam stały porzucone samochody, minęliśmy też zaparkowanego krzywo tira. Ciemne sklepy zionęły dziurawymi witrynami i otwartymi drzwiami. Po ulicach wały się trupy zabitych przez auta psów, ptaków, królików i szopów, a tu i tam nawet jeleni.

Nigdy w życiu nie widziałam tylu martwych zwierząt.

– Nie opuszczajcie szyb – nakazała matka. – Jak to śmierdzi!

Całe armie dzikich stworzeń wyruszyły w bój na te ulice, choć o tym nie wiedziały. Nikt im nie powiedział, że trwa wojna.

Wrony i sępy zrywały się spomiędzy zwłok.

– Może zawsze tyle ich ginęło – stwierdziła Jen. – Tylko teraz nie ma komu tego sprzątać.

Kiedy Jack zobaczył pierwsze martwe zwierzęta, łzy wzbierały mu w oczach. Przestał wyglądać przez okno. Razem z Shelem wbili wzrok w gry na tabletach, oglądali kolorowe pałace na zielonych wzgórzach.

Przez szyby widzieliśmy oznaki życia: pracownicy służb porządkowych biegali z pętlami kabli i drabinami na ramionach, krzyczeli coś do siebie. Mijaliśmy drogowców w odblaskowych kamizelkach i kaskach. Wysięgniki i monterów, naprawiających przewody na słupie. Inne rodziny, stłoczone w autach tak samo jak my.

Dzieci patrzyły na nas przez własne tylne szyby.

Krajobraz miał inną fakturę. Był stary i zmęczony. Niemal w rozsypce.

---

Postoje na tankowanie robiliśmy wszystkimi samochodami jednocześnie. Rodzice nie chcieli ryzykować, że się rozdzielimy. Ludzie stali przy krawężniku, w rękach trzymali znaki z napisami: BENZYNA. I jeszcze: TYLKO GOTÓWKA.

Podjeżdżaliśmy do dystrybutora w dwóch rzędach. Wysiadać mogliśmy tylko na siku, więc powiedziałam, że muszę do toalety. Jen zrobiła to samo.

– Zostawcie telefony w samochodzie – nakazał mój ojciec.

Chyba nam nie ufał.

W sumie miał rację. My jemu też nie ufałyśmy.

– Macie pięć minut – dodał.

Poszliśmy więc do łazienki, żeby się czymś zająć. Okazała się brudna, z zapchanymi toaletami, kłębami mokrego papieru toaletowego i brudnych pieluch na podłodze. Nawet ze zlewu brzydziłyśmy się skorzystać. Zamiast tego pokręciłyśmy się po sklepiku i pogapiłyśmy na półki. Były prawie puste. Zostały tylko prażone skórki wieprzowe o smaku limonki i chili. I dwie rolki miętówek.

Za ladą stał bardzo stary kasjer o twarzy przypominającej skamielinę i przyglądał się nam podejrzliwie. Może wziął nas za złodziejki.

– Tampony! – odezwała się Jen.

Leżały za ladą, koło tytoniu do żucia.

– Po ile? – spytałam kasjera, wskazując na pudełko. Tak z ciekawości. I tak nie miałyśmy własnych pieniędzy.

– Czterdzieści.

– Centów?

– Dolarów.

– Czterdzieści – wyszeptała do mnie Jen, gdy wychodziłyśmy.

---

Im bliżej domu Śliskiego się znajdowaliśmy, tym czystiej wyglądały ulice. Stery martwych zwierząt zniknęły, a służby naprawiające telefony i linie wysokiego napięcia pojawiały się częściej. Domy stały w głębi posesji, a od ulicy odgradywały je starannie zaprojektowane ogrody. Ogromne trawniki były przystrzyżone, a śmieci pozbierane.

– Oto jak żyje lepsza połowa – stwierdziła Jen.

– To my jesteśmy tą lepszą połową – poprawiłam ją.

– Przynajmniej na razie.

– Wszystko jest tylko na razie – wtrącił Jack.

Brzmiał, jakby miał osiemdziesiąt trzy lata.  
Zaparkowaliśmy za resztą samochodów przed wysoką metalową bramą, zwieńczoną tandetnymi żeliwnymi inicjałami. Siedzieliśmy i czekaliśmy, aż się otworzy.

– Patrz! Widzisz? Ziemia obiecana. – Trąciłam Jacka łokciem, żeby oderwał wzrok od tabletu.

– Evie, ziemię obiecaną już mieliśmy – odparł łagodnie.

– Hej, Jack – odezwał się mój ojciec, próbując spojrzeć mu w oczy w lusterku. Rozciągnął wargi w sztucznym uśmiechu. I jeszcze ten jego żartobliwy ton. – Głowa do góry, mały. Wszystko będzie dobrze!

Jack wyłączył tablet i odwrócił go ekranem do dołu. Położył na nim ręce, jedną równiutko przy drugiej.

– Zawsze to powtarzasz – stwierdził, wciąż z tym samym spokojem. – Bo jesteś moim ojcem. Ale jesteś też kłamcą.

Z przedniego siedzenia odpowiedziała mu tylko cisza.

---

Przejechaliśmy długim podjazdem, mijając po drodze finezyjne klomby okolone rządkiem ozdobnej fioletowej kapusty, abstrakcyjne rzeźby-fontanny z czystą wodą i zagajniki gęste od drzewek, zmieniających już kolory na czerwień i złoto.

Jen gwizdnęła przez zęby.

– Wstydu nie ma – stwierdził ojciec.

– I to wszystko za kilka głównianych filmideł.

– Nie wszystkie były takie złe.

– Większość. Sam tak mówi.

– Żałuj, że nie widziałas jego rancza w Bel Air.

– Ty też nie widziałeś.

– Właśnie że tak. W mediach społecznościowych.

Matka tylko prychnęła.

Zatrzymaliśmy się na ocienionym parkingu. W oddali dostrzegłam koronkową altanę, a między drzewami majaczył ogromny, fikuśny biały dom, przypominający podróbę jakiegoś miejsca z Europy. Może z Włoch.

– Idę prosto do basenu – oznajmiła matka, odpinając pasy. – A potem do jacuzzi. Ktoś mówił, że mają takie pod szklanym dachem.

– Jak można mieć basen infinity bez widoku na ocean? – spytała Jen.

– Chyba zaraz się dowiemy – odparł ojciec.

– Lepiej, żeby mieli dobrze zaopatrzone barek – stwierdziła matka.

I wysiadła.

– No, ta to nie jest roszczeniowa – wymamrotała Jen.

Ze względu na potrzebę prywatności zajęliśmy dom gościny. Z wyjątkiem Dee, która wolała zamieszkać w części dla służby w podrabianej Italii razem z rozwydrzonymi bliźniaczkami. I Śliskiego, który chciał spać we własnym pokoju.

Rodzice, którzy nie przyjechali na farmę, dotarli do posiadłości wcześniej. Jeden z nich spał w pokoju Śliskiego i musiał zostać eksmitowany.

To, że zostanie w głównym domu, nie oznacza jednak, że będzie się bujać ze starymi, zapewnił. Jebać.

Postanowiliśmy przymknąć na to oko.

Dom gościnny miał tylko trzy sypialnie, ale był tam też salon z rozkładaną kanapą. Znajdowały się w nim też trzy inne sofy, w tym jeden narożnik. Do tego niewielka kuchnia i dwie łazienki. Odstąpiliśmy jeden pokój Sukey i Jen oraz dziecku – w ten sposób gdyby zaczęło płakać, mogliśmy się od niego odgradzić drzwiami.

- Następnie się rozgrzaliśmy, umyliśmy i wysuszyliśmy.
- Próbowali mi ją skonfiskować po drodze – powiedziała nam Sukey, kiedy rozkładaliśmy się w swoich pokojach.
  - Skonfiskować? Małą?
  - Powiedzieli, że muszą się nią zająć. I że jestem za młoda na taką odpowiedzialność.
  - Dla mnie to brzmiało jak propozycja wakacji.
  - Powiedziałam, że nie ma chuja.
  - No wiesz, mogłabyś im ją czasem dawać pod opiekę, żeby trochę odpocząć – zasugerowała Jen.
  - Pff – fuknęła Sukey.
- 

Przez krótki czas dni mijały nam w tym miejscu tak, jak mogłyby płynąć w baśniowym zamku. Z początku mieliśmy nawet służbę – gospodynię, zespół do sprzątania, ogrodników, psią fryzjerkę. Pojawili się i zniknęli.

W wielkim domu byliśmy cudownie ignorowani, a na farmie zdani tylko na siebie. Tutaj z początku wiedliśmy zupełnie oddzielne życie. Rodzice Śliskiego dali nam ubrania ze swoich garderób, przestronniejszych od największego pokoju w moim domu. Mieliśmy też własny budżet na zakupy online: Terry wysunął skromną sugestię, a rodzice na nią przystali. Nawet zakupy spożywcze robiliśmy tylko dla siebie.

Alkoholu i trawy budżet oczywiście nie obejmował; te dobra nadal musieliśmy zdobywać podstępem. Śliski miał jednak swoje sposoby – robił to od lat.

W życie weszły też nowe zasady korzystania ze sprzętów elektronicznych i z internetu – tym razem narzucone przez rodziców samym sobie. Godzina wiadomości wieczorem, godzina rano. Przez resztę czasu wi-fi i telewizory

były wyłączone. Pod klucz poszły ich własne telefony, nie nasze. To niezdrowo tak nasiąkać cudzym nieszczęściem, stwierdziła jedna z matek.

Wyjątek stanowiły pieniądze i praca. Ojcowie twierdzili, że muszą kontrolować inwestycje, a poza tym kilkoro rodziców wciąż miało jakąś formę zatrudnienia. Na część etatu. Paru wykładowców prowadziło zajęcia online, w tym moja matka, która powtarzała, że teoria feminizmu nigdy nie śpi.

– Ale tak – przyznała. – Liczba studentów znacząco spadła.

Poza tym trzymali się zwykłego rozkładu. Do śniadania Krwawa Mary i kawa po irlandzku. Do lunchu piwo, a od szesnastej: hulaj dusza.

---

Jack traktował naszych rodziców uprzejmie, lecz trzymał ich na dystans. Dawniej im ufał, ale go zawiedli. Miałam wrażenie, że stara się wykrzesać z siebie trochę dawnej wiernej czułości do nich, ale bezskutecznie. Nie dało się na nich polegać.

Ja nigdy nie liczyłam na wiele. A już na pewno nie od czasów, kiedy byłam jeszcze młodsza niż on teraz. Przestałam trzymać ich za rękę, gdy miałam siedem lat, i nigdy więcej tego nie zrobiłam. Wyraźnie pamiętam ostatni raz: mijaliśmy duże zgromadzenie na jakimś placu na Manhattanie. Później wydedukowałam, że to musiał być Union Square. Tłum kipiał złością. Ludzie skandowali jakieś hasła. Marchali planszami. Nie wiem, co głosiły napisy – byłam za niska, żeby je przeczytać. Szłam między rodzicami, trzymając każde z nich za rękę, i zapytałam, co się dzieje.

Nic ważnego, odparli, ale ja drążyłam temat. Nie odpuszczałam. W końcu oni byli w stanie odczytać hasła na znakach. Wzrost im to umożliwił.

Oni jednak wprost odmówili. „Cicho”, powiedzieli. Byli spóźnieni na kolację. Mieli zarezerwowany stolik w jakiejś restauracji, gdzie zdobycie miejsca granoczyło z cudem. Wyrwałam się i pogałam w tłum, zniknęłam między nogami przechodniów. Ciągnęłam ludzi za rękawy kurtek. Pytałam, na co są tacy źli. Kilka osób mi odpowiedziało, ale nie usłyszałam ich w hałasie.

Ojciec pobiegł za mną i w końcu mnie dogonił. Twarz miał czerwoną i mokrą od potu, zęby zaciśnięte. Wycedził, że dzięki mnie teraz jesteśmy bardzo spóźnieni. Dostałam szlaban.

Ostatnimi czasy, kiedy ogarniała mnie niechęć do nich, powtarzałam sobie to, co zrozumiałam po zjedzeniu spleśniałego chleba.

Moja matka i ojciec nie byli aż tak różni od Rudego. Potrafiliby całkiem nieźle funkcjonować w bardzo precyzyjnie określonych warunkach. Byli dostosowani do życia we własnych maleńkich niszach. Mattie mógłby ich opisać jako ekspertów od jednego rodzaju habitatu.

Habitatem ojca była ekonomia sztuki. Poruszał się po niej swobodnie, tworząc i sprzedając swoje potężne, barwne rzeźby kobiet pożeranych przez wojnę. Wiedział, jak nawigować po przyjęciach w galeriach i murach, podkarmiać kolekcjonerów i krytyków nonszalanckimi komentarzami i ekscentrycznym zachowaniem. Zgarniał sześciocyfrowe sumy za obfite piersi, które pokrywał scenami zniszczeń z Afganistanu, Syrii i Jemenu. Za pośladki ze zbombardowanymi domami i płonącymi szpitalami.

Habitatem matki był uniwersytet, artykuły pełne długich słów i nazwisk innych pracowników naukowych. Czytało je może pięć osób.



Kiedy ich habitaty przepadły, nie został im żaden znajomy teren. Nie mieli mapy ani odpowiedniego wyposażenia, żadnych przydatnych narzędzi.

Tylko kilka stopionych pistoletów u pasa.

---

Wkrótce zaczęliśmy się nudzić. Po jakimś czasie nawet pływanie w ogrzewanym energią słoneczną basenie infinity spowszedniało (składał się z usytuowanych kaskadowo na zboczu wzgórza zbiorników z wodą, coraz mniejszych, im niżej się schodziło). Na terenie posiadłości Śliskiego znajdowało się też trzydołkowe pole golfowe, boisko do siatkówki, a w piwnicy sztucznej Italii była nawet sala do squasha i niewielka kręgielnia.

Nasze zainteresowanie tymi rozrywkami rosło i opadało. Zaczęliśmy uczyć się języka migowego od Jacka i Shela. Trochę hiszpańskiego od Sukey. Jen pozwoliła Terry'emu spać ze sobą w łóżku, i nawet ja zasugerowałam Lowowi, że mogłabym dać mu jeszcze szansę, gdyby nauczył się lepiej ubierać. I zaczął regularnie myć zęby.

On natychmiast zaczął pożyczać ciuchy od Rafe'a. Spodnie były na niego za krótkie i wystawały mu z nich kostki.

No nic. Może byłabym w stanie trochę mu odpuścić.

---

Terry zaproponował nową grę: spotkamy się z rodzicami przed kolacją i zmierzmy się z nimi drużynowo, my kontra starzy ludzie. Zwycięzcy mogli zażądać od przegranych nagrody.

Dowolnej, w granicach rozsądku.

– Ale co my możemy im zaoferować? – spytał Rafe.  
– Może nasz czas – podsunęła Sukey.  
– Pracę? – zamyślił się David.  
– Usługi barmańskie – dodał Śliski, który zainteresował się ostatnio mieszaniem drinków.

– Musieliby nam dać alko, gdybyśmy o to poprosili – zauważyła Jen. – Spójrzmy prawdzie w oczy, propisy dla Śliskiego, ale na podkradaniu nie zawsze idzie daleko zajechać.

– Im więcej, tym lepiej – stwierdził Śliski.  
– Owszem, zazwyczaj im więcej, tym lepiej – zgodziła się Val.

Ona sama nie piła. Po rozstaniu z Burlem była melancholijna, ale nie chciała sięgać po domowe sposoby. Nie piła, nie paliła trawy, i na ile udało nam się zaobserwować, nie miała też żadnych potrzeb względem libido. Val żyła po spartańsku.

Albo po prostu jeszcze nie weszła w okres dojrzewania. Jedno z dwojga.

Przedstawiliśmy więc rodzicom zasady gry: wybraliśmy prostą zabawę, którą kiedyś zabijaliśmy czas w podróży samochodem. Ktoś z jednego zespołu wymyślał jakieś słowo albo frazę, a drużyna przeciwna miała ją zgadnąć, zadając w tym celu serię pytań. Słowo mogło określać osobę, miejsce, przedmiot albo ideę.

W niektórych dziedzinach wiedzy podeszły wiek dawał rodzicom przewagę. Sporo z nich znało po prostu więcej faktów. A poza tym mieli doświadczenie w dziedzinach, którymi zajmowali się zawodowo.

Zgodzili się na system nagród – byli pewni zwycięstwa.

My jednak mieliśmy smartfony i tablety, czas, a do tego byliśmy głodni wyzwań. Każdego popołudnia zabieraliśmy się do nauki. W internecie istniało mnóstwo stron

z ciekawostkami, które mogły nam się przydać. Do tego mogliśmy korzystać z Wikipedii. Wkuwaliśmy jak szaleni.

Za pierwszym razem ponieśliśmy porażkę. Rodzice wygrali trzy słowa z rzędu: Bella Abzug, Christine de Pizan, Margery Kempe. Aż zaskrzeczeli z uciechy i zażądali ośmiu godzin „konsultacji technologicznej” z Davidem – tak nazywali to, kiedy naprawiał im różne rzeczy i pomagał coś zrobić na telefonie albo komputerze.

„Konsultacja” sugerowała jakąś komunikację, ale oni nie chcieli się niczego uczyć. Interesowały ich wyłącznie usługi.

W ramach rekompensaty dla Davida Śliski zorganizował mu trzy ścieżki doskonałej kokainy swojej matki. To było dla niego ryzykowne, bo kobieta strzegła zapasów niczym harpia świeżo wyklutych piskląt.

David okazał stosowną wdzięczność.

Drugą grę przegraliśmy równie sromotnie co pierwszą. Tym razem zażądali całego dnia z małą siostrą Sukey, żeby „pobyć sobie troszkę z maluszkiem” (ryzyg). Sukey protestowała, ale uznaliśmy, że rodzice mają prawo do takiej nagrody, więc musiała ustąpić przed decyzją większości. Potem przez cały dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca i zamartwiała się, że popsują dziecko.

Przecież ona nie ma nawet dwóch miesięcy, stwierdziła Jen. Jaką szkodę mogliby niby wyrządzić?

Sukey odparła, że nie można im ufać w kwestii wychowania dzieci. Co do tego musieliśmy jej przyznać rację.

Kiedy niemowlę zostało jej zwrócone – owinięte kocym, w świeżej pieluszce, nakarmione – wyglądało i zachowywało się dokładnie tak samo jak wcześniej. Leżało i nic nie robiło, tylko czasami trochę płakało, ale Sukey i tak była podejrzliwa. Zawiązali małej na głowie debilną różową wstążeczkę, którą starsza siostra zerwała z nieskrywaną niechęcią.

Podczas trzeciej rundy rodzice byli bardziej pijani niż zwyczaj i dali się ponieść arogancji. Skończyło się remisem, więc musieliśmy zrobić dogrywkę. Nie mogli w to uwierzyć: storpedowaliśmy ich Nicki Minaj, która dla nas byłaby pewniakiem.

– A do tego jest feministką – powiedziałam matce, żeby jeszcze jej dokopać.

– Wątpliwe – odparła, przeglądając wyniki w Google.

Wygraliśmy piwo i mocniejsze alkohole.

---

Z czasem jednak ogarnęła ich nowa niemoc. Nie bez znaczenia był krach na giełdzie i zjawiska pogodowe. Burze omijały nasz region, ale w innych miejscach były katastrofalne w skutkach. Podobnie susze i fale upałów. Zimne i gorące fronty, odcięte szlaki handlowe. Wszystko ulegało nieustannym zmianom. Przez ekstremalne warunki pogodowe zamykały się lotniska, a zniszczenia zbiorów destabilizowały światowy rynek. Na biegunie północnym zrobiło się stanowczo za ciepło. Niektóre części Europy zamarzały.

A do tego personel zrezygnował z pracy w domu.

Oburzeni rodzice bez przerwy narzekali. To wszystko wydarzyło się tak nagle. Przecież mówiono im, że zostało więcej czasu. O wiele więcej. Ktoś inny tu zawinił, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Nie naukowcy, stwierdził ktoś. Naukowcy naprawdę się starali. Może politycy. I niewykluczone, że dziennikarze.

Dochodziły nas strzępy dyskusji o robieniu zapasów, o plusach i minusach zbierania różnych dóbr. Co okaże się najlepszą walutą? Rodzice potrafili gadać o tym godzinami. Na jakiś czas to stało się ich obsesją.

Złoto? Broń? Amunicja? Baterie? Antybiotyki? Rozmowy przechodziły w kłótnie, dostrzegaliśmy niepokój. Były dysputy i postanowienia.

Nie doszło jednak do konsensusu. Rodzice ustalili, że najbezpieczniej będzie zdywersyfikować nasze zasoby.

I tak bez przerwy zaczęły przychodzić dostawy. Panele fotowoltaiczne, sucha żywność, leki. Czasami rodzice spędzali cały dzień na rozpakowywaniu. Przerzucali się takimi zwrotami jak „migracja chorób” i „pasożyty”, a do rezydencji przyjeżdżały ciężarówki załadowane butelkowaną wodą. Nie taką źródlaną w małych opakowaniach, tylko w wielkich beczkach. Tę wodę przechowywali w blaszanym magazynie, który pracownicy zatrudnieni przez rodziców Śliskiego zbudowali, kiedy mieszkaliśmy w wielkim domu.

Przyjechali ludzie zatrudnieni do podkręcenia zabezpieczeń. I do budowy. Tam, gdzie dawniej stała ozdobna żeliwna brama, teraz ciągnął się betonowy mur pod napięciem. Pod ogrodzeniem kryły się pułapki, dookoła rozciągała strefa zakazu lotów. W rzeczywistości była ona strefą zakazu zbliżania się, ale rodzice tak na nią mówili i rozumieliśmy, co mają na myśli. Budowlańcy przeszli wzdłuż całej długości muru i pozakopywali coś w ziemi, a potem postawili jeszcze drugie ogrodzenie po wewnętrznej stronie muru, żeby służyło za bufor. Nie było nam wolno go dotykać.

– Miny lądowe? – zastanawiał się Śliski.

– Niemożliwe. To nielegalne – odparł Rafe.

Nie byliśmy tego jednak tacy pewni. Nie przyszłoby nam do głowy stanąć na tej trawie. Nigdy nie spuszczałyśmy psów ze smyczy.

Po tym, jak otoczył nas mur, jeszcze zawzięciej nakłanialiśmy ich do gry. Potrzebowali rytuałów, żeby czuć się normalnie – wiedzieliśmy, że tak jest, choć nie mówiliśmy o tym głośno.

Wygrywaliśmy coraz częściej, a rodzice tak się zniechęcili, że czasami pozwalaliśmy im wygrać. Wybieraliśmy coś łatwego do odgadnięcia. „Pierścienie Saturna”, proponowało któreś. „Golec piaskowy”, sugerował ktoś inny. A nawet „kalafior”.

Grę czasami zatrzymywała wiadomość do rodzica od kogoś znajomego albo krewnego. Z początku traktowaliśmy takie przerwy bardzo surowo, bo nie chcieliśmy pozwolić przegrywającemu zawodnikowi na oszustwo i posiłkowanie się informacjami z wyszukiwarki. Jednak widząc popłakujące matki i ojców blednących nad ekranami telefonów, coraz częściej im odpuszczaliśmy.

Jeden ojciec wyszedł kiedyś z posesji – to był ojciec Jen – a kiedy wrócił, wyglądał jak w katatonii. Zgubił gdzieś buty, a bosa noga miała zakrwawione i poodmrażane. Nie chciał powiedzieć, co się stało. Przykucnął w kuchni sztucznej Italii i kołysał się w przód i w tył, obejmując kolana ramionami.

Jedna matka wpadła w ciąg na Skypie, choć internet bardzo przerywał. Wyszukała wszystkich znajomych i członków rodziny, jakich kiedykolwiek miała. Zrobiła też listę wszystkich, których nie zdołała namierzyć, i zaczęła ich szukać na inne sposoby. Ci odnalezieni byli chyba jeszcze gorsi. Kilkoro zachowywało się znośnie, ale reszta panikowała albo pozostawała w stanie ciągłego oszołomienia. Dwoje poprosiło, żebyśmy przygarnęli ich do siebie. Matka poszła błagać ojca Śliskiego.

– Nie ma mowy – odparł. – Przecież wiesz, rozmawialiśmy o tym.

– Nie rób sobie tego – poradziła jej moja matka, praktyczna jak zawsze. – Trzeba uprawiać swój ogródek.

Nie rozumieliśmy, o co jej chodzi, dopóki kiedyś podczas nauki nie natrafiliśmy na ten zwrot podczas przeglądania słynnych cytatów pewnego dawno zmarłego Francuza.

Bywało, że któreś z rodziców zapominało zjeść kilka posiłków z rzędu. Niektórzy się zapuszczali, zaniedbywali higienę i zaczynali śmierdieć. Inni godzinami pływali na dmuchanych materacach w basenie, nie zważając na zimno, słuchali muzyki i z nikim nie rozmawiali. Jedna matka wpadła w histerię i rozwalila łomem lustro łazienkowe.

Zwołaliśmy zebranie.

– Jeśli mamy tu zostać na dłużej, to należy zaprowadzić jakieś porządki – oznajmił Rafe.

– Trzeba to ogarnąć – poparła go Jen. – Sytuacja nie może dalej wymykać się spod kontroli.

– A poza tym nie możemy tak bardzo polegać na świecie zewnętrznym – wtrąciła Sukey. – Zapasy się kończą.

– Musimy przejąć kontrolę – stwierdził David.

---

Rozważaliśmy różne sposoby pozyskiwania własnej żywności, ale zbliżała się zima, więc skupiliśmy się na tym, czego Low i Rafe nauczyli się na temat upraw hydroponicznych. Postanowiliśmy wykorzystać do tego celu budynek z jacuzzi, który miał szklane ściany i dach. Rozmawialiśmy o nasionach, dostępności sadzonek i lamp wzrostowych, o generatorach prądu i panelach fotowoltaicznych. Zastanawialiśmy się, czy David zdołałby odłączyć nas od regularnie padającej sieci miejskiej, fundującej nam częściowe i całkowite zaciemnienia, i zamiast tego przypiąć do własnego zamkniętego systemu.

To było spore wyzwanie, ale podszedł do niego z ostrożnym optymizmem. Rozmawialiśmy o umiejętnościach każdego z nas i podziale zadań.

Któregoś wieczoru postanowiliśmy przywołać rodziców do porządku, zamiast jak zwykle grać z nimi w zgadywanki.

– Nie uszło naszej uwadze – zaczął Terry, który zamówił sobie nowe okulary, tym samym odzyskując dobry wzrok i dystyngowany wygląd – że wielu i wiele z was niezbyt dobrze sobie radzi. Pozwólcie, że powiem wprost. Chodzi mi o wasz stan psychiczny.

Rodzice zaczęli wiercić się w siedzeniach. Zerkali po sobie z minami, w których mniej było sceptycyzmu, a więcej sugestii, że zostali przyłapani na gorącym uczynku.

– To było do przewidzenia – dodał wyrozumiale. – Tak jak my polegamy na was w kwestii zaspokajania naszych potrzeb ekonomicznych, tak wy polegaliście na porządku społeczno-kulturowym. A ten porządek, jak wszyscy wiemy, uległ poważnemu zaburzeniu.

– Zaburzeniu – powtórzyła matka.

– Poważnemu – zawtórowała Val.

– Tak czy inaczej, najważniejsze jest to, że straciliście zdolność zarządzania sytuacją – ciągnął Terry. – Więc od teraz aż do dnia, w którym wasza grupa odzyska podstawowe kompetencje administracyjne, my weźmiemy odpowiedzialność na siebie. Opracowaliśmy plan zapewnienia posesji pełnej samowystarczalności, co oczywiście będzie wprowadzane stopniowo. Sytuacja i dostępność różnych komponentów zmieniają się dynamicznie. Mamy tego świadomość. Wasze zasoby finansowe będą niezwykle przydatne, ale musicie się też wykazać niezłomnością.

– Niezłomnością – poparła go Val.

Stała z boku za Terryem, ręce spleciała na piersi. Wyglądała na bardzo zadowoloną z tej pozycji.



– Przygotowaliśmy też plan pracy. Na razie to tylko szkic, który uzupełnimy, kiedy zdobędziemy wszystkie potrzebne informacje. Będziecie pomagać w jego realizacji, każde z was w sposób odpowiadający waszym możliwościom i kompetencjom. To wsparcie będzie dla nas bardzo ważne. Żadna pomoc nie jest zbyt mała. Nie musicie się o to martwić.

– Zamach stanu – wymamrotał jakiś ojciec.

– Czy ktoś mu trzyma kartki z tekstem? – rozległ się cichy głos z tyłu.

– Rozdamy wam ankiety. Chcielibyśmy, żeby każde oceniło swoje umiejętności w skali zaawansowania. To pomoże nam zmaksymalizować efektywność przydzielania zadań.

– Wy jesteście dziećmi – zaprotestowała jakaś matka.

– Ale nie zaburzonymi w rozwoju – odparł Śliski.

– I rzadko bywamy pijani – dodał Rafe.

– Rzadko – przytaknęła Val.

– Nasze słabości to nasza prywatna sprawa – zachnął się jeden z ojców.

– Tak czy inaczej... Mają trochę racji – zauważyła matka.

– Możecie zgłaszać uwagi do planu wykonania i dystrybucji zadań – przerwał im Terry. – Weźmiemy wasze zdanie pod uwagę.

– Bardzo szlachetne z waszej strony – prychnął ojciec.

– Choć, oczywiście, sugestie nie równają się wytycznym – uściślił nasz przedstawiciel.

– Jakie umiejętności mamy umieścić na tej waszej liście? Kiedyś zrobiłam kurs układania kwiatów metodą japońską.

– Ikebany – odparł Terry, nieporuszony jej beczelnością. – Wiem, co to takiego. Raczej nie będzie dla nas priorytetem.

Przyjęli więc plany do analizy. I koniec końców się zgodzili.

Niektórzy ojcowie irytowali nas przechwałkami o swojej wiedzy na temat inżynierii czy płynności finansowej.

Musieliśmy przyznać, że nie wszystko, co mówią, to bzdury. Przyjęliśmy ich opinie pod rozwagę, jak to ujął Terry. I wprowadziliśmy odpowiednie modyfikacje.

A następnie zabraliśmy się do realizacji projektów.

---

Zaczął się długi okres ciężkiej pracy. Rodzice byli pomocni, choć czasami wymagali zachęty. Stosowaliśmy naprzemiennie metodę marchewki i kija.

Kiedy przychodziła pora picia i rozmowy, stawali się zmęczeni. Czasami byliśmy zmuszeni zakazywać im libacji do czasu ukończenia jakiegoś zadania (kij). Nie sięgaliśmy po kary, ale reagowaliśmy stanowczo. Śliski kilka razy zniżył się do szyderstw i należało go zdyscyplinować. Zupełnie przestał pluć, i choć nigdy nie pozwoliłby nikomu mówić do siebie Justin – skojarzenia ze słynnym imiennikiem były zbyt żenujące – to zaczął reagować na „Just”.

Niekiedy zdarzało się, że nagradzaliśmy rodziców dodatkowym czasem na przyjemności albo wylewnymi pochwałami w obecności innego rodzica (marchewka). Reagowali mniej więcej tak samo dobrze na jedno i drugie, przynajmniej w kwestii osiągnięć.

Nawet rozwydrzone bliźniaczki zaczęły współpracować. Wykonywały niewymagające prace, takie jak pranie i składanie pieluch, w zamian za stare słodycze, których nikt z nas nie chciał jeść.

Czy nie zmieniliśmy się czasem w poganiaczy niewolników? – zaniepokoiła się kiedyś Jen.

Czasami martwiły ją kwestie moralności.

Nie, odparł David, bo wszyscy pracujemy równie ciężko.

I dla wspólnej korzyści, poparł go Rafe.

Późną zimą jedliśmy już tylko warzywa pochodzące z naszej własnej uprawy hydroponicznej i zadaszonego ogródka w piwnicy (dawnej sali do squash). Świeżego jedzenia nie dało się dłużej zamawiać online – nie jeździły już żadne chłodnie, a przynajmniej nie mogli na nie liczyć przeciętni bogacze w naszych okolicach – więc pozostawało nam żywienie się tym, co sami sobie wyhodujemy.

Owoców oczywiście nie mieliśmy. Zasadziliśmy jabłonie, ale na pierwsze zbiory nie było co liczyć przez wiele lat, a nawet na to nie robiliśmy sobie wielkich nadziei. Żadnych cytrusów; tęskniliśmy za sokiem pomarańczowym i lemoniadą, a rodzice za plasterkami limonki.

Zgromadziliśmy też zapas suchego jedzenia i puszek, skarbiec o wiele przepastniejszy niż w silosie. Dopilnowaliśmy tego.

Nabraliśmy zwyczaju gotowania obiadu dla wszystkich po zakończonej pracy, z pomocą kilku matek, które umieściły gotowanie na szczycie listy swoich umiejętności. Wszyscy siadaliśmy w ogromnym obniżonym salonie w podrabianej Italii o przeszklonej ścianie z widokiem na patio i basen. Trzymaliśmy talerze na kolanach, jedliśmy i rozmawialiśmy o rzeczach, za którymi tęsknimy. Matce-chłopce pozwolono wygłaszać błogosławieństwo. Bezwyznaniowe.

Okazało się – tak jak przewidywała Sukey dawno temu – że nie jest niczyją matką. Miała jedynie kota. Ale i tak nie myślałam o niej inaczej.

Następnie sporządzaliśmy listę utraconych. Tak nazywał to Jack. Uznaliśmy, że to zdrowe – szczególnie dla rodziców – nie wypierać myśli o stracie, tylko pracować nad akceptacją.

Ktoś wspominał koleżankę z pracy albo byłego, babcię czy dziadka, rower, dzielnicę, sklep. Plażę, miasteczko, film. Ktoś rzucał: „lody”, a ktoś inny na to: „neapolitańskie kanapki lodowe” i zaczęliśmy spontanicznie wymieniać swoje ulubione lodowe kreacje, których nie dałoby się już zdobyć ani miłością, ani pieniędzmi.

„Knajpy”, mówił jakiś rodzic, inicjując litanię miejsc, do których najchętniej chodzili. Spelun, irlandzkich piwiarni, latynoamerykańskich piwniczek. Barów hotelowych, barów z szafami grającymi, barów ze stołami bilardowymi, barów z widokiem na parki i rzeki. Barów z obrotową ładą. Barów na odległych szczytach rozmigotanych wieżowców. W miastach, które dawniej olśniewały potęgą.

**K**iedy cały system zaczął działać, a rodzice wykonali swoje zadania – jeśli nie liczyć podstawowych codziennych zajęć – przez chwilę byli zadowoleni. Poczuli dumę z nas wszystkich, z dobrze wykonanej roboty. Kupiliśmy sobie sporo czasu, a oni zdawali sobie z tego sprawę.

Wkrótce jednak osunęli się w psychiczną niemoc, choć wiele matek i ojców przyjmowało koktajle antydepresantów. Na ile udało nam się to zaobserwować, pigułki nie przynosiły jakiegoś większego efektu – bez wątpienia neutralizował je alkohol – a poza tym ich zapasy i tak się wyczerpywały.

Zaczęliśmy dostrzegać zmiany, z początku subtelne. Ktoś inny mógłby je określić słabością, ale ja widziałam w nich raczej nieobecność. Osobowości dorosłych zanikały.

Mieliśmy wrażenie, że gdyby obejrzeć ich pod światło – gdyby dało się ich podnieść bez trudu, jak kartkę papieru – okazałoby się półprzezroczystości.

Temu usposobieniu, w przeciwieństwie do ich wcześniejszych nastrojów, nie mogliśmy zapobiec. To nie była zmiana samopoczucia. Raczej weszli w inny tryb egzystencji.

Przestali próbować zabawiać towarzystwo spostrzeżeniami, które dawniej uważali za żartobliwe. Niewiele mówili

i rzadko się śmiali, nawet podczas picia. Pili też coraz mniej, choć sami nie mogliśmy w to uwierzyć. Wcześniej się kładli i późno wstawali. Twierdzili, że lubią swoje sny.

Któryś z rodziców stwierdził, że sny to najlepsze, co im zostało.

– Jedyne – poprawił go inny.

Sen jednak często mieli niespokojny. Czasami widywaliśmy jakąś matkę albo ojca w ogrodzie o drugiej, trzeciej nad ranem. Stali w piżamie albo chodzili przez sen.

Nocne lęki, oceniła Sukey. Czytała o tym. Kiedy wpadali w takie stany, nie dało się z nimi rozmawiać.

Wstawaliśmy, ubieraliśmy się i prowadziliśmy zagubionego rodzica z powrotem do środka, bo żadne nigdy nie pamiętało o włożeniu kurtki czy butów, a temperatura potrafiła spaść poniżej zera. Jeśli nawet czuli zimno, to nie dawali tego po sobie poznać.

Czas stał się dla nich czymś płynnym. Wspomniałam już, że przed rozpoczęciem projektu zdarzało im się pominąć posiłki – zaniebdywali się. Teraz nie było już żadnych oficjalnych pór jedzenia, a oni przyjmowali tylko to, co w nich wmuszaliśmy. Wpychali ręce w paczki zwietrzałych czipsów, kiedy przychodziło im to do głowy, albo do słoików z orzechami sprzed czasów niedostatku. Zdarzało się też, że podgryzali strąk fasoli, surowy ziemniak albo jakiś grzyb z hodowli w kącie ogródka w piwnicy.

To Low wpadł na ten pomysł, i wszyscy byliśmy bardzo dumni z tego kącika. Grzyby rosły w ciemności. I były bardzo pożywne.

– Małe dzieci też cierpią na lęki nocne – wyjaśniła nam Sukey. – I też mają nielinearne poczucie czasu. Może oni cofają się w rozwoju.

Dużo czytała o wychowaniu niemowląt. I dzieci w wieku przedszkolnym. I wczesnoszkolnym.

Nie, odparł Rafe, oni po prostu znikają.  
Rozmywali się na naszych oczach.

---

Przeprowadziliśmy kilka interwencji – próbowaliśmy wskrzesić zgadywanki, a następnie podsuwaliśmy im gry planszowe i karty. Za dawnych czasów uwielbiali pokera.

Oni jednak nie zwracali na nas uwagi. Kiedy się odzywali, to tylko aby nam powiedzieć, że możemy sobie grać bez nich.

– Nie potrzebujecie nas – powiedziała któregoś wieczoru jedna z matek słabym głosem, ale z przekonaniem.

Reszta jej przytaknęła i wróciła do snów na jawie.

Eksperymentowaliśmy z ćwiczeniami fizycznymi, a nawet poświęciliśmy trochę cennego prądu i puściliśmy ich ulubione kawałki z dawnych czasów, tańcząc jak banda kretynów, żeby ich rozruszać. Upokarzające, ale i tak to zrobiliśmy. Przyszło nam do głowy, że może gdyby zaczęli ćwiczyć, robić coś z ciałem, to odzyskaliby chęć do życia. Znaleźliśmy taką sugestię na jakiejś przestarzałej stronie z poradami na temat dobrostanu emocjonalnego.

Próbowaliśmy wojskowej dyscypliny i zmuszaliśmy ich do wstawania i chodzenia w parach, ale większość szybko traciła koncentrację i rozłaziła się na boki, więc trzeba było ich zaganiać z powrotem.

Zbudowaliśmy tor przeszkód i usiłowaliśmy ich przez niego przegonić. Nawet kibicowaliśmy im nieszczerze.

Między próbami wyrwania rodziców z letargu zdarzały nam się napady hysterii. Całe dni wyczerpania i wstydu.

Nasze wygłupy były idiotyczne.

W niczym nie pomagały.

W końcu ogarnęła nas rozpacz. Wprawdzie od lat uważaliśmy, że nas dręczą i traktują protekcyjnie, brzydziliśmy



się nimi i mieliśmy żal o to, że żadne z nich nie stanęło na wysokości zadania w godzinie próby, ale mimo to zawsze polegaliśmy na ich stałości.

Mieliśmy ich od urodzenia, przywykliśmy do nich.

Oni jednak powoli się odklejali.



Któregoś ranka po przebudzeniu odkryliśmy, że po prostu zniknęli.

Zostawili swoje telefony, portfele, wszystkie rzeczy osobiste. Przepadli bez śladu.

Przeczesałiśmy pobliskie ulice – najpierw pieszo, a później jedynym samochodem, który jeszcze jeździł. Tym elektrycznym.

Nie mogliśmy ich znaleźć.



Val wyobrażała sobie, jak rodzice wdrapali się na szczyty wysokich drzew, rosnących na skraju ogrodu – cedrów i topoli, na które nawet ona ledwo potrafiła wleźć. Oczyma duszy widziała, jak siedzą na smukłych czubkach, aż w końcu lekki podmuch wiatru odrywa ich i zabiera ze sobą.

W wizji Śliskiego weszli na zakazany pas ziemi między murem a ogrodzeniem i jedno po drugim się zdematerializowali.

Jen sądziła, że wsiedli do długiej limuzyny i ruszyli do własnej kolonii, nieobciążeni jarzmem opieki nad swoimi dziećmi. Ani nawet bagażem wspomnień.

W wersji Lowa odjechali niczym stepowi pasterze na ciemnych koniach, które zjawiły się znikąd. A potem rozpływali się coraz bardziej, im dalej od nas się znajdowali.





Ja wyobrażałam sobie, jak schodzą po stopniach basenu, jak mrowią ich koniuszki palców. Coraz niżej, niżej i niżej, ku wąskiemu gardłu.

---

Przez jakiś czas nadal wpisywaliśmy ich imiona na listę dyżurów, a następnie sami wykonywaliśmy przydzielone im zadania. Trzymaliśmy ich pokoje w takim stanie, w jakim je zostawili, aż w końcu zaczęliśmy stopniowo godzić się z sytuacją.

Podpisaliśmy ich komórki, portfele i torebki, a następnie schowaliśmy w szafce w gabinecie ojca Śliskiego, bo uznaliśmy, że telefony, numery, karty i gotówka mogą kiedyś okazać się potrzebne.

Z początku codziennie spodziewaliśmy się, że wrócą. Potem przypominaliśmy sobie o nich raz na tydzień i rozmawialiśmy o tym, jak będą się zachowywać po powrocie. W jakim będą stanie – ranni, pewnie głodni. Czy okażą się dawnymi wersjami siebie, czy może odmienionymi.

Czekaliśmy, aż wrócą, lecz na próżno.

---

– Co się dzieje na końcu? – spytał Jack.

Był wtedy chory, ale ja dbałam o to, żeby wyzdrowiał. Odstępowałam od jego łóżka tylko po to, żeby czytać o symptomach i potencjalnych diagnozach. Szukałam informacji o alternatywnych zastosowaniach leków, które nam zostały. O domowych sposobach.

Żałowałam, że nie ma już z nami aniołów. Luki. Mattiego.

I właścicielki, która spłynęłaby z nieba w swoim czarnym rydwanie. Gdzie była, kiedy najbardziej jej potrzebowaliśmy?

Mimo to się nie poddawałam. Postanowiłam, że mój brat wyzdrowieje, nawet jeśli to miałyby być jedyna wielka i wartościowa rzecz, jaką kiedykolwiek uda mi się osiągnąć.

– Na końcu czego, Jack?

– Przecież wiesz. Na końcu historii. Po tym czasie chaosu. W książce tego nie było, ale przecież wszystkie książki powinny mieć prawdziwe zakończenie.

– Powinny.

– Ona powiedziała, że prawdziwego zakończenia w ogóle nie ma w wersji dla dzieci, bo jest nieprzyjemne. I ma za dużo przemocy. I że dzieci nie poradziłyby sobie z omówieniem.

– Chyba użyła słowa „Objawienie”, nie „omówienie”.

– To co się dzieje po końcu?

– Daj mi pomyśleć. Poczekaj chwilę. Zastanawiam się.

– Postaraj się bardziej, Evie.

– Okej. Założę się, że wszystko będzie bardzo powolne. Ewolują nowe zwierzęta. Przyjdą tu jakieś inne stworzenia i zamieszkają tak jak my przed nimi. I wszystkie dawne piękne rzeczy nadal będą istniały, niewidzialne, ale obecne w powietrzu. Jak... nie wiem, jak wtedy, kiedy na coś czekasz. Nawet kiedy my wszyscy znikniemy.

– Ale nas już nie będzie i tego nie zobaczymy. Nie będzie nas. To strasznie przykre, że się tego nie dowiemy. Nie będziemy mogli ich oglądać!

Wzburzyła go ta myśl.

Wzięłam go za gorącą dłoń.

– Inne stworzenia to zobaczą, kochanie. Pomyśl o nich. Może mrówki. Drzewa, rośliny. Może kwiaty staną się naszymi oczami.

– Kwiaty nie mają oczu. Darla mogłaby tak powiedzieć, Evie. To nie nauka.

– Masz rację. To brzmi bardziej jak sztuka. Poezja. To też kiedyś ludzie nazywali Bogiem, prawda?

- To też nazywali Bogiem – wymamrotał.
- Był najszczęśliwszy, kiedy z nim rozmawiałam, ale ostatnio bardzo się męczył. Bardzo.
- Miałeś to w zeszycie, pamiętasz? Sam to zapisałeś, nie?
- Zapisałem.
- Chyba rozwiązałeś tę zagadkę, Jack. W zeszycie. Jezus był nauką. Wiedzą o różnych rzeczach. A Duch Święty wszystkim, co kreujemy. Pamiętasz? „Pomaga coś stworzyć”.
- Tak. Tak to podpisaliśmy.
- Więc może sztuka to Duch Święty. Może sztuka jest tym duchem w machinie.
- Sztuka jest duchem – szepnął.
- Komety i gwiazdy będą naszymi oczami – przyrzekłam.
- A potem opowiadałam dalej. Gwiazdy i księżyc. Ziemia, kamienie, woda i wiatr. Widzisz, to nazywamy nadzieją.



W książce wykorzystano cytaty z dramatu Williama Szekspira  
*Henryk IV* w przekładzie Leona Ulricha.



## Podziękowania

Z całego serca dziękuję mojej agentce Marii Massie oraz czytelniczce Jenny Offill. A także Aaronowi Youngowi – za wszystkie obiady, które gotował dzieciom, kiedy byłam zajęta pisaniem. Na wdzięczność zasługują również Tom Mayer i Elizabeth Riley, moi najlepsi przyjaciele z wydawnictwa W. W. Norton, i reszta osób z redakcji, które pomogły mi w pracy nad tą powieścią: Nneoma Amadi-Obi, Julia Reidhead, Brendan Curry, Nomi Victor, Julia Druskin, Don Rifkin, Ingsu Liu, Alexa Pugh, Steve Colca, Meredith McGinnis, Beth Steidle, a także Steven Pace i jego zespół, zwłaszcza Karen Rice, Sharon Gamboa, Golda Rademacher i Meg Sherman. Podziękowania za stworzenie pięknej okładki należą się zaś Davidowi Highowi.

